RUCH ROBOTNICZY 6
Jan Powała
ROBINSON Z TRASY W-Z 8
Konrad Turowski
NIE MA JUŻ TAMTYCH CHOJEN 9
Feliks Bąbol

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XX NR 30 (1024)
24 LIPCA 1977 R.
CENA 3 ZŁ

DZIEJE

Stanisław R. Dobrowolski

Nieobeszłe, jasne złote pola,
hojne pola między Odrą i Bugiem,
przechodziła tędy dola i niedola,
pochylona nad chłopskim pługiem,
i od wieku wieków śpiewał łan,
i od wieku wieków kłos się kwieci,
i przez wieki z łanu zbierał pan,
zbierał żniwo rękami kmieci,
chciwą garścią zagarniał jak własne
chłopskie pola, polskie pola jasne!

Nieobeszłe, jasne pola złote,
nadwiślańskie, nadgoplańskie, nad Wartą,
poprzez wieki lud obsiewał was potem,
nim stałyście się wielką kartą —
Wielką Kartą Ludowych Praw —
wypisanych, jak jaskrami wśród traw
wypisana chłopska miłość do roli,
jak to wszystko, co raduje i boli.

Ponad jasne, nad złote pola
niech się niesie dzisiaj pieśń wolna,
wyzwolona niech śpiewa rola,
niech się niesie radosna pieśń polna,
niechaj gada, że on tu był panem,
gospodarzem i prawym dziedzicem,
że to on się pochylał nad łanem
jak nad stawem zakochane księżyce,
jak się matka schyla nad dzieckiem
uśmiechnionym, uśpionym w kolebce.

On tu wszystko rozkochał, wypieścił,
jego była i Polska, i pole,
jego była z radości, z boleści,
on z nią gorzki jadł chleb — niewolę,
on, co na niej od wieków siedział
i krew własną w jej żyły wlewał,
nawet tego — on, lud, nie wiedział,
on, jej dziedzic, nie wiedział tego,
że ta Polska polna jest jego.
On to tylko w pieśni wyśpiewał.

I dzień przyszedł dzisiejszy, nowy,
kiedy ten, co spod skiby wzrósł,
z tym, co pługi kuł i podkowy,
pieśń wolności i walki wzniósł,
pieśń pospólną ludu wolnego
ponad złote pola, nad jasne,
i powiedział: to nasze, to własne
i ludowe, co jest polskiego!
W czterech porach się roku rozsiądę
jak wśród izby i będę sądem,
będę rządem, żeby była szczęśliwa,
wielka, wolna i sprawiedliwa.

KRAJ

JACEK INDELAK

POMOST

Odolanów — pięciotysięczne miasteczko w województwie kaliskim. Położone na uboczu — z dala od głównych tras komunikacyjnych,kilkanaście kilometrów od Ostrowa Wielkopolskiego. Przez wiele lat głównym bogactwem i powodem do dumy odolanowian były piękne — sięgające średniowiecza —tradycje historyczne ich miasta, które w przeszłości zostały nawet uhonorowane osadzeniem tu właśnie siedziby powiatu. Tradycje i honory jednak swoją drogą, a życie — swoją. Na długi czas to właśnie życie zwolniło w Odolanowie bieg. Miasteczko zastygło w swym historycznym kształcie, pozostając na uboczu nie tylko głównych dróg, lecz i głównego nurtu przemian gospodarczych i społecznych.

Wciąż jeszcze wozy z sianem tarasują wąskie ulice miasta, ale nawierzchnia jezdni — pokryta już jednak asfaltem. Wciąż jeszcze wielu odolanowian sieje i orze, ale spora ich część — to już jednak robotnicy własnego, odolanowskiego przemysłu.

Działa tu oddział **Kaliskiego Przedsiębiorstwa Przemysłu Odzieżowego.** Nie ma wprawdzie **„Kalpo"** zbyt wielkiej jeszcze renomy, ale zakład prężny i obiecujący, na pewno się wybije, a przy nim trochę gospodarczego splendoru spłynie i na Odolanów.

Jest też zakład produkcyjny spółdzielni inwalidów. Produkcja niewielka, ale zawsze tych paredziesiąt miejsc do pracy jest. Trwa wreszcie rozruch Zakładu Odazotowania Gazu Ziemnego **„Krio".** Nazwa nie najbardziej efektowna, ale sam zakład jest swoistą sensacją nie tylko na odolanowską skalę. Najwyższy poziom światowej techniki, a do tego świadomość, że jest to jeden z nielicznych zakładów tego typu w Europie. Podejmuje on bowiem unikalną specjalizację — produkcję ciekłego helu. O, właśnie pod dachem ze srebrzystych rur, którymi płynie gaz, zatrzymał się pierwszy samochód z obcojęzycznymi napisami. W potężną cysternę spływają grube tysiące dolarów. Klientela zapowiada się liczna i doborowa. Na tym jednak nie koniec: ostatnio przybyła najnowsza fabryka Odolanowa — mały zakład wyrobów dziewiarskich. Sąsiaduje ona — na przedmieściu — z zakładem „Krio", a powstała niejako przy okazji jego budowy.

Prawie dwa miliony sztuk wyrobów dziewiarskich — przede wszystkim poszukiwanej bielizny niemowlęcej i dziecięcej z bawełny — o wartości ponad czterdziestu milionów złotych produkować będzie w ciągu roku odolanowski zakład. Produkcja nie jest to zbyt imponująca, ale — co tu najistotniejsze — uzyskana została znikomym kosztem. Największym zresztą wkładem inwestycyjnym w tę fabrykę była gospodarność i pomysłowość...

— Kiedy dobiegła końca budowa „Krio" — wspomina jeden z inicjatorów całego przedsięwzięcia, członek egzekutywy KW PZPR w Kaliszu, Jerzy Więckowski — **budowlani zamierzali zlikwidować całe zaplecze. Wówczas zrodził się pomysł, aby zabudowania te, solidne przecież, wykorzystać po adaptacji na cele produkcyjne. Pomysł ten gorąco poparł I sekretarz KW PZPR w Kaliszu — Jerzy Kusiak, po wnikliwej analizie odolanowskiego terenu zadecydowaliśmy, że powinien to być zakład dziewiarski, w którym znalazłyby zatrudnienie mieszkanki miasta i okolicznych wiosek.**

Kaliszanie wzięli się więc ostro do działania. Budowa **„Krio"** dobiegała końca, przejęcie zaplecza głównego wykonawcy powinno nastąpić jak najszybciej. Z różnych względów: nawet i czysto formalnych, nieczęsto bowiem praktykuje się tego rodzaju poczynania.

— Trzeba było jak najszybciej znaleźć odpowiedniego kontrahenta, który przejąłby obiekt od jego dotychczasowego właściciela i w możliwie krótkim czasie go zagospodarował — mówi dyrektor Zjednoczenia Gospodarki Komunalnej, Mieszkaniowej i Budownictwa Komunalnego w Kaliszu, Mieczysław Woźniak. **— Podjęte zostały więc rozmowy w tej sprawie ze Zjednoczeniem Przemysłu Dziewiarskiego w Łodzi, które bardzo przychylnie ustosunkowało się do całej sprawy. Pierwsze na nasz apel odpowiedziały Zakłady Przemysłu Dziewiarskiego „Terpol", natychmiast zresztą przystępując do działania: do przerzucenia przemysłowego pomostu między oboma województwami.**

Na przełomie roku przystąpiono do prac adaptacyjnych. Wykonywali je przede wszystkim ludzie z własnych brygad remontowo-montażowych **„Terpolu"**, którym pomagali robotnicy z **Ostrowskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego.**

— Wybudowaliśmy zaplecze budowy „Krio" — mówi kierownik budowy z OPBP, Henryk Szorek — **uczestniczyliśmy więc również w pracach adaptacyjnych. Z tym większą ochotą i satysfakcją, że będzie ono długo jeszcze służyć jako zakład produkcyjny. Teraz zaś zadeklarowaliśmy, że kiedykolwiek odolanowski oddział „Terpolu" będzie potrzebował naszej pomocy, może zawsze na nią liczyć. Przecież to nasza wspólna sprawa...**

Zaplecze było rzeczywiście solidne: baraki parterowe wprawdzie, ale murowane i obszerne. Niemniej ich dotychczasowe, jakże różne przeznaczenie, wymagało skrupulatnych zabiegów adaptacyjnych.

„Terpol" miał w tym względzie niezłe już doświadczenie, wcześniej bowiem — też własnym sumptem i pomysłem — przystosował do produkcji dziewiarskiej stare zabudowania po chemicznej fabryczce w Złoczewie. Dziś w złoczewskim oddziale, wyposażonym w znakomity park maszynowy, powstają wyroby, którymi **„Terpol"** zdobywa uznanie klientów i rzęsiste oklaski na pokazach mody.

Czas jednak naglił: od pomysłu do przemysłu droga powinna być krótka. Z takiego założenia wychodzi **„Terpol"**, przyspieszając prace adaptacyjne. Nie tylko zresztą. W trakcie bowiem prac budowlanych i montażowych prowadzony był nabór załogi i jej szkolenie. Szkolenie intensywne: już w lutym 1977 r. odolanowskie, świeżo upieczone, szwaczki dostarczyły pierwszą produkcję, do tej zaś pory wytworzyły przeszło ćwierć miliona sztuk wyrobów.

— Podjęliśmy się uruchomienia tego oddziału — mówi dyrektor naczelny ZPDz. „Terpol" w Sieradzu, Jerzy Kierociński — **nie bez świadomości ryzyka. Nasze przedsiębiorstwo składa się wprawdzie z dwunastu oddziałów, ale do tej pory skupione były one w Sieradzu i jego rejonie: w Złoczewie, Warcie, Szadku, Burzeninie i Smardzewicach. Wejście na teren innego województwa na pewno nie jest ani łatwe, ani proste, zapowiada przy tym masę trudności i problemów, wynikających chociażby z przeszło stukilometrowej odległości. Cóż, tam jednak, gdzie w grę wchodzi interes społeczny, warto podjąć ryzyko. Zwłaszcza kiedy podejmuje się je wespół ze znakomitymi partnerami, szerokim gronem ludzi dobrej woli.**

Dobra wola nie zawsze jednak wystarczy. Zamiary trzeba mierzyć na siły. Jeszcze przed kilkoma laty **„Terpol"** nie mógłby sobie pozwolić na takie przedsięwzięcie. Kilka lat temu był bowiem skromnym przedsiębiorstwem przemysłu terenowego o profilu działalności i rozmiarach produkcji zbliżonych do przeciętnej wielobranżowej spółdzielni pracy szczebla powiatowego. Ambicje jednak dyrekcji i załogi, a także wytrwałość w dążeniu do wytyczonego celu, doprowadziły do znaczącego awansu zakładu, którego świadectwem stało się włączenie go do przemysłu kluczowego na długo przedtem, zanim drogą decyzji administracyjnych włączono przedsiębiorstwa przemysłu terenowego do klucza. Dziś **„Terpol"** to już „firma", coraz bardziej licząca się w krajowym dziewiarstwie.

„Terpol" wyprodukować ma w tym roku prawie cztery miliony sztuk różnych wyrobów dziewiarskich — bielizny, bluzek, wdzianek, swetrów, spodni, a nawet włóczkowych płaszczy — o łącznej wartości prawie pół miliarda złotych. W realizacji tych zadań uczestniczyć będzie również załoga odolanowskiej filii — dziewczęta i kobiety, dla których praca w **„Terpolu"** jest w większości pierwszą w życiu pracą zawodową.

— Z ogromną satysfakcją i uznaniem obserwujemy duże postępy naszych nowych pracowników. Uczą się zawodu szybko, z zapałem i zaangażowaniem — mówi kierownik odolanowskiego zakładu, Andrzej Królik.

Dotychczasowa wspólna praca, trwająca przecież dopiero kilka miesięcy, wyłoniła już liczną grupę przodownic i przodowników takich, jak szwaczki — **Lucyna Kruszka, Aniela Kras, Władysław Kuboń i Helena Parzybok,** krojczy — **Piotr Wiśniewski,** mechanik — **Andrzej Tacik** czy całe brygady — **Barbary Cofalskiej** albo **Tadeusza Zawidzkiego.**

Są to z reguły ludzie młodzi. Nawet bardzo: często niespełna dwudziestoletni. Dla wielu z nich uruchomienie oddziału **„Terpolu"** stało się istotną życiową szansą.

Taka jest reguła, ale są i wyjątki. Do grona przodujących zalicza się również najstarsza pracownica zakładu — pięćdziesięcioczteroletnia **Stefania Krakowska.** I ona przed kilkoma miesiącami podjęła swoją pierwszą w życiu pracę zawodową.

— Jestem mieszkańcem Odolanowa — mówi sekretarz POP, Bogusław Cebulski. — **Z tej mojej odolanowskiej perspektywy tym wyraźniej widzę ogromne znaczenie naszego małego zakładu dla aktywizacji środowiska, nie tylko zresztą zawodowej, lecz także społecznej i politycznej. Wystarczy powiedzieć, że czterdzieści osób spośród naszej młodej załogi wstąpiło do ZSMP, a dziesięciu pracowników złożyło już deklaracje kandydackie do naszej organizacji partyjnej...**

Z okazji oficjalnego otwarcia zakładu — który powstał w ciągu niespełna pięciu miesięcy — uwidocznił się jeszcze jeden aspekt całego przedsięwzięcia, którego efekty ekonomiczne nie są może — jak już powiedzieliśmy — bardzo imponujące, korzyści społeczne jednak — szerokie i ważne. Otóż, w skromnej uroczystości uczestniczyli tak przedstawiciele władz Sieradza, jak i gospodarze z I sekretarzem KW PZPR w Kaliszu — **Jerzym Kusiakiem.** Zarówno jedni, jak i drudzy wykorzystali to spotkanie jako płaszczyznę roboczej dyskusji na tematy związane z perspektywami coraz ściślejszej i coraz szerszej współpracy między województwami, której symbolem stała się odolanowska fabryka...

FILM

KURT B. HERMANN

O CICHYCH BOHATERACH

(„JÓZIA — CÓRKA DELEGATKI")

Anna Seghers posiada dar wyrażania poprzez małe, ciche epizody doświadczenia wielkich konfliktów klasowych. Nie dla taniej dydaktyki. Ponieważ w żadnym z jej opowiadań nie czuje się wzniesionego palca. Anna Seghers jest na wskroś poetką. Żyje własną historią i nasyca ją wewnętrzną mądrością doświadczenia społecznego. I ani przez chwilę nie przekracza granic intymności. Pozostaje wyłącznie w bezpośrednim kręgu przeżyć postaci, znajduje z cudowną pewnością całą złożoność charakterystycznych przejawów prywatnego życia, modelując szczegóły, a także niepowtarzalność małych i wielkich bohaterów. Kiedy Anna Seghers opisuje gniazdo z pisklętami, to stwierdzamy na koniec, że wyraziła cały ptasi świat.

Tak jest i tutaj. Akcja opowiadania „Józia — córka delegatki" rozgrywa się w Łodzi w 1929 r. Felka, matka dziesięcioletniej Józi, tkaczka, komunistka, jest delegowana do Moskwy na kongres związków zawodowych. Podróż trwa dziesięć dni. A przy tym nikt nie może się o niej dowiedzieć. Małej Józi nie udaje się ulokować u towarzyszy.

Wówczas dziewczynka proponuje, że przez nikogo nie zauważona zostanie w mieszkaniu. Rozumie zadanie matki. I tak się staje. Przez dziesięć dni siedzi Józia zamknięta w domu. Matka z troską zabezpieczyła jej wszystko, czego potrzeba do życia. Ale teraz zaczyna się samotność.

W ciągu dziesięciu dni doświadcza wszystkiego, co zahartowani rewolucjoniści poznają w ciągu długich lat nielegalnej działalności. Świadomie próbuje swego hartu, współuczestnicząc w walce klasowej. Zadanie jest jednoznaczne. Musi przebywać niezauważona w mieszkaniu, aby nie sprowadzić niebezpieczeństwa na matkę i jej organizacyjnych towarzyszy. To zadanie jest najważniejsze. Ono kieruje każdym krokiem dziewczynki w skrzypiącej sieni, ono czyni cichszym każdy jej ruch. Ono każe ciemnym oczom stać się większymi ze strachu, gdy ktoś mocniej poruszy z zewnątrz klamką i ono zmusza małe serce Józi niemal do trzepotu, kiedy Janek, jedyny jej przyjaciel, odchodzi wciąż nie poznany od drzwi. Ale Józia pozostała wierna swemu ślubowaniu. — I na koniec wspaniałe uczucie odniesionego zwycięstwa. Matka wraca, minęło dziesięć dni, Józia zdała swój rewolucyjny egzamin. Była sama tylko dziesięć dni, jednak odcisną się one na całym jej życiu.

Utwór jest kameralny. W tle istnieją tylko trzy postacie: Józia, jej matka i Janek. Ale jakież pole do społecznego doświadczenia. Przy troskliwym zachowaniu intencji Anny Seghers film ten został zrealizowany przy doskonale rozwijającej się współpracy między Telewizją Polską i telewizją NRD.

W tej płaszczyźnie znaleziono także jego styl — godny uwagi „cichy" film. Byłoby niesłuszne podkreślać w nim poszczególne dokonania. Łączy on bowiem w jedno poważne osiągnięcia zespołowe. Z całą pewnością jest to wielką zasługą reżysera Wojciecha Fiwka. I szczęśliwe dla filmu jest to także, że w swoich poszukiwaniach w Łodzi pośród dziesięcio — dwunastoletnich uczennic reżyser w osobie Moniki Alwasiak znalazł właściwą dziewczynkę dla cichej, a tak odpowiedzialnej roli Józi.

Tłum. K.F.

W łódzkim zespole filmowym „Profil" powstał film przeznaczony na szklany ekran pt. „Józia — córka delegatki", którego scenariusz oparty został o opowiadanie głośnej pisarki niemieckiej Anny Seghers. Film ten, nieznany jeszcze telewidzom polskim, miał już projekcję w NRD. Anna Seghers przysłała reżyserowi filmu, Wojciechowi Fiwkowi list z podziękowaniami. Wyżej przytoczyliśmy wypowiedź recenzenta „Rostocker Ostseezeitung" na temat filmu.

INFORMACJE

Łodzianin — laureatem konkursu poetyckiego o sporcie

W III ogólnopolskim konkursie poezji o sporcie, zorganizowanym przez warszawski AZS i tym razem duży sukces odniósł łódzki poeta ROMAN GORZELSKI, ktory otrzymał niedawno za cykl wierszy pt. „Stadion" drugą nagrodę. Godzi się przypomnieć, że w podobnych konkursach w latach ubiegłych zdobył on pierwszą nagrodę oraz nagrodę specjalną ZAIKS.

A oto tegoroczna lista laureatów: 1. Krzysztof Zuchora (Warszawa), 2. Roman Gorzelski (Łódź), 3. Tadeusz Mocarski (Warszawa).

W dziale reportażu nagrodę uzyskał tylko Grzegorz Kaczmarowski (Warszawa), a nagrodę specjalną AZS — Ryszard Czugajewski (Warszawa)

Pokłosie konkursu (zarówno w poezji jak i reportażu) znajdzie się w specjalnym tomie ilustrowanym przez absolwentów Akademi Sztuk Pięknych w Warszawie. Tom ten przygotowywany jest na konkurs edytorski jaki będzie miał miejsce podczas olimpiady w Moskwie.

Festiwal sopocki po nowemu

Tegoroczny Międzynarodowy Festiwal Piosenki w Sopocie odbędzie się w dniach 24—27 sierpnia po raz pierwszy w nowym kształcie. Impreza pomyślana jest przede wszystkim jako festiwal Interwizji, organizacji zrzeszającej telewizję krajów socjalistycznych oraz Finlandii.

Każdy z piosenkarzy reprezentujących swój kraj wykona po dwa utwory, które będą oceniane przez międzynarodowe jury. Zmieniony będzie również tryb przyznawania nagród publiczności na festiwalu. Będzie to bowiem nagroda publiczności Interwizji, zaś widzowie w poszczególnych krajach będą zgłaszać kandydatów telefonicznie do ośrodków TV, skąd przekazane zostaną do Sopotu.

Ze starej formuły festiwalu został utrzymany konkurs płytowy, w którym oceniane będzie wykonawstwo. W tym konkursie, każdy uczestnik przedstawi także po dwa utwory w tym jeden polski.

Laureaci nagród woj. sieradzkiego

Na uroczystej sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej w Sieradzu wręczono nagrody woj. sieradzkiego za osiągnięcia w dziedzinie upowszechniania kultury i nauki, techniki i racjonalizacji oraz za społeczną działalność na rzecz gospodarczego rozwoju województwa. Nagrody otrzymali: Wiesław Garboliński, rektor Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi, prezes Zarządu Łódzkiego Związku Polskich Artystów Plastyków, Stanisław Korpa, rzeźbiarz i malarz ludowy, laureat wielu konkursów i wystaw krjaowych i zagranicznych, Ryszard Masłowski, doktor nauk weterynaryjnych, specjalista i badacz schorzeń kończyn występujących u trzody chlewnej, Józef Śmiałowski, docent w Zakładzie Historii Polski Nowożytnej w Instytucie Historii Uniwersytetu Łódzkiego, autor m. in. monografi Zduńskiej Woli oraz będących w druku „Szkiców z dziejów Sieradzkiego", Zespół projektantów planu ogólnego miasta Sieradza, w składzie: mgr Jan Michalewicz (generalny projektant), mgr Andrzej Zawadzki, mgr inż. arch. Jolanta Chmiołek, mgr Jan Zeman, dr inż. arch. Elżbieta Muszyńska i inż. Edward Azarewicz.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego) JERZY WILMAŃSKI, (sekretarz redakcji) Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

TADEUSZ SZEWERA

GAWĘDA O BRATERSTWIE PIEŚNI

Ten list wysłany został ze Smoleńska. Nadawca nazwa się Sergiusz Maszkow. Nie znamy się osobiście. Nigdy w Smoleńsku nie byłem. Nie mieliśmy okazji spotkać się i rozmawiać. Nigdy też dotąd nie korespondowaliśmy ze sobą. Lecz mimo to Sergiusz napisał tak, jakbyśmy byli starymi, dobrymi znajomymi.

List jest bardzo obszerny. Pisany po rosyjsku, na maszynie, gęsto, wiersz przy wierszu, obejmuje prawie osiem stron. Na zakończenie są dwa zdania w języku polskim: „Uprzejmie proszę pisać mi tylko popolsku, bo czytam popolsku również, jak na języku ojczystem. Eszcze raz mocno pozdrawiam i sciskam braterskę dłoń."

List zaczyna się wyjaśnieniem, dlaczego zdecydował się do mnie napisać i podzielić bardzo osobistymi wyznaniami z nieznanym dotąd człowiekiem. Ale są pomiędzy ludźmi, nawet nie znającymi się, sprawy i rzeczy trwalsze nad wszelki czas, odległości i granice. Od wojny minęło już sporo lat... Dalekie są również lata dzieciństwa... Jakie będą jeszcze spotkania Sergiusza z Polską?... Wie jednak z całą pewnością, że do końca życia towarzyszyć mu będzie, obok rosyjskiej i radzieckiej, zawsze nasza, polska pieśń. I o tym chciał właśnie ze mną pogawędzić za pośrednictwem listu, bo przecież antologia **Niech wiatr ją poniesie**, którą ma w domowej biblioteczce, do takiej rozmowy po prostu prowokuje.

Są w tym liście oceny przeznaczone wyłącznie dla adresata, a więc dla mnie. Ale duża jego część jest opowieścią o szerszym i głębszym znaczeniu. I dlatego jestem przekonany, że Sergiusz nie weźmie mi za złe, jeżeli fragmenty jego listu przeczytamy w większym gronie.

* * *

Sergiusz: **„Moja pierwsza znajomość z polską pieśnią zaczęła się bardzo dawno, w początkach lat trzydziestych, kiedy miałem cztery lub może pięć lat. Jeszcze nie chodziłem do szkoły, ale mama już mnie uczyła alfabetu rosyjskiego. Lekcje te urozmaicała nauką śpiewu. Trochę to po niej odziedziczyłem głos i absolutny słuch. I oto moimi pierwszymi pieśniami w tym czasie były „Warszawianka", „Łzami zalany świat bezbrzeżny" („Czerwony sztandar") i „Pieśń czerwonych marynarzy". Pieśni te były w tamtych czasach bardzo u nas popularne, ponieważ słowa ich i melodie niosły ze sobą odblask rewolucyjnych wydarzeń 1917 roku. Później, kiedy uczęszczałem już do szkoły, na jednej z lekcji śpiewu nauczyłem się jeszcze innej polskiej, rewolucyjnej pieśni: „Na barykady". Jednak wtedy, w dalekim dzieciństwie, nie wiedziałem jeszcze, że „Pieśń czerwonych marynarzy" jest rosyjskim wariantem polskiej rewolucyjnej pieśni „Gdy naród do boju", zaś „Łzami zalany świat bezbrzeżny" to po prostu rosyjska wersja „Czerwonego sztandaru". O tym dowiedziałem się dużo później. Natomiast o „Warszawiance" wiedziałem, że pochodzi z Polski, że napisał ją Gleb Krzyżanowski, bliski współpracownik W. I. Lenina."**

Ja: (Tę Twoją, Sergiuszu, lakoniczną wzmiankę o „Warszawiance" muszę uzupełnić kilkoma dodatkowymi informacjami. Wacław Święcicki napisał słowa pieśni w latach 1878—1880, kiedy przed zesłaniem przebywał, jako więzień, w jednej z cel X Pawilonu Warszawskiej Cytadeli. Tekst wydrukowano w trzy lata później na łamach „Proletariatu" z zaznaczeniem, iż należy śpiewać go na nutę „Marsza Żuawów" z 1863 roku. Tłumaczono ją na wiele języków. Około 1890 roku znana już była, w różnych przekładach, a nawet przeróbkach, w wielu zakątkach Rosji. Ale dopiero poetycki przekład z roku 1898 G. M. Krzyżanowskiego, bliskiego współtowarzysza pracy i walki W. I. Lenina, uczynił pieśń znaną na obszarze całej Rosji, a także wśród innych narodów walczących o swe społeczne i narodowe wyzwolenie. Prawda, że pieśń w przekładzie Krzyżanowskiego utraciła swój polski charakter, chociażby z uwagi na brak słów: „Naprzód, Warszawo!". Lecz za to stała się własnością ogromnych rzesz proletariackich całej ówczesnej Europy. Refren pieśni, w przekładzie Gleba M. Krzyżanowskiego, który również był autorem wolnego tłumaczenia „Czerwonego sztandaru" i innych naszych pieśni, brzmiał:

Na boj krowawyj, Swiatoj i prawyj,
Marsz, marsz wpierod, Roboczyj narod!)

Sergiusz: **„Jak więc widzisz, polska pieśń od wczesnego dzieciństwa stanowiła cząstkę mego życia i z całą pewnością odegrała pozytywną rolę w moim wychowaniu muzycznym i w jego kształtowaniu. Ale na tym nie koniec. Druga moja znajomość z polską piosenką jeszcze bliższa i mocniejsza, przypadła na lata mej młodości. A młodość ta zbiegła się z ciężkimi latami wojny".**

Ja: (Twoja Smoleńszczyzna była wtedy gościnnym domem dla polskich żołnierzy z 1 Dywizji im T. Kościuszki).

Sergiusz: **„Moje życie wzbogaciło się wtedy o mocne, trwałe przyjaźnie z wieloma kościuszkowcami. Pisałem o tym nawet dwa lata temu w artykule pt. „Tak rodziła się przyjaźń", którego część była drukowana w „Odgłosach" z dnia 28 lutego 1975 roku, a część w „Zielonym Sztandarze" z 28 lipca tego samego roku. Czy nie uważasz, że antologię „Niech wiatr ją poniesie" należałoby trochę poszerzyć? Zwłaszcza rozdział „Wojenko, wojenko" przez włączenie niektórych pieśni polskich śpiewanych w wojsku do 1939 roku i szeroko wykonywanych w latach II wojny światowej? I tak na przykład, chciałoby się zobaczyć w niej wydrukowane takie pieśni, jak: „Pod Krakowem góra malowana", „Rano, rano, raniusieńko" (ach, jak ja lubię tę piosenkę!), „Znam ja jeden piękny zamek", „Czerwone słoneczko" i oczywiście „Rotę", śpiewaniem której polscy żołnierze zaczynali i kończyli swój bojowy dzień. Szkoda też, że nie znalazłeś w antologii miejsca dla piosenki „Pod Krakowem ciemny las", która cieszyła się ogromną popularnością wśród żołnierzy 1 Dywizji im. Tadeusza Kościuszki, których — jak już wspomniałem — poznałem w 1943 roku u nas, na Smoleńszczyźnie, i z którymi serdecznie się zaprzyjaźniłem. Właśnie od moich polskich przyjaciół żołnierzy nauczyłem się wspomnianych wyżej pieśni i na całe życie zapamiętałem ich melodie."**

Foto: Archiwum

Ja: (Ależ tak, Sergiuszu, znam te piosenki i mam je w mych zbiorach. A że w antologii ich nie znalazłeś... Sam piszesz, że „w jednej książce nie jest możliwe zgromadzenie całego bogactwa wojennych pieśni polskiego narodu". Jest ich co najmniej na 5 takich ksiąg! Może zdołam je opracować i wydać? A co do tej piosenki o Kasi, która „rano, rano, raniusieńko wyganiała wołki", to jest z nią związana urocza anegdota z czasów, gdy kościuszkowcy przebywali na ziemi radzieckiej. Ich śpiew o wołkach i Kasi rozlegał się o każdej porze i przy każdej okazji; gdy wojsko szło na ćwiczenia, gdy wracało, słowem od rana do wieczora. Rosyjscy chłopi, których zagrody stały w pobliżu, gdy tylko usłyszeli rankiem polski śpiew budzili się i ponoć mówili: Pora wstawać i brać się do roboty, bo „poliaki" wyganiają już swoje wołki!).

Sergiusz: „Obecnie w moim domu bardzo często słychać polskie pieśni i rozbrzmiewa polska muzyka. W ubiegłym roku, będąc z wizytą w Łodzi, kupiłem dwie płyty: „Echo ojczyzny" i „Polski folklor muzyczny", które często sobie przegrywam. Posiadam też nagrania krakowiaków i polonezów w wykonaniu orkiestry pod dyr. Feliksa Dzierżanowskiego, a także płytę z dawnymi pieśniami wojskowymi „Idzie żołnierz borem lasem". Teraz, dzięki antologii, znowu odbywam spotkania z wieloma polskimi piosenkami, jak ze starymi, drogimi przyjaciółmi. Ich melodie często gram na harmonii, na pianinie, a nawet na trąbce! Tak się w życiu złożyło, że nie miałem możliwości zdobycia wykształcenia muzycznego. Ale muzyka była dla mnie zawsze najwyższym dobrem i nie wyobrażam sobie bez niej życia. Dlatego mam teraz w domu aż 10 instrumentów: skrzypce, akordeon, bajan, pianino, saksofon, klarnet, gitarę, puzon i nawet harmonijkę ustną (organki). Kolekcja ta wprawia mnie w ogromną dumę, niezależnie od jej wartości, ponieważ żaden z mych przyjaciół nie może pochwalić się tak bogatym zbiorem. Ale, proszę wybaczyć, odbiegłem trochę od zasadniczego tematu. Otóż... od wczesnych, wojennych lat, polska pieśń żyje we mnie obok pieśni rosyjskich i pieśni innych narodów. Zresztą nie tylko ja, ale i inni ludzie moi rówieśnicy, a więc ci, którzy wówczas walczyli z faszyzmem, znają dobrze i pamiętają polskie piosenki przełożone na język rosyjski przez nieznanych tłumaczy. Przykładem może być wspomniana w NIECH WIATR JĄ PONIESIE piosenka o sanitariuszce Ninie. W rosyjskim przekładzie usłyszałem ją pod koniec wojny od jednego z żołnierzy frontowych:

Miłaja, nie płacz, nie nada —
Grustnych pisiem mnie nie szli.
Znaju, szto i ty nie rada,
Ot lubimow wdali.
Jesli ja nie pa ulice prajdu,
W sumierkach twoi dom najdu.
Nina. Ja tiebie w akoszka postaciu
I tochońka pazawu".

Ja: (O tak, to była bardzo lubiana piosenka przez naszych żołnierzy. Była ładna, miała słowa, które wtedy wywoływały w człowieku ukryte lub świadomie skrywane uczucia: miłość, przyjaźń, radość, braterstwo, tęsknotę, a jakże często i... łzy. A przy tym była tak prościutka, jak ówczesne życie. „Narodziła się" ponoć w jednym ze szpitali polowych. Pracowała tam śliczna sanitariuszka, w której kochali się wszyscy bez wyjątku: ranni i zdrowi, lekarze i łapiduchy, no i pewien porucznik też, i wąsaty dowódca baterii lekkich dział. Właśnie ów porucznik, którego nazwisko wymieniam w antologii, poświęcił owej sanitariuszce piosenkę, zaś melodię do niej skomponował ów wąsaty dowódca artylerzysta. Kiedy w tym szpitalu wojennym odbywał się występ żołnierskiego teatrzyku, oczywiście obowiązkowo aktorzy musieli i tę piosenkę zaśpiewać:

Okurzony, ogorzały, z automatem w ręku swym,
Mundur zdarty, w kurzu cały, w oczach senność, w ustach pył.
Przejdę poprzez znanych ulic rząd,
Cicho stuknę ręką w okno twe...
Nino! Siądę w naszym starym parku, skąd
Wzywać będę, miła, cię.

Tak brzmi fragment piosenki w wersji polskiej. Podobno jeden z rannych żołnierzy kazał sobie zapisać tekst chemicznym ołówkiem na gipsie, którym miał obłożoną pogruchotaną nogę, żeby móc dobrze zapamiętać słowa tej sentymentalnej piosenki. Mogło tak być! Frontowcy notowali piosenki na skrawkach gazet, na pasach z ładownicami, słowem — gdzie kto mógł i jak mógł. W ten sposób piosenki odbywały dalekie drogi.)

Sergiusz: „Oczywiście wtedy, w czasie wojny, nikt z nas nie znał autora „Niny", ani tego, że była polską piosenką. Powszechnie uważano, że jest to ludowo-żołnierska pieśń rosyjska. Jej popularność wśród naszych frontowców i w ogóle żołnierzy była wprost ogromna. Chyba tak, jak wśród waszych — „Rozszumiały się wierzby płaczące". Pierwszy raz usłyszałem ją od polskich żołnierzy w styczniu 1943 roku, a po wojnie jeden z byłych frontowców zaśpiewał mi ją w takiej oto rosyjskiej wersji:

Na wietru razszumies bierezy,
Sried pagożywa letniewa dnia.
Szto ty samtrisz, dziewczionka, z kwoś slozy —
Szto s taskoju gladisz na minia?...

A czy tylko polskie „Wierzby" weszły do skarbca rosyjskich pieśni? Zupełnie niedawno od mego przyjaciela, smoleńskiego pisarza Mikołaja Żurkowicza dowiedziałem się przypadkowo, że w latach powojennych popularnością cieszyło się „Serce w plecaku", w rosyjskim przekładzie. Tę pieśń śpiewał on będąc kursantem letniej szkoły, a nauczył się jej także od byłych frontowych żołnierzy. Tak więc możemy dzisiaj powiedzieć, że w surowe lata wojny, przepełnione ogniem i walką, nasze oba narody połączyło nie tylko braterstwo broni, ale również — braterstwo pieśni. Dowodów na to jest ogromnie dużo, chociażby narodziny „Błękitnej chusteczki" z melodią Jerzego Petersburskiego i „Aganioka". Obie są także związane z polską kulturą muzyczną. Wiersz mojego ziomka, znanego i wydawanego poety Michała Issakowskiego połączył się w jedną całość z melodią popularnego niegdyś w Polsce tanga. Jak to było? Można powiedzieć, że pieśń „Aganiok" urodziła się dosłownie na froncie. Żołnierz radziecki, czołgista Mikołaj Nikonenko grający na bajanie i znający melodię polskiego tanga „Stella", któregoś dnia czytał w gazecie frontowej wiersze Issakowskiego. Wiersz „Aganiok" znakomicie pasował do ulubionej przez czołgistę melodii. No i w tak prościutki sposób urodziła się ta piosenka, która w mig dostała skrzydeł i zawojowała serca frontowców. Obie te pieśni i obecnie nie utraciły swojej popularności.

Dwa lata temu przetłumaczyłem na język rosyjski moją ulubioną piosenkę „Rano, rano, raniusieńko". Dałem jej tytuł „Kasia" (polskaja narodnaja piesnia) i włączyłem ją do książki przekładów polskich poetów (w tym również i łodzian), nad którą obecnie pracuję. Tekst posyłam z dedykacją:

Tichim, rozawym i jasnym
Utram, za sieło,
Wyganiała w pole Kasia
Na rasu wałow..."

* * *

Tak kończy się list Sergiusza Maszkowa ze Smoleńska. W tych dniach odpiszę mu i opowiem o naszych piosenkach z lat wojny, do których melodie lub słowa czerpaliśmy wtedy z bogatej rosyjskiej i radzieckiej twórczości ludowo-żołnierskiej. Opowiem mu nie tylko o „Wierzbach płaczących", które melodię „otrzymały" ze starego rosyjskiego marsza, albo też o pieśni powstańców Warszawy z melodią „Jesli zawtra wajna", czy wreszcie o partyzanckiej naszej „Zosieńce", ułożonej na kanwie prześlicznej „Katiuszy". Opowiem mu tak, jak on mnie, o wspaniałym braterstwie pieśni.

ŁÓDŹ 77

FELIKS BĄBOL

NIE MA JUŻ TAMTYCH CHOJEŃ

Chodzę po Czerwonym Rynku, Rzgowskiej, Łącznej i szukam. Gdzie jest Robert — harmonista, któremu, jak to ludzie mówili, „padło na umysł"? Gdzie są te szkoły „powszechne" u Engla na Rzgowskiej, na Miłej i u Stolarowa, do których chodziło się tylko do czasu znalezienia jakiejkolwiek pracy?

Na Czerwonym Rynku pobrzmiewają już tylko odległe echa piątkowych i wtorkowych targów, na które przybywali chłopi z Gospodarza, Starowej Góry, Rzgowa, Tuszyna. Giną w czeluściach czasu przeszłego junackie rozprawy rycerzy noża i kastetu. Nie ma kina „Colosseum", do którego chodziło się na sfałszowane bilety, gdyż najtańsza wejściówka kosztowała aż 50 groszy. Na Czerwonym Rynku bezrobotni handlowali papierosami „własnej roboty", a kiedy nie było targu chłopcy grali w szmaciankę na zaimprowizowanym, kamienistym boisku. Ci chłopcy przez osiem miesięcy w roku chodzili na bosaka a na całej ulicy wyróżniała się tylko niewielka garstka synów i córek sklepikarzy i kamieniczników, chodzących w obuwiu.

Znikły setki drewnianych domków — sklepiki Małeckiego, rzeźnik koński na rogu Rzgowskiej i Czerwonego Rynku, nie ma już długiego, czarnego płotu okalającego ogrody Hitmana, pełne tajemnic i godne naszej zawiści. Nie ma śladu po dworkach drewnianych tonących wśród zieleni od wschodniej strony Rynku, nie ujrzysz już zionących ostrym bukietem zapachów rynsztoków odcinających Łączną, Lelewela, Podmiejską i Wysockiego od bezkresnych pól ciągnących się aż do murów fabryki Haeblera przy Dąbrowskiej.

Nie ma już tamtych Chojen

W domach-wieżowcach, które stanęły tu grzebiąc drewnianą przeszłość dzielnicy, mieszka już dziś około sto tysięcy ludzi. Gdy w rejonie Rzgowskiej, Kurczaków i Społecznej doprowadzono do jednorodzinnych domków, których tu jeszcze dużo, oświetlenie i wodę, zbudowano pawilon handlowy, a ulice i drogi osiedlowe otrzymały twarde nawierzchnie, ludzie mówili, że to jest największe osiągnięcie władzy ludowej.

Gdy chodzisz po Górnej, łatwo dojdziesz do wniosku, że budują dzielnicę dwie siły: państwo, które stać dzisiaj na wieżowce, gmachy użyteczności publicznej, wielkie i nowoczesne fabryki — i ludzie, którzy oszczędzali nieraz całe życie, odejmowali sobie od ust, aby na stare lata zamieszkać „na swoim". Dziś tych ludzi coraz mniej. Rzetelna praca ludzka na ogół systematycznie wynagradzana jest awansem czy też nowoczesnym M-3 czy M-5.

Dalszy ciąg na str. 9

TADEUSZ GICGIER

NA PRZEŁOMIE ZIMY

Jeziora ścięte lodem, ścięta lodem woda
w wiadrze, z tej zimy wstawaliśmy razem
słaniając się na nogach.

Padaliśmy, wstawali i razem w milczeniu
z dna, z najgłębszych pokładów, spod grudy
ja i moja nowa ziemia.

Tak szliśmy po omacku, oboje pozbawieni
oddechu, ciężko dysząc, ten chód nas połączył
węzłem krwi, oddaleni sto mil od nadziei,
nogi miałaś czerwone od mrozu jak kłącza
tataraku, trud był tak wielki, nawet przeczuwanie
przyczupnęło, uciekło w biel warg, krew uciekła
tysiąc mil od ogrodów, gdzie zbutwiałe liście
palą się o przedwiośniu, chleb kwaśno z piekarni
pachnie ręcznej, drzewne szczapy skwierczą smoliście
i dżdżownice wychodzą pierwszy raz spod darni.

Przecież wyszliśmy z nimi na majową rosę
ja, moja nowa ziemia, i moi przodkowie,
szliśmy boso, znów boso.

Supraśl, 1973

* ★ *

O jakże wcześnie zaczyna się człowiek.
Wczoraj pełzałeś jeszcze na czworakach,
lecz już, pamiętam, z nieforemną głową
odrzuconą do tyłu: to duma gatunku,
ze wzrokiem wbitym w ziemię:
to retusz dla dumy.
A gdy uniosłeś oczy, biła w nich
czułość i przywiązanie.
Chwyciłeś mą nogę,
a potem ją ugryzłeś: zwykłe okrucieństwo.
Tak postępujesz dalej, teraz mocno stojąc
na dwóch nogach,
ja pełzam bezradnie.
bo nie wiem, w czym dopomóc ci, a w czym przeszkodzić.
Lecz ty, mówią uczeni, ty już będziesz mógł
regulować w potomku cechy osobowości,
władze umysłu, talent taki a nie inny,
przykręcać jak knot lampy gniew, smutek, wesołość,
a może nawet szczęście będziesz mógł podkręcić,
aż strzeli wielki płomień.
I tego najbardziej
lękaj się, by ten płomień wraz nie spalił ciebie,
jego, mnie.
Choć moja obawa przecież płonna,
to będziesz już podówczas nazbyt doskonały.

WIĘŹNIOWIE

W jednej celi
dwaj więźniowie,
wrogowie najzawziętsi,
skłóceni ze sobą
na śmierć i życie,
pragnący swojej śmierci,
żyjący ze sobą razem.
Zadają sobie ciosy,
broczą krwią,
słaniają się na nogach.
Padają
pod dwiema przeciwnymi
ścianami,
ciężko dyszą.
Na krótko
zawierają pokój,
potem
rzucają się na siebie
ze zdwojoną energią.
W jednej celi
dwaj więźniowie —
jeden człowiek.

* ★ *

Jestem alkoholikiem umiarkowanym,
drobnym alkoholikiem,
a jednak,
a jednak ubywa wciąż tego płynu,
który zwą nektarem życia
albo też
— to synonim —
eliksirem miłości.
Sączę go powoli, ale systematycznie,
o krótkie chwile oszołomienia,
ekstazy,
wzlotu,
lewitacji,
o długie stany depresji,
sięgania dna
i jeszcze niżej,
gdzie błysk w ciemnościach
ukazuje krawędź nicości.
Modlę się do nie istniejącego Boga:
dozwól, o Panie,
aby ostatni mój łyk
był łykiem z leśnego źródła
czystego jak oczy dziecka,
abym napił się tak
jak ptak pije.
i odszedł jak ptak:
tak rzadko widzi się ścierwo ptaka.

Wiersze ze zbioru „Pamięć genetyczna", który ukaże się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

RÓŻE PROFESORA DZIWISZA

(FRAGMENT POWIEŚCI)

Wolałbym uczyć te dzieci niż przemądrzałe pannice — przyszło na myśl profesorowi Dziwiszowi. Zastępował właśnie chorego kolegę i zupełnie nie przygotowany stanął przed dziesięciolatkami. Dziewczynki podpierały brody piąstkami i przypatrywały się uważnie nieznanemu „panu", co jakiś czas chwiały się barwne bukiety kokard, kiedy jasne, ciemne, a nawet i rude główki pochylały się ku sobie.

W przyrodzie i w ogóle na świecie — rozpoczął Dziwisz — nie ma ani ciszy, ani bezruchu, przyroda żyje. I cóż z tego, że nie wieje wiatr, pusto wokoło, ani domu, ani człowieka. Rozejrzyjcie się uważnie — mrówki wchodzą na drzewo, bogato stębnowane motyle pływają w powietrzu, śmiga w trawie wiewiórka, a i biedronka nie leży bezradnie na grzbiecie, usiłuje przekręcić się na nóżki, ulecieć w niebo, po którym żeglują chmurki. Wszystko żyje, wykonuje funkcje swojego gatunku, wszystko co jest maleńkie, prawie niedostrzegalne i największe w przyrodzie.

— Które zwierzę jest największe?

Kilka rąk zachybotało nad główkami.

— Wieloryb, proszę pana, może mieć więcej niż trzydzieści metrów!

— Dobrze. A ile ma wzrostu największy człowiek na świecie?

Milczenie.

— Dwa metry siedemdziesiąt pięć centymetrów. A które drzewa są najwyższe?

Znowu kilka rąk w górze.

— Eukaliptusy! Sekwoje!

Lekcja nabierała rumieńców, dzieci uczestniczyły w niej z coraz większym zainteresowaniem. To nie te znudzone, obce dziewczyny z najstarszych klas. Cóż je obchodzą fenomeny przyrody, zasypiają kiedy słyszą o cudownych sposobach rozmnażania się. Nawet Sempervivum soboliferum żadnej nie zainteresowało, a przecież kiedy zielona różyczka rojnika spadnie bokiem na ziemię, albo na główkę, to się przekręci jak chrząszcz i osiągnie prawidłowe dla dalszego wzrostu położenie.

— A które roślinki są najmniejsze?

Cisza.

— Macie rację, nie bardzo wiadomo które. Ja też nie wiem, czy już odkryliśmy te najmniejsze maleństwa, ale wiele z nich znamy. One to sprawiają, że błyszczy srebrno-zielone światełko robaczka świętojańskiego, świeci morze, niektóre ryby i zwierzęta. Bakterie zwiększają urodę świata, dostarczają mu światła, przyroda nieustannie i celowo pracuje, jest w swym rozwoju daleko bardziej logiczna niż człowiek.

Słuchały z rosnącym zaciekawieniem. Jaka szkoda — pomyślał Dziwisz — że te dzieci wpadną w ręce plotkarzy w rodzaju historyków. Anegdotkami będą znęcane do Czarnieckiego czy Sobieskiego, beztroscy gawędziarze zmitologizują niepewną jeszcze wiedzę tych miłych dzieci, ktoś tam się jąkał, aby po zwycięstwie nad ułomnością lepszym być od Demostenesa, a znów inny, słaby i nieporadny, po zwycięstwie nad sobą, obracał lekko olbrzymim mieczem nad głowami bisurmanów. Jedni lubili tylko mleko, albo kochali swoje matki i dlatego wyrośli na bohaterów. Nikt tak nie zmyśla, fryzuje, przykrawa faktów do potrzeb chwili jak koledzy historycy, potrafią — jak trzeba — zapominać o ważnych bitwach, a nic nie znaczące podnoszą do rangi rozstrzygających. A poloniści nie lepsi.

— Jak chińskie lampiony świecą w naszych wodach zielenią i błękitem drobniutkie krzemki i planktony, glonowe zielenice płyną jak wianki w noc świętego Jana, migają, pobłyskują, są stanowczo piękniejsze od słów poety, fantastyczne w kształtach, cudowne, choć przecież bez cudów powstały, lecz dzięki logicznej odwiecznej ewolucji.

Usłyszał dzwonek. Skłonił się dzieciom i wyszedł do szkolnego ogrodu. Miał teraz „okienko", wolną godzinę przed lekcją w najstarszej klasie. Usiadł w altance i słuchał zwykłej, codziennej wrzawy szkolnej. Aż do siatki ciągnęły się szpalery ulubionych róż Dziwisza. Za siatką inny świat — szkoła zawodowa, wypełniona po brzegi źle wychowaną, niesforną młodzieżą, która uczyła się trudnej zapewne sztuki podawania śniadań, obiadów i kolacji w restauracjach i barach. Młodzież z liceum ogólnokształcącego, układną i dobrze wychowaną, należało oddzielić od tamtej, wstawiono więc kraty pośrodku wielkiego gmachu, kraty podzieliły na dwie części długie korytarze, piwnice i strych, przy kratach czuwali dyżurni. Podzielono również rozległy plac szkolny, a jego najbardziej zaniedbaną część zachwaszczoną, porosłą dzikimi krzewami, otrzymał Dziwisz we władanie absolutne i niepodzielne. Karczował, wzbogacał ziemię nawozami, podciągnął wodę i tak, przy walnej pomocy młodzieży — powstało pierwsze dzieło jego życia: wzorowy ogród szkolny, który miał zbliżyć młodzież do przyrody, tej mistrzyni w budowaniu racjonalnego porządku świata.

Róże zakwitły w tym roku nad podziw. Jeszcze nie wyschła na płatkach nocna rosa, kryształowe krople skrzyły się odmianami bieli, żółci, złota, czerwieni a i błękitu. Ten niezwykły rodzaj róż otrzymał Dziwisz aż z Afryki. Róża biała i czerwona, związana z dziejami Anglii, zdobiąca herby Yorków i Lancasterów, bogate, różane maswerki w oknach romańskich i gotyckich świątyń, Bracia Różanego Krzyża, którzy chcieli poprawić dolę człowieczą, tragiczni Różokrzyżowcy, olejek różany dla młodych, różaniec dla starych kobiet... róża — pierwsza chyba roślina, którą zaczął hodować człowiek dla jej dumnego piękna. Nie znali jej Egipcjanie ani Żydzi, choć w „Pieśni nad pieśniami" wspomina Salomon różę sarońską. Ot, bujda rzekomych historyków! W dolinie Saronu rosły tylko lilie, wielkie, jaskrawoczerwone Lilium chalcedonicum. Róże znali jednak Persowie, to właśnie tam powstał poemat o słowiku zakochanym w róży. Grecy je wzięli od Persów, od Greków Rzymianie. Na gości Nerona spadały deszcze z płatków róż, chytry Heliogabal zesłał taki deszcz na swoich wrogów, że zginęli przysypani pachnącą lawiną. Najstarsza z pisanych zagadek dotyczy róży.

Quiunque sunt fratres
Duo sunt barbati,
Duo sine barba nati,
Unus e quinque
Non habet barban
Utrinque...

Rozważania na temat róż przerwał Dziwiszowi dyrektor szkoły magister Chlebosz, jeden z tych, co wszystko wiedzą o wychowaniu i prawie nic o wychowankach. Dziwisz wysupłał się niechętnie z marzeń o najstarszym z kwiatów hodowanych przez człowieka.

— Pan kolega ubóstwia róże, prawda?

Kiepski początek — pomyślał Dziwisz — kiedy Chlebosz grzeczny to się może skończyć na dużym kłopocie.

— Wyróżniam je ze względu na wagę symbolu róży w życiu człowieka.

— Ja także, drogi panie kolego, ja także! Pamiętam, że za moich lat gimnazjalnych mówić przyjacielowi pod różą znaczyło tyle, co w sekrecie. Rozumiemy się?

— Jak najbardziej, panie dyrektorze, już starożytni Rzymianie znali ten symbol. Jeżeli gospodarz wieszał nad stołem gałązki róż...

— To znaczyło — wpadł mu w słowa Chlebosz — że będziemy rozmawiali szczerze, nie krępując się, ale to co zostanie powiedziane, między ludzi pójść nie może. Róża to kwiat dyskrecji, rozumiemy się?

Za żelazną siatką ćwiczyły źle wychowane dziewczęta, ostry gwizdek dyktował sprężyste ruchy rąk i nóg, ręce w górę, w bok i przysiad! Chlebosz usiadł obok młodszego kolegi, poklepał go życzliwie po kolanie. Źle — Dziwisz był już tego pewien — zaraz otrzymam jakieś ważne polecenie. Dyrektor miał styl, trudno temu zaprzeczyć. Zawsze elegancko ubrany, pachnący modnym yardlejem, swobodny, ironiczny, dostrzegał z miejsca wady i śmiesznostki u każdego wyjąwszy siebie. Na posiedzeniach rady pedagogicznej podkreślał zawsze coś ogromnie istotnego — kształtowanie jedności pokoleń walczących kiedyś z budującymi dziś, jako moment wychowawczy, patriotyzm dnia dzisiejszego oparty na pracy jako kanon dydaktyczno-wychowawczy w każdym przedmiocie nauczania, samodzielność myślenia u młodzieży jako niezbędny warunek realizacji programu wychowania, kształtowanie atmosfery dyskusji i dociekliwości wśród młodzieży, zgodnie z zaleceniami władz, ale w rozsądnych granicach ma się rozumieć. Chlebosz wyczuwał bezbłędnie kierunek wiatrów wiejących z kuratorium i ministerstwa. Czy uczynił kiedy co złego? Chyba nie, wiedział dobrze, że zawsze gdzieś niżej znajdą się, muszą się znaleźć podwładni, którzy wykonają każde polecenie, bo to ich obowiązek.

— Jak pan kolega wie — dobro szkoły stawiam ponad wszystko.

— Oczywiście, panie dyrektorze.

— Ale — i to chcę szczególnie podkreślić — za dobre imię szkoły odpowiadamy wszyscy, pan również. Rozumiemy się?

— Rozumiemy.

Chlebosz podniósł się, ręce założył do tyłu. Z tą twarzą namaszczoną olejkami świętej prawdy, wyglądał jak posąg, który zbudował na swoją cześć.

— Chcę koledze powierzyć sformułowanie ostatecznych wniosków w sprawie Sikorskiej. Zbadać, przygotować, uzgodnić, zreferować na radzie pedagogicznej. Rozumiemy się?

— Nie bardzo, panie dyrektorze, wychowawczynią Sikorskiej jest pani profesor Surowcowa.

— Chwyta pan problem z miejsca, chociaż nie do końca rozumie. Skądinąd zacna pani profesor Surowiec nie może tej sprawy prowadzić ze względu na powiązania. Dlatego, kiedy spytam, kto się podejmie, proszę zgłosić swoją kandydaturę, ale szybko, w każdym razie przed profesor Surowiec. Ta sprawa dobrze panu zrobi. Rozumiemy się?

Odszedł różaną aleją nie czekając na odpowiedź. Róża nie interesuje się otoczeniem — przypomniał sobie Dziwisz — ozdabia swoje kwiaty kolcami, perfumuje płatki wcale nie dla ludzi, którzy ją podziwiają, wie o tym każdy przyrodnik z jaką taką wyobraźnią. Róża wabi owady aby pracowały dla niej, przenosiły z kwiatu na kwiat jej chwałę umieszczoną w zapładniającym pyle. Róża patrzy chłodno na pracowite pszczoły, trzmiele i muchy służące jej wiernie od prawieków. A one spełniają swoją powinność nieświadome komu służą. Chlebosz to róża — a my pożyteczne pszczoły — zaniepokoił się. Dyrektor kierował szkołą jak teatrem. Reżyserował znakomicie wszystkie spektakle, uroczystości, patriotyczne rocznice, ale i w zwykłe dni nauczycielskiej pracy nie schodził ze sceny, rozstawiał aktorów wyspecjalizowanych w matematyce, historii czy wychowaniu fizycznym, określał wyraźnie zasady ruchu scenicznego, wejścia i zejścia, wiedział zawsze w którym miejscu spuścić kurtynę, wyznaczał role i dbał o to, aby były grane zgodnie z jego koncepcją reżyserską, spełniał także wszystkie obowiązki suflera.

A teraz zachował się inaczej, nie udzielił Dziwiszowi żadnej wskazówki w sprawie Sikorskiej. Dlaczego? Dziwisz nie znał szczegółów tej sprawy, owszem, słyszał, że coś strasznego, ba, oburzającego, działo się w domu Sikorskich. Podobno inżynier Sikorski wyjechał z żoną pokierować jakąś budową w Afryce, a może w Azji, podobno młodzież obojga płci zbierała się wykorzystując nieobecność rodziców i urządzała orgie oparte na całkowitym bezładzie seksualnym, podobno nie brakuje w tej sprawie akcentów politycznych, kosmopolitycznych, podobno, podobno... Jeżeli Chlebosz nie chce się angażować w tę sprawę, a nie chce, ponieważ nie sugerował wyroku, pragnie wpuścić Dziwisza w maliny.

— Można przerwać koledze zadumę?

Surowcowa przyglądała mu się wyraźnie.

— Ależ bardzo proszę, rozmyślałem właśnie o różach.

— Nie czas żałować róż...

— Czyżby płonęły lasy?

Dziwisz nie znał jeszcze zbyt dobrze większości swoich koleżanek i kolegów, uchodził nie bez racji za samotnika, młodego mola książkowego i wiecznego studenta w dziedzinie botaniki, niełatwo nawiązywał bliższe stosunki. Surowcową szanował i cenił za wielką wiedzę, takt pedagogiczny i trudne do nazwania wewnętrzne ciepło. Siwa harcerka — tak zwykł określać niemłodą już, ale pełną życia nauczycielkę geografii, przedmiotu mu bliskiego. Jej klasa włożyła najwięcej trudu w użyźnianiu dzikiego ugoru, dziewczęta a zwłaszcza chyba ta Sikorska, zaskoczyły go przed rokiem niezwykłym prezentem. Były to afrykańskie róże. Surowcowa prowadziła swoje dziewczęta i nieliczną garstkę chłopców wgłąb kraju, odkrywała jego uroki, skarby przyrody, zabytki historyczne, zawsze młodzieńcza, wypatrywała nowej przygody.

— Ten kabotyn chce skrzywdzić Marysię Sikorską pana rękami.

— Skąd pani wie? — spytał zaskoczony.

— Wszyscy już wiemy. Pan nie może wziąć na siebie odpowiedzialności. Nikt z nas jej nie weźmie w tych warunkach.

— Dlaczego?

— Dlatego, że on tej sprawy nie odda nikomu prócz pana, liczy na pana prawość i brak doświadczenia.

— Ależ ja nie znam Sikorskiej, ani jej klasy, środowiska...

— Właśnie dlatego pana wybrał.

— Nie rozumiem.

— To proste, będzie mógł panem powodować, doradzać niby niezobowiązująco, dyskretnie kierować. Przemyślał każdy pana krok, każde słowo i każdą ścieżkę, którą pan pójdzie sądząc, że sam ją sobie wybrał.

— A co w końcu złego zrobiła Sikorska? Wiem tylko, że mi przyniosła afrykańskie róże.

— Zapewniam pana, że nic strasznego, chociaż przydałoby się natrzeć jej uszu.

— Więc jednak!

— Jakie tam jednak! Wygłupiała się po prostu, ona i inni, karykatura zabawy w dorosłych.

— O cóż w takim razie chodzi?

Usłyszeli dwa szybko po sobie następujące dzwonki, donioślejszy z lewej strony gmachu podzielonego na dwie części, słabszy z prawej, gdzie mieściła się szkoła zawodowa. Obaj woźni trudne mieli zadanie, próbowali wyprzedzać się wzajemnie dzwonkami zgodnie z życzeniami dyrektorów, nie mogli jednak skracać ani lekcji ani pauz.

— Sam się pan przekona, co znaczy zawiść.

Surowcowa skinęła uprzejmie głową i zostawiła Dziwisza z jego różami.

POCZĄTKI NIEMIECKIEJ MYŚLI SOCJALISTYCZNEJ

Że względów zawodowych zajmowałem się w ostatnich tygodniach problematyką niemiecką, co wiązało się — jak to zwykle w takich przypadkach bywa — z dość intensywną lekturą rozmaitych książek. Znalazła się wśród nich ciekawa polska rozprawa **Jana Garewicza „Między marzeniem a wiedzą"**, opublikowana jeszcze w 1975 r. przez Książkę i Wiedzę, a poświęcona początkom myśli socjalistycznej w Niemczech. Praca to z pewnością ważna, dotycząca istotnej problematyki naukowej, dotychczas niemal całkowicie zapoznanej w naszym piśmiennictwie. Na pewno — co się tyczy historii myśli socjalistycznej — wiele więcej wiemy o francuskich i angielskich źródłach naukowego socjalizmu, aniżeli o przedmarksowskich tradycjach socjalistycznych w Niemczech. Z pewnością też — jak to podkreśla J. Garewicz — zbyt często skłonni jesteśmy spoglądać na niemieckie życie intelektualne w XIX wieku przez pryzmat naszych własnych późniejszych doświadczeń i traktować je przede wszystkim **„jako zalążek ideologii dwudziestowiecznych"**. Tego rodzaju spojrzenie nie jest zresztą niczym innym, jak odwróceniem typowych dla tradycyjnej niemieckiej nauki historycznej interpretacji przeszłości jedynie z punktu widzenia tego, co z niej wynikło, z jednoczesnym pomijaniem wszystkiego, co w dziejowej rywalizacji poniosło klęskę.

Tymczasem — jak słusznie podkreśla to J. Garewicz — **„rzeczywistość była bez porównania bardziej złożona. Przed Niemcami, przed myślą niemiecką stało otworem wiele dróg. Okoliczność, że zrealizowały się właśnie te, nie oznacza, że były one nieuchronne. Dzieje Niemiec, społeczne, polityczne i intelektualne, podobnie jak wszelkie dzieje, nie były z góry jednoznacznie przesądzone. Aby zrozumieć to, co w nich zaszło, trzeba zdawać sobie sprawę z całej gamy istniejących możliwości"**.

Lektura książki J. Garewicza pozwala polskiemu czytelnikowi lepiej zrozumieć podstawowe problemy dziejów niemieckich w tak zwanym przez badaczy okresie „przedmarca", poprzedzającym Wiosnę Ludów. Społeczne i ideowe przemiany tego okresu są dzisiaj przedmiotem intensywnych badań w wielu krajach, by wspomnieć tu o bardzo interesujących, pod wieloma względami pionierskich — choć przypominających sposobem ujęcia polskie badania J. Kamionkowej i innych historyków życia literackiego — studiach młodego uczonego z NRD Rainera Rosenberga, autora kapitalnej książki o stosunkach literackich w Niemczech w tej epoce, wydanej jednocześnie z książką J. Garewicza w 1975 r.

W roku bieżącym (1977) ukazał się w NRD ciekawy tom szkiców polemicznych o zagadnieniach „przedmarca", ogłoszony podobnie jak książka R. Rosenberga w serii **„Literatur und Gesellschaft"**, publikowanej przez Akademie — Verlag w Berlinie. Z pewnością to dobrze, że na ten trudny obszar problemowy wkroczył również uczony polski, badający początki niemieckiej myśli socjalistycznej. Znawców jednak spraw niemieckich tej epoki nie ma u nas zbyt wielu, więc nie oni będą stanowili większość czytelników tej książki. Zainteresuje ona z pewnością także badaczy dziejów kultury polskiej, a to ze względu na bardzo mało znane, ale istotne powiązania jej z Niemcami w pierwszej połowie XIX w.

J. Garewicz dzieli się z czytelnikami swą obserwacją: **„z pism Dembowskiego wynika niezbicie, że wczesnosocjalistyczna myśl niemiecka nie była bynajmniej w Polsce nieznana, co więcej, wydaje się, że wieści o socjalizmie francuskim płynęły często via Niemcy, przełamane przez pryzmat tamtejszej recepcji"**.

J. Garewicz na wstępie do swej pracy nieco narzeka na stan literatury badanego przezeń przedmiotu. Pewnie ma wiele racji — on ją przecież czytał, a nie ja. Ale równoległa z czytaniem jego książki lektura nowej pracy uczonego włoskiego Gian Mario Bravo — autora obszernej monografii o Wilhelmie Weitlingu (1963) — zatytułowanej: **„Stodia del socialismo 1789—1848. Il pensiero socialista prima di Marx"**, wydanej w Rzymie w 1976 r., każe mi być sceptycznym wobec tych narzekań polskiego badacza. Ileż tu, w aparacie krytycznym tej książki, nie uwzględnionych przez J. Garewicza prac, odnoszących się do dziejów niemieckiej myśli socjalistycznej przed Wiosną Ludów. Sprawy te interesują dziś badaczy w wielu krajach, a literatura naukowa mnoży się w niezmiernie szybkim tempie. Z całą pewnością warto ją śledzić dokładnie' niż dotychczas.

ANDRZEJ F. GRABSKI

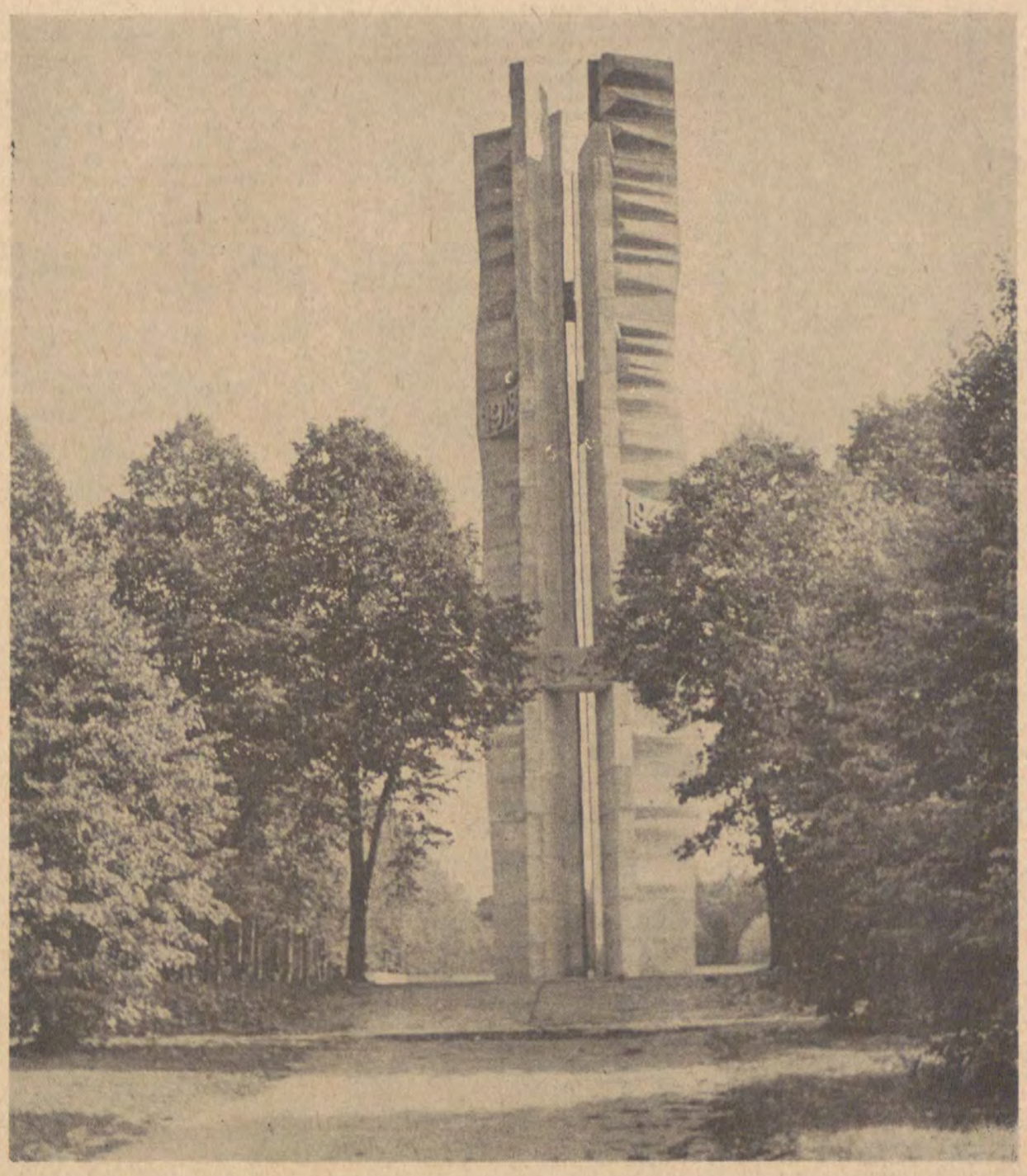

Fot. W. Parys

JAN POWAŁA

RUCH ROBOTNICZY: ZACZYNAŁO SIĘ ZBROJNE DZIAŁANIE

Rewolucyjna działalność Juliana Marchlewskiego stworzyła trwałe podwaliny tradycji, z których dziś obficie korzystamy, pielęgnujemy i cenimy, uważając je za szczególnie wartościowe ogniwo ciągłości historycznej naszego narodu, jego przodującej siły — klasy robotniczej. Są to prawdy dziejowe, godne zapamiętania i przekazywania przyszłym pokoleniom.

Jak dotąd, nie znalazła jeszcze pełnego odbicia w naszej historiografii wojskowa strona działalności Juliana Marchlewskiego i całej SDKPiL. Jedynie dr Norbert Michta w swoich pracach, poświęconych J. Marchlewskiemu zwraca uwagę na to zagadnienie.

Wojskowa działalność Juliana Marchlewskiego związana jest bezpośrednio z koncepcją wojskową SDKPiL, bowiem był on jednym z głównych przywódców tej partii. Od chwili swego istnienia SDKPiL, jako partia marksistowska była bezwzględnie wrogo ustosunkowana do wszelkich wojen, toczących się między państwami kapitalistycznymi, słusznie bowiem uważała, że są one prowadzone zawsze kosztem proletariatu i tylko w interesie klas posiadających. Przy tym SDKPiL nie ograniczyła się tylko do ogólnego wyjaśnienia charakteru grożącej wojny i do jej potępienia, lecz prowadziła agitację masową w czasie pokoju, skierowaną przeciwko przygotowaniom wojennym, przeciwko militaryzmowi. Żądała zawsze bezwzględnego odrzucenia wszelkich kredytów i budżetów wojennych. Czołową rolę w tej działalności odgrywał Julian Marchlewski.

Powstanie czerwcowe w Łodzi (23—25 czerwca 1905 r.) stało się w pewnym sensie punktem zwrotnym w poglądach SDKPiL na sprawy powstania zbrojnego. Było ono dla jej przywódców olbrzymią szkołą doświadczenia rewolucyjnego i pomogło znacznie przezwyciężyć niezrozumienie konieczności przygotowania powstania zbrojnego ze strony techniczno-materiałowej, a nie tylko politycznej. Ponadto powstanie wykazało konieczność powiększania szeregów bojowników rewolucji, zwiększenia uzbrojenia robotników oraz rozszerzenia pracy rewolucyjnej w wojsku. Wreszcie doświadczenia z Powstania Łódzkiego wskazywały na konieczność koordynacji rewolucyjnych działań powstańczych proletariatu różnych części imperium rosyjskiego przeciwko carowi.

Stosunkowo największe sukcesy odniosła partia na niwie propagandowo-agitacyjnej w armii carskiej. W tym zakresie przywódcy SDKPiL ściśle współpracowali z SDPRR, która już w 1902 roku zaczęła tworzyć wojskowo-rewolucyjne organizacje w garnizonach Królestwa Polskiego. W 1903 roku powołano do życia w Puławach Komitet Południowy SDKPiL, którego głównym obiektem działania była praca rewolucyjna w garnizonie puławskim.

Komitet wydrukował wiele ulotek, odezw i literatury socjalistycznej, wyjaśniających żołnierzom, poborowym i rezerwistom cele i dążenia proletariatu oraz postawę wojska w wypadku rewolucji. Dalszy wysiłek SDKPiL w kierunku rozszerzania pracy wśród wojska przyczynił się do utworzenia nowych komórek wojskowo-rewolucyjnej organizacji w Łodzi, Kielcach, Radomiu i Siedlcach. Do działalności agitacyjnej w armii carskiej przystąpiła także PPS-Lewica.

Działalność agitacyjna SDKPiL w wojsku dała pozytywne rezultaty. W 1905 roku w warszawskim okręgu wojskowym działało aż 11 wojskowo-rewolucyjnych organizacji, które rozprowadziły wśród żołnierzy przeszło 70 tysięcy egzemplarzy czasopisma „Sołdatskij Listok", 110 tysięcy ulotek i odezw, 1000 broszur socjalistycznych, 700 różnych pism rewolucyjnych, wydawnictw prasowych i dzieł klasyków. Miarą sukcesów w agitacji żołnierzy był fakt wybuchu w Królestwie około 50 buntów wojskowych, w których miało wziąć udział około 2 tysięcy żołnierzy.

W wyniku działalności przywódców SDKPiL, a szczególnie Juliana Marchlewskiego, został wzbogacony zakres i formy pracy wojskowo-rewolucyjnej. W zakładach pracy tworzono drużyny bojowe, nie tylko dla celów samoobronnych, ale i dla celów ofensywnych. Szybko powstały takie drużyny w Warszawie, Łodzi, Lublinie, Tomaszowie Piotrkowskim, Częstochowie, Sosnowcu, Kielcach Radomiu, Będzinie, Rawie Mazowieckiej i innych ośrodkach robotniczych. Stałą troską Juliana Marchlewskiego była sprawa uzbrojenia tych drużyn, jako przednich oddziałów klasy robotniczej. Stosowano cztery główne sposoby zdobywania broni:

— Konfiskatę broni z prywatnych składów i magazynów broni;

— rozbrajanie policjantów, żołnierzy i oficerów;

— nakładanie kontrybucji na fabrykantów, zbieranie składek pieniężnych i za te fundusze nielegalne zakupy broni za granicą oraz

— tajną produkcję broni w kraju.

Szczególnie owocny okazał się pierwszy system zdobywania uzbrojenia. Według niepełnych danych urzędowych w latach 1905—1906 tylko z magazynów wojskowych robotnicy przejęli 142 jednostki broni, w tym 95 rewolwerów, 28 karabinów, 19 szabli oraz znaczną ilość amunicji i materiałów wybuchowych. Również powazne efekty dał nielegalny zakup uzbrojenia za granicą. Misję zakupu broni za granicą powierzono Julianowi Marchlewskiemu. Jesienią 1905 roku udał się on do Belgii, gdyż tam najłatwiej można było dokonać takiej transakcji. W Brukseli udało się Marchlewskiemu zakupić broń, dzięki znajomości z sekretarzem Międzynarodowego Biura Socjalistycznego II Międzynarodówki Camillem Huysmansem. Broń z Belgii dla polskich rewolucjonistów składano najpierw w Katowicach, następnie partiami przewożono do Zagłębia, by stąd dalej transportować ją dla poszczególnych drużyn w Warszawie, Łodzi i innych ośrodkach robotniczych.

O masowym zbrojeniu się polskiej klasy robotniczej i stosunkowo znacznym nasyceniu jej bronią świadczy fakt, że tylko w latach 1905—1907 władze carskie skonfiskowały w 10 guberniach Królestwa aż 3438 jednostek broni, w tym 70 bomb, 950 karabinów, 2096 rewolwerów, 349 jednostek broni ręcznej oraz znaczną ilość materiałów wybuchowych.

W ogniu walki rewolucyjnej uległ zmianie stosunek przywódców SDKPiL do walki partyzanckiej, która objęła zwłaszcza tereny wiejskie. Początek ruchu partyzanckiego w Królestwie zbiegł się z letnimi wystąpieniami zbrojnymi w Łodzi, Warszawie, Odessie oraz na pancerniku „Patiomkin". Do roli i znaczenia ruchu partyzanckiego zaczęto przywiązywać coraz większą wagę.

Pierwsze wystąpienia partyzanckie notujemy w powiatach: garwolińskim, łukowskim, lubartowskim, krasnystawskim, lubelskim, częstochowskim i łódzkim. Oddziały partyzanckie składały się z 20—50 ludzi uzbrojonych w rewolwery i sztylety. Działalność i formy walki tych oddziałów były bardzo różnorodne a ich celem ostatecznym było niszczenie i dezorganizowanie carskiego aparatu władzy. Według niepełnego bilansu strat, sporządzonego przez władze carskie, w Królestwie Polskim do 1906 roku rozbito: 253 państwowe sklepy monopolowe, 162 urzędy gminne, 50 szkół, 10 urzędów pocztowych, 10 sądów gminnych, 16 kas skarbowych i kolejowych. Uszkodzono: 3 linie kolejowe, 4 stacje, 10 mostów kolejowych, 427 słupów telegraficznych. Ponadto w pierwszych trzech miesiącach 1906 roku zabito 127 szpiegów i raniono 207 w tym większość policjantów.

O rozmachu, zasięgu i charakterze tych ataków świadczą najdobitniej carskie raporty i instrukcje nakazujące bezwzględnie zwalczać oddziały partyzanckie. W telegramach i rozkazach władz carskich szczególną uwagę zwraca się na obronę poczt, telefonów, sieci wodociągowej i elektrycznej, stacji kolejowych i linii kolejowych, a to wszystko w tym celu, „aby — jak depeszował Minister Spraw Wewnętrznych — w miarę możliwości nie zatrzymywać ruchu wojsk."

Po zwycięstwie Rewolucji Październikowej Julian Marchlewski rozwinął jeszcze bardziej swoją działalność wojskową, włączając się aktywnie do walki bolszewików o umocnienie władzy robotniczo-chłopskiej, o sformowanie rewolucyjnych pułków polskich w walce z kontrrewolucją i interwencją.

Bogate doświadczenia w uzbrojeniu mas z okresu Rewolucji 1905 roku szeroko wykorzystali partyzanci radzieccy i polscy w czasie II wojny światowej. I na tym między innymi polega trwały wkład Juliana Marchlewskiego do bojowych tradycji naszego narodu.

ŻYCIORYSY

Fot. W. Parys

RYSZARD BINKOWSKI

MAMA PLUCINA

Na deski wbiega grupa ludzi w barwnych strojach. Z boku staje kapela. Wali w instrumenty, nogi podrygują, leci pierwsza piosenka. Nuta swojska, proste słowa, bliskie sercu, układane mozolnie pospołu w długie wieczory:

W tym naszym Bychlewie
piękne okolice,
dziewuchy jak róże
chłopaki jak swice!

Dechy trzęsą się, klaszcze rozbawiona publika, migocą pasiaste wełniaki spódnic. Nie łowickie, czysto regionalne, rodem z Bychlewa. Mienią się aksamitne serdaczki w złotej lamówce, wzdymają się białe haftowane bluzki, furkocą takie same fartuszki. A w przytupie, w hołubcach błyszczą buty. U tancerek bardziej fikuśne, wysokie, sznurowane kolorową tasiemką. Kosztowały 32 tysiące, po 1.200 zł para. Buty dla chłopaków mniej zdobne, tylko za 20, para równy tysiączek.

Piosenka kończy się burzliwymi oklaskami. Na estradzie pozostaje Wojtek, dziewiętnastoletni chłopak, wraz z tancerką, którą bywa niekiedy jego siostra Basia. Oboje serdecznie witają gości, przedstawiają zespół, po czym znów leci piosenka. A po niej Wojtek zaczyna swoją pierwszą gadkę. Wiele ma ich w repertuarze. Zasuwa gwarą, na taśmie nie zapisałem, trudno więc odtworzyć. Ale brzmi to mniej więcej tak:

— Po wakacjach nauczycielka pyto uczniów, co które dobrego zrobiło. Chłopaki śmielse, to jedyn zaroz mówi, że jak jechoł tramwajem, to zesedł z miejsca dla panocka, co miał krótsą nogę, a po tym jesce podał mu walizkę, jak wysiadał. I bardzo dobrze! Na to drugi chłopok chwoli się, że w parafiji doł oscędzoną dziesiątkę biednej babusce, żeby się pokrzepiła. Tyz bardzo dobrze! Wtedy trzeci chłopok przebija tamtych i gado, że w czasie wakacyji spotkał trzech panocków co szli bez wieś (a to był Bychlew, rzec jasna, pod Babianicami) i pytali, jak daleko do tramwaju. To on mówi, ze bydzie trzy kilometry. Panocki podrapali się po łbach i gadeja, ze nie zdążą, bo mają ino 25 minut casu. Jakże im pomóc? Odesli. I wtedy zascekał Burek. Chłopok się ucieszył spuścił Burka, a ten tak pogonił panocków, ze jesce pięć minut cekali na tramwaj! Pani wrzescy, że to źle, bez serca i niegrzecnie! Trzeba było, gada, zawiadomić dziadka, zeby konia zaprzągł do wozu i podrzucił wędrowców. Chłopak się rozbeczał i chlipiac wyjaśnił, że nie mógł tak zrobić, bo dziadek od dwóch lat ma traktor...

I znowu brzmią brawka. A za kulisami zaciska palce, drży z przejęcia i dumy **Józefa Plutowa.** Gorączkuje się, podpowiada, doradza, a jak dzień występów przeciągnie się, za własne pieniądze kupi chłopakom i dziewczynom bigosu, kiełbasy i chleba, żeby mieli siły do lepszego śpiewania i tańcowania. Ona stworzyła ten liczący 42 członków zespół. Wojtek i Basia to jej wnuczęta. Ma 62 lata, jest wdową, pracuje w gospodarstwie. Tyle o niej wiem. Warto z nią porozmawiać. Ale w trakcie występów nie ma na to czasu.

Pojechałem do Bychlewa.

2.

Bychlew ciągnie się wzdłuż drogi, prowadzącej z Pabianic do Bełchatowa. Trzy kilometry za Pabianicami, widać ze wsi kominy i bloki na Bugaju. Sto sześćdziesiąt kilka numerów, około 1.500 mieszkańców. W tym 25 procent rolników, reszta robotnicy lub tzw. dwuzawodowi. Dużo młodzieży, tej podmiejskiej, o której mówi się, że najgorszy element, trudny wychowawczo. A chłoporobotnicy też jacyś „rozdarci". Między fabryką a ziemią, zatyrani, budujący domy, żwawszym i cieplejszym okiem spozierający na miasto.

Chłopak w granatowych majtkach, spieczony jak rak, tylko bieleje blond czupryna i białka ciemnych oczu, ze zdenerwowania dłubie energicznie w nosie.

— Do której klasy zdałeś?
— **Do czwartej.**
— Znasz panią Plutową
— **Którą?** — zapytuje przytomnie. — **Młodszą czy starszą?**
— Tę, co prowadzi zespół bychlewski.
— **Aaa!** — wywrzaskuje. — **Znam! Mamę Plucinę, proszę pana, wszyscy znają. Ona mieszka w murowanym domu, na wprost sklepu, zaraz przy zakręcie.**
— A co powiesz o mamie Plucinie? — zapytałem używając popularnego, jak można się było zorientować przydomka.
— **Ja jeszcze nie występuję** — oświadczył wzbijając stopą tuman pyłu. — **Niech inni gadają. Ja idę się kąpać...**

Murowany dom przy zakręcie. Obejście rozległe, solidne budynki inwentarskie. Powitał mnie może sześcioletni chłopiec, jeszcze biały, blondynek, w słonecznych okularach, jak się okazało, wnuczek „miastowy".

— **Babcia!** — krzyknął cienkim głosikiem.

Babcia ani drgnęła. Leżała na tapczanie z przymkniętymi oczyma. Kiedy powtórzyła głośno „dzień dobry", zerwała się szybko przecierając oczy.

— **Przepraszam** — bąknęła speszona. — **Musiałam się trochę zdrzemnąć. O piątej wstałam do siana.**

I jęła śpiesznie ścierać ceratę na stole w kuchni. Była krępa, lekko przygarbiona. Miała czerstwą, o zdrowej cerze twarz, czoło nieco zmarszczone. Włosy siwe, trochę zrzadziałe, lecz kręcące się zawadiacko, prawie młodzieńczo. Ścierając ceratę spoglądała na mnie badawczo bystrymi piwnymi oczyma. Jej zapadłe, cienkie wargi wykrzywił na chwilę uśmiech.

— Bo tu był już jeden z „Zarzewia". A drugi, nasz, co jest księdzem na Ziemiach Zachodnich, napisał, że nam się teraz za dobrze dzieje.
— Co miał na myśli?
— **A bo ja wiem?**
Dotknąłem jej prawej ręki w miejscu, gdzie była silnie okręcona czerwona szmatką.
— Przebrała pani?
— **Tak przy sianie.**
Na moment wyraz nieufności znikł z jej twarzy. Przerwała ścieranie ceraty i rzekła cieplejszym głosem:
— Chciałam znowu iść do siana. Ale muszę czekać na kaczki. To już lepiej poczekam, przejdźmy do pokoju, tam chłodniej.

I zaprowadziła mnie do obszernej izby, gdzie jeszcze do zachodnich okien nie zajrzało słońce. W zielonkawym półmroku patrzyły ze ścian portrety dzieci i wnuków. Takie od ślubów i Komunii Świętej.

— Bardzo panią znają w Bychlewie — powiedziałem siadając za stołem. — czy równie szanują?
Przymknęła oczy. Jej twarz zmarszczył gorzkawy uśmiech.
— **Różnie bywało** — szepnęła. — **Ale teraz wrogów już nie mam...**
— A jakie były początki?
Machnęła ręką. Dłonie i ramiona miała opalone na brąz, palce nieco zgrabiałe, tyle lat roboty...
— **Pół dnia by trzeba pisać** — rzekła. — **Mogłabym opowiadać, ale czasu nie ma...**

Udało mi się przetrzymać ją kilka godzin. Siano schło pod wysokim słońcem, kacząt nie przywozili. Sąsiadki przychodziły, pytały o te kaczęta, jedna mówiła, że idzie na popołudnie do fabryki i nie będzie mogła odebrać.

— **To ja wam odbiorę, potem podpiszecie** — oświadczyła Plutowa. A zwracając się do mnie, wyjaśniła: — **Mieliśmy dostać dla Koła Gospodyń sześćset kacząt. Obiecują od maja i dotąd nie ma. Zwodzą. SKR z Ksawerowa miała dowieźć. Ale myśmy mieli gadać o zespole i o naszych gospodyniach...**

3.

Przewinął się kujawiak. Gdy umilkły brawa, Wojtek zaczął nową gadkę:
— Strażaki zapomniały o imieninach naczelnika. Było to zimą, ani kwiotka, ani muzyki, adwent. Wtedy jedyn mówi, że naucy się wiersyka na intencją, drugi dopowi „i żonę i dzieci", trzeci zaś zakończy „pochwalony Jezus Chrystus" i wyjdzie jakoś po bożemu. Idą, śnieg im się przylepił do butów. Weszli do izby, ten pierwszy poślizgnął się, wyrżnął łbem w kredens i wrzescy: „A żeby wos najjaśniejsa cholera wzięła!". Drugi na to: „i żonę i dzieci", a trzeci: „pochwalony Jezus Chrystus".
— Jak Wojtka zabiorą do wojska — wzdycha Plutowa — **to koniec z zespołem. Czterech chłopaków mają wziąć. Dwóch bym wybroniła, ale oni nie chcą. Bo jak po 4 latach mają iść do wojska, to co to za interes?**
— Starsi mężczyźni nie garną się do zespołu?
— **A gdzie tam! Jakby im litra postawił, to może... Ale kobiety starsze występują. Więcej jednak młodzieży. Mamy również ćwiczącą grupę dzieci. Jak się starsi wykruszą, to będą następcy.**
— Młodzież, zwłaszcza ta spod miasta, nie bardzo interesuje się twórczością ludową.
— **Toteż trzeba z młodymi ostrożnie i delikatnie. Bo młodziak może, ale nie musi. Ciasteczkami i herbatką trzeba ich uraczyć, zapewnić stroje, zawieźć na wycieczkę. Ale jednocześnie obowiązuje dyscyplina. Mieliśmy zuoiną panienkę, która mówiła rodzicom, że chodzi na próby, a bywała na randkach. Musiała zejść ze sceny. Wyjazdy za granicę i do różnych miast w Polsce też są zachętą. Występy w radio i telewizji również pociągają...**
— Tak jest teraz — przerywam jej. — A jakie były początki?

Zastanawia się chwilę, w jej oczach pojawia się rozrzewnienie i cień smutku. A potem zaczyna opowiadać cichym głosem, że Koło Gospodyń Wiejskich powstało w Bychlewie 17 lat temu. Był to wtedy powiat łaski i Plutowa nawiązała kontakt z instruktorką, Wandą Borucką. Odbyło się zebranie, ale przyszło mało kobiet. Bały się, że będą zakładać kołchoz. Koło jednak zawiązało się. Bo jak Plutowa przewodniczy, to nie może być tak źle. Wstąpiło 31 kobiet. Zorganizowano kursy kroju i szycia, gotowania, pieczenia. Kurs trwał cały tydzień, zakończenie w sobotę. Kobiety zaczęły się tym interesować. Na dziesięciolecie było już 100 członkiń, w tym wiele robotnic z pabianickich fabryk. Była libacja, padł wieprzek i cielak, telewizja kręciła zdjęcia.

— A obecnie ile jest członkiń?
— **Sześćdziesiąt. Ale naprawdę to udziela się dwadzieścia. Kiedy dzisiaj kobieta chce wstąpić do koła, musi podpisać zobowiązanie, że będzie pracować społecznie. Po co mi takie członkinie, które przychodzą tylko po kaczki? Bo my sprowadzamy również kurczęta, maciory zarodowe, owce, pasze treściwe...**

Milknie i po chwili mówi, że ta ich babska działalność zaczęła się dużo wcześniej, chociaż była jeszcze niezorganizowana. Mężczyźni za namową żon wozili lód do chłodni, żwir i kamienie na drogi, drzewo do tartaku. Zarobione pieniądze przeznaczono na odbudowę stolicy. Bychlew zdobył w tej zbiórce pierwsze miejsce. Dzięki temu założono we wsi światło. A potem z inicjatywy Plutowej i Henryki Kociołkowej zaczęto budować Dom Ludowy. Bez planu. Niektórzy gadali, że Plutowa musi dobrze zarobić na tym interesie. Jeden nawet zeznał, że sprzedała mu dwie rolki papy z budowy. Nawet NIK zjechał. Chciało się jej płakać i rzucić wszystko w cholerę. A była wówczas sołtysem. Ale jest ten Dom Ludowy. Wszyscy z niego korzystają. Jest klub i kawiarnia, biblioteka i sala widowiskowa na pięćset osób. A kiedyś sztuki grano na szkolnym korytarzu. Ludzie guziki sobie obrywali w tłoku, na sztuce „Dla Ciebie, Polsko" płakali żołnierze. Tak, tak, Plutowa założyła teatr, odegrano około dwudziestu sztuk. Sprzedawali bilety i dorabiali się po trochu. Tylko, że przez ten teatr Plutowa wyszła na wariatkę. Nie miała kiedy uczyć się roli, więc powtarzała sobie, to była „Moralność pani Dulskiej", wieczorem, przy dojeniu krów. Nieboszczyk mąż posłyszał jakąś rozmowę, wszedł do obory i ujrzawszy samą Józefę, pobiegł do mieszkania.

— **Dzieci!** — krzyknął. — **Idźcie po matkę, ona chyba zwariowała, sama do siebie gada!...**

4.

Do obejścia wjechał listonosz. Plutowa wyszła do sieni. Słychać tam było śmiech, potem doleciał głos Plutowej:
— **Podpuszczą, psiakrew, a później się śmieją!**
Wróciła do mnie i wyjaśniła z udanym oburzeniem, że kiedy wracali z występów, zatrzymali się obok wesołego miasteczka. Mama jak ją nazywają w zespole, wysunęła się chyłkiem, żeby jej czasem nie zapraszali, ale chłopcy czekali cierpliwie z biletami i wsadzili ją na jakiś diabelski młyn. Omal barierki nie urwała, tak się trzymała, żeby nie zlecić...

— A co się tyczy naszego zespołu — wraca do tematu — **to on powstał dwa lata temu. Kobiety u nas zdolne, o dobrych głosach, trochę zazdrościły innym miejscowościom, co miały własne zespoły. Sama bym może nic nie zdziałała, ale rychło przyłączyły się do mnie Henryka Kociołek, Kazimiera Łoboda, Kowalowa, Maria Sobytkowska, Józefa Kowalczyk, Bolesława Stachura i inne. Przyłączyli się też młodzi przynajmniej na wódkę nie chodzą. A są u nas trzy prywatne knajpy — meliny i my to zwalczymy. Bo nie może być tak, żeby te knajpiary śmiały się, jak płaczą dzieci i żony pijaków. Do komendanta MO w Łodzi pójdziemy i skończą się te ryki po nocach w olszynach.**

Zdenerwowała się, ale zaraz przycichła i zaczęła spokojnie mówić o zespole. Stroje uszyły same, a przyczyniły się do tego głównie Kociołkowa i Stachurowa. Potrzebny był instruktor, bo na razie ćwiczyły same. Plutowa znalazła instruktora Ziółkowskiego na Bugaju. Z trudem udało jej się nakłonić go do współpracy. Przygrywał na akordeonie, potem kupiły mu pianino. Zresztą maszynę do szycia nowych strojów też sobie kupiły. Piętnaście razy chodziła Plutowa do gminy, ze złością i dobrocią, ale grosza nie wydębiła. Przez rok składały się po 500 zł miesięcznie na instruktora. A później Plutowa jak stary detektyw wytropiła na ulicy Traktorowej w Łodzi młodego choreografa. I zespół się rozbujał, bywał zapraszany na różne uroczystości w kraju i do państw socjalistycznych. Zaczął zdobywać uznanie na cepeliadach, w konkursach regionalnych i centralnych. Obok zespołu pieśni i tańca powstał teatrzyk kukiełkowy, który zdobył m. in. pierwsze miejsce w Polsce na konkursie w Rzeszowie.

Ale Plutowa walczyła o utrzymanie zespołu tanecznego. Jak jej nie chcieli pomóc finansowo, to się rozpłakała i urzędu nie chciała opuścić. Bo środki pieniężne z zabaw nie wystarczały. Zabawy tylko trzy w roku, urządzane przy pomocy ORMO z Pabianic, bo ściągają różne watahy z miasta i są straszne mordobicia, a przy ORMO ich nie ma. Wkrótce władze lokalne i wojewódzkie zwróciły na Bychlew baczniejszą uwagę. Pomógł sekretarz KG, Włodarczyk, pomaga „Narzędziówka" (udostępniając samochody), WZKR, Wydział Kultury i Sztuki.

— A najbardziej to nam pomógł prezydent Pabianic, Fronczak i prezydent Krowiranda z Łodzi. Pan Krowiranda to jest dusza człowiek, kochający rolnika. Jak pokopali studnie głębinowe, we wsi w zwykłych studniach zabrakło wody. Dzięki tym panom, o których mówiłam, będziemy mieli doprowadzoną wodę z Pabianic.

Józefa Plutowa prowadzi również, wraz z synem i synową, która po dwudziestu latach pracy zwolniła się ze szwalni, siedmiohektarowe gospodarstwo. I ma niezłe wyniki, zimą oddawała najwięcej mleka. Bo ona zajmuje się krowami, synowa zaś świniakami. Zasiada w radzie nadzorczej Banku Rolnego i w Komitecie Rodzicielskim. Jako opiekun społeczny załatwia renty i zapomogi dwunastu kalekim podopiecznym, sprząta w ich mieszkaniach, organizuje Dni Seniora, a jak trzeba, to sprowadzi im lekarza i księdza.

— Kiedy pani znajduje na to wszystko czas?
— **Żeby załatwić samochód i zorganizować wyjazd zespołu, trzeba wstać o trzeciej rano. Pieniądze dla instruktora i choreografa też sama przywożę. Od wiosny nie było wolnej niedzieli, a o sobocie to nie ma mowy. Odpocząć mogę na „próbie" zespołu.**
— Ludzie panią szanują i lubią. Co by pani jeszcze chciała zrobić w Bychlewie?
— **Proponowałam synowej, żeby przyjęła po mnie kilka ważniejszych funkcji. A ona mówi, że nie da rady. Pojedzie razem z dziećmi na występy i gospodarka stanie? Ma rację. Ale ja chciałabym usiąść wreszcie na widowni i popatrzeć, co młodsi potrafią. Na to się jednak nie zanosi. Mam jeszcze pracy na co najmniej dziesięć lat. Ale nie boję się tego. Lubię ludzi i pracę z nimi. Lubię, kiedy we wsi coś dobrego się dzieje...**

ŁÓDŹ 77

TOMASZ SOLDENHOFF

A MOGŁO BYĆ JAK W ZEGARKU

Fot. W. Parys

Powiedział raz Zygmuntowi Chojnackiemu znajomy:

— Co się pan będziesz szarpał w tej społecznej robocie? Rzuć ją pan i wstąp do mojej spółki. Za rok będziesz własnym autem jeździł...

To osiedle na planie Łodzi nie ma osobnej nazwy. Wszystko to Chojny, choć z tego osiedla do chojeńskiego dworca spory kawał drogi. Tą częścią Górnej między ulicami Gagarina, Tuszyńską, Strycharską i Ciołkowskiego rządzi Komitet Osiedlowy nr 25 „Ciołkowskiego", pierwszy w dzielnicy.

Wędrując po osiedlu wyłapuję ślady pracy samorządu. Oto mini-ryneczek owocowo-warzywny. Pod jednym z wieżowców pobudowanych tu na początku lat sześćdziesiątych płaszczy się „Kapelusz Anatola".

— **Są z nim kłopoty** — wyjaśnia sekretarz TOP, Tadeusz Świeboda, który oprowadza mnie po osiedlu. — **Zaplecze skąpe. Jeden sklep spożywczy to za mało. W zeszłym roku nasza komisja zaopatrzenia i usług przywróciła stoisko z wędlinami, przedłużyła godziny pracy sklepu mięsnego, poprawiła zaopatrzenie, wytępiła robactwo.**

W Domu Pracy Społecznej oglądam dyplomy przyznane za działalność. Na drzwiach zapowiedź kolejnego odczytu „Uniwersytetu Powszechnego". Cykle: „Pedagogiczne problemy rodziny", „Encyklopedia Zdrowia", „Historia teatru"... Na prelekcji o nadciśnieniu kobiety każą sobie mierzyć puls. Imprez przybywa. Aktywne są: koło Ligi Kobiet, ORMO, ognisko TKKF.

— A jak się z młodzieżą pracuje? — pytam wiedząc, że najbardziej aktywni w samorządach są zazwyczaj emeryci.

— **3—4 lata temu wieczorem trudno było przejść. Rozboje, gwałty** — ożywia się Zygmunt Chojnacki. — **Raz dostaliśmy „cynk", że ktoś kradnie z piwnic kompoty, wypija mleko spod drzwi. Zrobiliśmy obławę. Zbiegli z zakładu „gitowcy" siedzieli na dachu. Spali na wycieraczkach. Mieli kamienie, łomy. Zaskoczeni, nie bronili się.**

— Nie obawiacie się rozrób w czasie dyskotek?

— **Stoję przy drzwiach i wyciągam wino zza pazuch. Posądzano nas, że wypijamy sami, więc wylewamy je publicznie do zlewu. Podpitych nie wpuszczamy, a jeśli kto narozrabia, na tej samej sali urządzamy mu za tydzień pokazowe kolegium. Natomiast do wesel organizowanych w Domu Pracy Społecznej prawo mają jedynie dzieci najbardziej zasłużonych działaczy.**

— **Z początku ludzie nie garnęli się do roobty** — wspomina Tadeusz Świeboda. — **Istniały dziwne podziały, np. Dzień Kobiet osobno dla partyjnych i bezpartyjnych. Daliśmy więc członkom partii zadanie: wciągać bezpartyjnych do pracy społecznej. Ludzi trzeba jednoczyć. Taki Chojnacki na przykład, proszę, bezpartyjny, a jaki wzór...**

Dom z atlasami

Z 76-letnim **Bolesławem Szałkowskim**, przewodniczącym Komitetu Obwodowego nr 23, komendantem Terenowej Obrony Cywilnej, Terenowym Opiekunem Społecznym, Ławnikiem Sądu Wojewódzkiego w jednej osobie, rozmawiałem w kamienicy przy ul. Narutowicza 45, podpieranej przez Atlasów o muskułach z kamienia.

— **Jest tu już miasteczko** — śmieje się Bolesław Szałkowski. — **Mamy** własny „rząd" i sąd, milicję i... woj-

Dalszy ciąg na str. 9

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

OCZEKIWANIE na CZIMURENGĘ

Fidel Castro w wywiadzie udzielonym pismu **„Afrique Asie"** powiedział między innymi:

„Afryka jest dzisiaj najsłabszym ogniwem imperializmu. Na kontynencie tym istnieją wspaniałe perspektywy przejścia od systemu plemiennego do socjalizmu, z pominięciem etapów pośrednich, jakie musiały zostać pokonane w innych rejonach świata. A w Afryce imperializm nie jest tak silny, jak w Ameryce Łacińskiej. Dlatego też możliwości głębokich przeobrażeń są tutaj bardziej realne. Walka jest wprawdzie równie twarda jak w Ameryce Łacińskiej..."

Walka toczy się w różnych rejonach Afryki. Jednym z takich rejonów ostrej walki wyzwoleńczej jest **ZIMBABWE** czyli **Rodezja**. Formalnie jest to ciągle jeszcze kolonia Wielkiej Brytanii. Faktycznie jest to państwo gdzie około 270 tysięcy białych mieszkańców tego kraju panuje nad 6 milionami rodowitych Afrykańczyków. 11 listopada 1965 roku biali w Rodezji, działając pod wodzą Iana Smitha, ogłosili niepodległość, uniezależniając się tym od Wielkiej Brytanii. Jednakże ten fakt formalnej zależności Rodezji od Wielkiej Brytanii ma wielkie znaczenie w rokowaniach prowadzonych w celu przekazania władzy w ręce afrykańskiej większości.

Imperium Cecila Rhodesa

RODEZJA czyli **Zimbabwe** zajmuje obszar 390 tys. km kwadratowych, na którym żyje przeszło 6 milionów ludzi. Stolicą tego państwa jest przeszło półmilionowe miasto Salisbury. Leży powyżej zwrotnika Koziorożca. Graniczy od wschodu z Mozambikiem, od południa z Republiką Południowej Afryki, od południowego-zachodu z Botswaną, a od północnego-zachodu — z Zambią. Niemal ze wszech stron jest więc Rodezja otoczona państwami afrykańskimi, w których władza należy już do Afrykańczyków. Tylko od południa graniczy z rasistowską RPA, gdzie również czarna większość nie posiada żadnych praw.

Kilka kilometrów od szosy łączącej Salisbury w Rodezji i Johannesburg w RPA leży starożytna budowla, która opiera się od setek lat promieniom afrykańskiego słońca, deszczom a której istnienie wbrew wszelkim tendencjom i sprzeciwom, dowodzi, że przed setkami lat afrykański lud stworzył tu wysoką cywilizację. Naukowcy toczą zawzięte spory na ten temat. Jedni utrzymują, że kulturę tę stworzyły plemiona Bantu — do dziś zamieszkujące Rodezję — a inni, że jest to dzieło wymierającego ludu Saan — zwanego też Buszmenami i Hotentotami. Głoszono też swego czasu teorię, według której wzniesione w tej części Afryki budowle miały być dziełem przybyszów z północnej Afryki lub nawet z Dalekiego Wschodu. Z teoriami tymi zdecydowanie rozprawił się egiptolog Randall MacIver, udowadniając, że w zabytkach Zimbabwe nie ma nawet cienia obcych wpływów.

Dokładne badania pozwoliły ustalić, że początki **„Wielkiego Zimbabwe"** należy datować na lata 559—702 naszej ery. A więc kultura Zimbabwe, która budzi tyle kontrowersji wśród uczonych, jest wcześniejsza niż dzieje państwa **Monomotapa**, które istniało na tych terenach w X wieku. Nie ma więc najmniejszej wątpliwości, że tamtejsze ludy afrykańskie posiadały państwa i tworzyły kulturę na długo wcześniej niż Europejczykom zaczęły marzyć się kolonialne podboje.

W 1652 roku holenderski awanturnik Jan van Riebeck wraz z niedobitkami francuskich hugonotów przybył do Zatoki św. Heleny i na Przylądku Dobrej Nadziei założył stację Kampanii Wschodnio-Indyjskiej. Wtedy to też zaczęło się haniebne wyniszczanie ludu Saan. Dziś żyją tylko niedobitki tego ludu. Żyją oni w Namibii i jeśli nie udzieli się im pomocy, to w ciągu kilku najbliższych pokoleń mogą całkowicie wyginąć.

Lud Saan cofał się coraz bardziej na północ i na zachód, wypierając z terenów Zimbabwe ludy plemion Bantu. Osiedlający się w Południowej Afryce Burowie — koloniści holenderscy i niemieccy — coraz silniej wypierały afrykańskie plemiona na północ. W okresie „Wielkiego Treku" Burowie docierają aż do Mozambiku i Rodezji. Od 1795 roku — kiedy to Anglicy zajęli Kapsztad — rozpoczyna się inwazja Brytyjczyków na Południową Afrykę. Kończy się ona wraz z trzecią wojną Burską, czyli w 1902 roku. Dawne republiki burskie otrzymują od Wielkiej Brytanii w 1907 roku autonomię. W tym czasie Rodezja jest już kolonią brytyjską. Cecil Rhodes zmarł w 1902 roku, a zajął Rodezję dla Wielkiej Brytanii w 1890 roku.

Rodezja zamykała północne obszary Afryki przed dalszą penetracją Burów i tworzyła kolejno ogniwo w brytyjskim kolonialnym panowaniu, które sięgało aż Egiptu. Ale nie wszędzie brytyjczycy mogli sprawować swoją władzę w jednakowy sposób. Brytyjska Rodezja na przykład zasługiwała na autonomiczne prawa. Otrzymała je w 1923 roku.

W 1953 roku Rodezja przyjmuje nazwę Rodezji Południowej i staje się częścią stworzonej w tym czasie przez Brytyjczyków Federacji Rodezji i Niasy, w skład której wchodzą: Rodezja, czyli Rodezja Południowa, Zambia, czyli Rodezja Północna i Malawia, czyli wówczas Niasa. 13 grudnia 1963 roku Federacja Rodezji i Niasy zostaje rozwiązana, a w rok później Zambia i Malawia otrzymały niepodległość.

11 listopada 1965 roku koloniści z Rodezji ogłaszają niepodległość swego kraju, nie czekając na zgodę Wielkiej Brytanii. Anglia uznaje ten akt za **„bunt przeciw Koronie"**, ale biali Rodezyjczycy nic sobie z tego nie robią. **2 marca 1970 roku proklamują republikę.** Krok ten spotyka się z potępieniem nie tylko już ze strony Wielkiej Brytanii, która nadal sprawuje formalnie władzę w Rodezji, ale również ze strony Organizacji Narodów Zjednoczonych i Organizacji Jedności Afrykańskiej. Anglicy rozpoczynają serię negocjacji z reżimem Iana Smitha. Negocjacje te właściwie trwają do dziś i nie przyniosły — jak do tej pory — żadnego rezultatu. Ian Smith przyznaje nawet, że czarna większość powinna mieć większy udział we władzy, ale ma inne zdanie na temat tego, w jaki sposób ma do tego dojść. Inne zdanie niż przywódcy Afrykańczyków walczących o wolność Zimbabwe i inne niż negocjatorzy z Wielkiej Brytanii i USA.

Rodezja jest więc nadal kolonią brytyjską i zgodnie z konstytucją z 1 listopada 1962 roku posiada szeroką autonomię wewnętrzną. Ale parlament rodezyjski 18 listopada 1969 roku uchwalił własną konstytucję, na mocy której głową państwa jest prezydent wybierany na 5 lat. Od 1976 roku prezydentem Rodezji jest John Wrathall. Afrykańczycy walczący o wolność Zimbabwe gotowi są do rozmów na temat przyszłości tego kraju jedynie z przedstawicielami Wielkiej Brytanii, negując w ten sposób wszelkie prawa białej mniejszości do pertraktacji w sprawach Rodezji.

Joshua Nkomo — przywódca **Frontu Patriotycznego Zimbabwe** stwierdził niedwuznacznie, że **„porozumienie może nastąpić jedynie w toku rozmów, prowadzonych na najwyższym szczeblu przez Wielką Brytanię z siłami wyzwoleńczymi, zaangażowanymi w walce"**. Zaproponował on, aby dwaj przywódcy Frontu Patriotycznego Zimbabwe, to znaczy on sam i **Robert Mugabe** spotkali się z brytyjskim ministrem spraw zagranicznych — Davidem Owenem i aby tematem rozmowy były sprawy proceduralne, związane z **„przekazaniem władzy w Zimbabwe rdzennej większości"**. Joshua Nkomo dodał także — wypowiadając się podczas konferencji prasowej zorganizowanej niedawno w stolicy Zambii, w Lusace — Ian Smith może wziąć udział w negocjacjach, ale jedynie tylko jako członek delegacji brytyjskiej.

Na południu Afryki

Problem przejęcia władzy przez rdzenną ludność afrkańską dotyczy trzech krajów położonych na południu Afryki: **Namibii, Republiki Południowej Afryki i Rodezji.** Ale w każdym z tych krajów przedstawia się on zupełnie inaczej. **Namibia** jest okupowana przez RPA, jako byłe terytorium mandatowe Ligi Narodów, a później ONZ. RPA wszakże nie traktuje ONZ jako sukcesora Ligi Narodów i uważa, że Namibia jest terytorium podległym RPA. **27 października 1966 roku Zgromadzenie Ogólne ONZ** pozbawiło RPA mandatu nad Namibią, a następnie powołało **Radę ONZ do spraw Namibii.** W styczniu 1976 roku Rada Bezpieczeństwa ONZ uchwaliła rezolucję, która programuje działania w celu przekazania władzy w Namibii czarnej większości. **Ma to stać się 31 grudnia 1978 roku. Ale Sam Nujoma** — przywódca ruchu wyzwoleńczego Namibii uważa, że skoro biali kolonizatorzy **„władają przy pomocy siły"** to **„dlatego siłą tylko można odebrać im władzę"**.

Inaczej też sprawa ta przedstawia się w **RPA**, gdzie na blisko 18 milionów Afrykańczyków, mieszka około 4,5 miliona białych, którzy są Afrykanerami od kilku już pokoleń, a którzy rządzą, opierając się na podziale rasowym, wytyczając rdzennej ludności terytoria, na którym mają oni korzystać z praw autonomicznych. Tutaj również toczy się walka o prawa dla ludności czarnej, ale warunki dla prowadzenia tej walki są niezwykle skomplikowane i trudne.

Natomiast **w Rodezji** sprawa przejęcia władzy przez ludność afrykańską jest formalnie bardzo prosta. Wynika to zresztą z prezentowanych już poglądów **Joshua Nkomo**, który uważa, że sprawę całą powinni załatwić Brytyjczycy i tylko oni mogą to zrobić, a trudność cała polega wyłącznie na procedurze przekazania władzy i na tym, kto ma w okresie przejściowym kontrolować terytorium Zimbabwe. **Joshua Nkomo** popełnia jednakże taki sam błąd w rozumowaniu, jaki popełniają Brytyjczycy, rokując z Ianem Smithem, gdyż ten na takie rokowania przystaje, ale rezultat tych rokowań z góry jest przesądzony, jako że Ian Smith nic sobie nie robi ani z opinii Wielkiej Brytanii, przeciw której się przecież zbuntował, ani z opinii publicznej świata w ogóle. Tak więc pozorna łatwość w rozwiązaniu konfliktu rodezyjskiego, przeradza się w decydującą trudność. W gruncie rzeczy można byłoby i do Rodezji odnieść słowa **Sama Nujamy** o tym, że skoro biali w Rodezji rządzą w oparciu o siłę, to również tylko siłą można im tę władzę odebrać. **Front Patriotyczny Zimbabwe** posiada swoje siły zbrojne, które szkolą się i stacjonują na terytorium **Zambii** i **Mozambiku**, co stało się przyczyną agresji Rodezji w stosunku do Mozambiku.

Ian Smith ostrzegł też **Zambię**, aby nie pomagała partyzantom z Zimbabwe, co wywołało taką tylko reakcję ze strony Zambii, że prezydent **Kenneth Kuanda** ogłosił stan wojny z Rodezją. **Kenneth Kuanda** oświadczył na konferencji prasowej w Lusace, że spodziewa się nasilenia starć granicznych i dodał, że rodezyjscy żołnierze zakładają miny na terytorium Zambii. Ale też stan wojny Zambii z Rodezją ujawnił inną jeszcze stronę sytuacji na południu Afryki. Wprawdzie na początku czerwca 1977 roku **Mozambik** oświadczył, że wojska rodezyjskie zostały wyparte z terytorium tego kraju, co potwierdziły też źródła rodezyjskie, oświadczając jednak, że to Rodezja wycofała swe wojska, ale też stało się jasne, że nie wszystkie państwa sąsiadujące z Rodezją są w stanie wytrzymać napór jej wojsk. Prezydent Zambii — **Kenneth Kuanda** powiedział wyraźnie, że w sytuacji zagrożenia zwróci się o pomoc do innych krajów. Dodał on w formie wyjaśnienia, że obecnie zaakceptował pomoc wojskową ze strony Somalii i Kuby.

Również w czerwcu 1977 roku nadeszły z Rodezji meldunki **Ludowej Armii Zimbabwe** o jej sukcesach. W wyniku starć zbrojnych Ludowej Armii Zimbabwe w rejonie miasta Gokwe i Kariba zginęło 60 żołnierzy rodezyjskich a 20 zostało rannych. Zestrzelono też jeden śmigłowiec armii rodezyjskiej. Czy wojska Zimbabwe poniosły jakieś straty, tego nie podano.

Ludność Zimbabwe oczekuje na czimurengę. Słowo to oznacza powstanie lub bunt. Używano go już w 1896 roku, kiedy to dzicy wojownicy uzbrojeni w dzidy i miecze powstali przeciw panowaniu białych. Dziś żołnierze Ludowej Armii Zimbabwe mają nowoczesną broń i coraz częściej dają o sobie znać, ale politycy i komentatorzy zastanawiają się, czy w Rodezji nadszedł już czas na czimurengę. Ich zdaniem jeszcze nie i to sprzyja pokojowemu załatwieniu konfliktu, pokojowemu przekazaniu władzy w ręce rdzennej ludności. A sprzyja to dlatego, że Zachód nie ma zamiaru wypuścić ze swoich rąk Rodezji, godząc się nawet na to, że przekształci się ona w Zimbabwe, jak tego chcą ludzie walczący o wolność dla czarnej większości.

Wolność dla ludu Zimbabwe

Sprawa wolności dla ludu Zimbabwe nie jest jednak taka prosta. Nie jest prosta dlatego między innymi, że zarówno Zachodowi, jak i niektórym państwom afrykańskim sąsiadującym z Rodezją nie zależy na tym, aby w Zimbabwe doszły do głosu radykalne ugrupowania, a już szczególnie, aby nie zwyciężyło lewe skrzydło Frontu Patriotycznego Zimbabwe.

Wprawdzie państwa sąsiadujące z Zimbabwe **uznały Front Patriotyczny Zimbabwe za jedyną siłę reprezentującą interesy ludności tego kraju.** A ostatnia sesja ministerialna **Organizacji Jedności Afrykańskiej przyjęła podobną rezolucję.** Wezwano **„wszystkich Zimbabwijczyków, którym leży na sercu walka o wyzwolenie kraju, aby walczyli w łonie Frontu Patriotycznego Zimbabwe"**. Sformułowanie to spowodowało, że dziennikarze zwrócili się z pytaniem do rzecznika OJA, czy organizacja ta uznaje Front Patriotyczny Zimbabwe **„z wykluczeniem wszystkich innych organizacji"**? Na co ten poradził dziennikarzom, żeby sami sobie zinterpretowali to sformułowanie. Minister Spraw Zagranicznych Wielkiej Brytanii — **David Owen** natomiast oświadczył, że jego rząd nie może zaakceptować stanowiska, wedle którego Front Patriotyczny Zimbabwe ma być **„jedynym przedstawicielem narodu Zimbabwe"**. Sprawa stanęła znów w miejscu, ale włączył się do niej Ian Smith, który zupełnie niespodziewanie oświadczył, że zgodzi się na powrót do Rodezji pastora **Ndabaningi Sithole** — przywódcy umiarkowanych sił Zimbabwe, jeśli ten potępi Front Patriotyczny Zimbabwe i jego przywódców Joshua Nkomo i Roberta Mugabe.

Kiedy w Lusace przedstawiciel Wielkiej Brytanii — **John Graham** i przedstawiciel USA — **Stephen Low** toczyli rozmowy z przywódcami Frontu Patriotycznego Zimbabwe — **Joshua Nkomo i Robertem Mugabe**, pastor **Ndabaningi Sithole** udzielił wywiadu dziennikowi **„Rhodesia Herald"**, w którym potępił terroryzm, czyli zbrojne działanie Ludowej Armii Zimbabwe. W ten sposób otworzył sobie możliwość powrotu do Rodezji. I faktycznie też do Rodezji powrócił.

Był to ze strony **Iana Smitha** sprytny manewr gdyż wraz z biskupem kościoła metodystów **Abelem Muzorewą** pastor **Ndabaningi Sithole** stanowili doskonałych partnerów do rozmów na temat przekazania władzy czarnej większości. Wysłannicy Wielkiej Brytanii i USA — **John Graham** i **Stephen Low** nie osiągnęli porozumienia w Lusace i też przybyli do Salisbury, aby konferować z Ianem Smithem. Wedle opinii komentatorów zajmujących się problemem rodezyjskim, Zachodowi nie zależy ani na odsunięciu Iana Smitha, ani na zbyt pochopnym przekazaniu władzy czarnej większości. Zachód chciałby sobie przygotować w Rodezji takie siły, które byłyby skłonne przejąć władzę, ale nie zerwałyby związków, jakie dziś łączą Rodezję z państwami kapitalistycznymi. I właśnie Ian Smith ma przygotować takie siły. Czy ma się na kim opierać?

W Rodezji istnieje **„Settlment Forum"**, czyli stowarzyszenie czarnych byznesmenów, którzy ze zrozumiałych powodów są przeciwnikami Frontu Patriotycznego Zimbabwe. Liczny tu jest kler protestancki i nie przypadkiem przywódcami ruchu wyzwoleńczego, ale o zabarwieniu umiarkowanym i reformatorskim, są dwaj duchowni: biskup **Abel Muzorewa** i pastor **Ndabaninga Sithole.** Są też w Rodezji wodzowie tamtejszych plemion, nastawieni raczej tradycyjnie, utrzymywani i finansowani przez rząd rodezyjski, którym również nie zależy na opanowaniu kraju przez Front Patriotyczny Zimbabwe. Jest tu wreszcie spora grupa czarnych najemników, którzy zbiegli z Angoli i Mozambiku, i którym również nie zależy na zwycięstwie Frontu Patriotycznego Zimbabwe. Ian Smith w realizacji swojej polityki przewlekania przekazania władzy czarnej większości, a właściwie dopuszczenia przedstawicieli czarnej większości w większym stopniu do władzy białych, ma się na kim opierać. I sądząc z rozłamu, jaki ostatnio nastąpił w kierowanej przez Iana Smitha partii — **Froncie Narodowym**, politykę tę rozpoczął i kontynuuje. Grupa, która wystąpiła z Frontu Narodowego, zarzuca Ianowi Smithowi, że tak walczy z partyzantami, jakby nie chciał zwyciężyć. Ale Ian Smith dziwi się tym zarzutom i twierdzi, że między celami, do których dążą rozłamowcy nie widzi różnicy. Różnica może być widoczna tylko w stosunku do metod.

Afrykański Związek Narodowy Zimbabwe — którego pastor **Ndabaningi Sithole** był przywódcą — oskarżył go o **„zdradę rewolucji Zimbabwe"**. W Lusace opublikowano oświadczenie, wedle którego pastor Ndabaninga Sithole **„przestał działać na rzecz rewolucji Zimbabwe"**. Sam pastor dał w Salsbury do zrozumienia, że jego ugrupowanie może przystąpić do rokowań z rządem Iana Smitha, aby — jak się wyraził — **„nie dopuścić do przejęcia Rodezji przez siły komunistyczne czerwonych lwów — Nkomo i Mugabe"**. Jego rzecznik prasowy dał też dziennikarzom do zrozumienia, że wprawdzie nie przewiduje się połączenia grupy pastora z grupą biskupa Abela Muzorewy, ale — jak oświadczył — **„połączymy się z wszystkimi naszymi wrogami, którzy obecnie kierują się podobnymi celami"**. Rozbicie ruchu wyzwoleńczego Zimbabwe — jak można z tego sądzić — stało się faktem.

Dla polityków z Londynu i Waszyngtonu sprawa wydaje się jasna. Należy dążyć do przekazania władzy czarnej większości, ale w taki sposób, aby przejęły ją siły sprzyjające Zachodowi. Zaproponowano więc przekazanie tymczasowej władzy administracji kontrolowanej przez Brytyjczyków, gwarantując 270 tysiącom białych bezpieczeństwo i nienaruszalność ich interesów. Politycy Zachodu pamiętają przecież stanowisko **Roberta Mugabe** wyrażone w listopadzie 1976 roku w wywiadzie udzielonym tygodnikowi **„Newsweek"**:

„Jeśli biali są gotowi słuchać nowego czarnego rządu, to będą mogli pozostać, jeśli zaś nie, będą musieli opuścić Rodezję, przy czym powstałą w takim wypadku lukę, będzie można szybko uzupełnić specjalistami z krajów socjalistycznych i innych".

W Rodezji znajdują się bogate zasoby rudy żelaza, chromu, miedzi, azbestu, złota, wapienia, węgla kamiennego. W Rodezji wydobywa się też antymon, nikiel, cynę, ołów, wolfram, tantal, grafit, mikę, siarkę, lit, beryl, mangan, ural, a te ostatnie niezbędne są do produkcji broni atomowej i konwencjonalnej. Zachód nie chciałby więc tracić w Rodezji swoich interesów. Rozważano nawet możliwość sprowadzenia do Rodezji wojsk jednego z krajów afrykańskich, które w imieniu Wielkiej Brytanii strzegłyby bezpieczeństwa białych i ich tam interesów. Ale tej propozycji sprzeciwił się Ian Smith, jak też sprzeciwił się przekazaniu władzy wyłącznie przedstawicielom Frontu Patriotycznego Zimbabwe. Stoi on na stanowisku, że udział czarnej większości we władzy w Rodezji musi dać równocześnie gwarancje, że żaden z członków obecnych władz w Salisbury nie będzie z tego powodu cierpiał żadnych represji. A to w konsekwencji oznacza, że wojsko i sprawy bezpieczeństwa krajowego powinny znajdować się nadal w ręku białych.

Negocjacje prowadzone przez wysłanników Wielkiej Brytanii i USA w Lusace i Salisbury wykazały, że między przywódcami Frontu Patriotycznego Zimbabwe a rządem Iana Smitha nie ma porozumienia w trzech kwestiach:

— jednakowych praw wyborczych dla wszystkich czarnych i białych obywateli kraju,

— składu sił bezpieczeństwa, które gwarantowałyby spokój w okresie przejściowym,

— podział stanowisk w przyszłym rządzie Zimbabwe, utworzonym w wyniku przeprowadzonych wyborów, a co miałoby również znaczenie na sam przebieg kampanii wyborczej.

— Musimy dokładnie uzgodnić wszystkie szczegóły zanim zgodzimy się na zawieszenie broni — twierdzą Afrykańczycy. Dlatego też **Front Patriotyczny Zimbabwe** żąda, aby żołnierze Ludowej Armii Zimbabwe mogli w okresie przejściowym kontrolować kraj oraz żąda, aby jego przedstawiciele mieli większość w tymczasowym rządzie w okresie przejściowym, a nie Wielka Brytania, która sobie nie potrafiła do tej pory poradzić z separatystą Ianem Smithem, jaką więc daje gwarancję, że teraz sobie z nim poradzi.

Negocjacje prowadzone przez wysłanników Anglii i USA nie dały rezultatów, ale ujawniły z całą otwartością różnice i źródła konfliktów, jakie trzeba będzie w Rodezji przezwyciężyć, aby czarna większość mogła przejąć władzę. Niepowodzenie tych negocjacji pokazało też, że Front Patriotyczny Zimbabwe ma przeciwników w ruchu wyzwoleńczym czarnej ludności, którzy gotowi są pójść na ugodę z rządem Iana Smitha, a tym samym pokazały, że dla Frontu Patriotycznego Zimbabwe osięgnięcie jego celów może dokonać się tylko w drodze zbrojnej walki. A to sprawa nie taka jeszcze prędka.

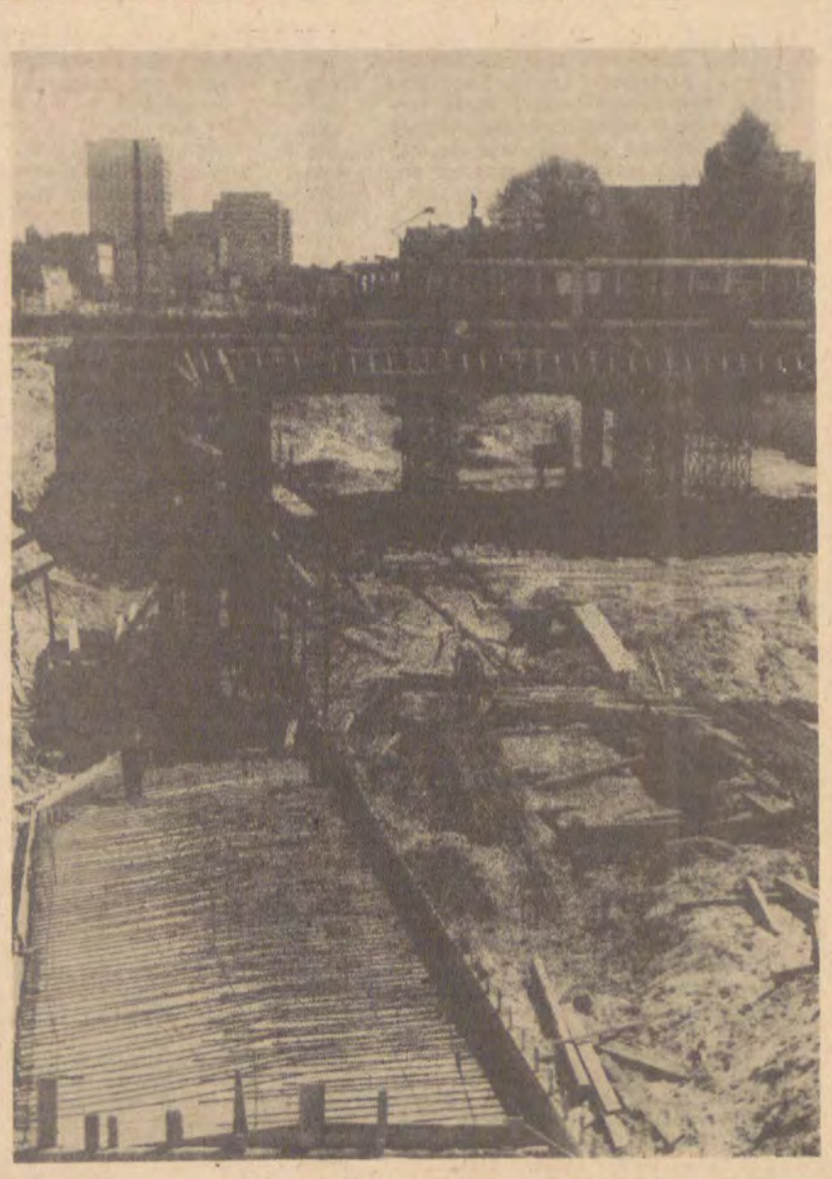

KONRAD TUROWSKI

ROBINSON Z TRASY W–Z

Rozpoczynanie reportażu od wyliczeń traktuje się jako błąd w sztuce. Taki wstęp bowiem z reguły zniechęca Czytelnika do dalszego poznawania przedstawionego tekstu. Niech mi jednak będzie wybaczone, że tym razem odstąpię od zasady i prezentację tematu zawartego w tytule zacznę od podania zasadniczych danych dotyczących największej w historii miasta inwestycji drogowej zwanej łódzką Trasą W-Z:

Długość prawie 3 km, dwie jezdnie jednokierunkowe z kilkoma pasmami ruchu i wydzielonym torowiskiem tramwajowym, 25-metrowe maszty z lampami oświetleniowymi, cztery przejścia podziemne, dwa wiadukty dla komunikacji samochodowej i jeden wiadukt tramwajowy. Koszt budowy oblicza się na 545 mln zł. Przeszło połowa tej sumy będzie wydatkowana na realizację podstawowego odcinka, od al. Włókniarzy do ul. Żeromskiego, łącznie z dwupoziomowym skrzyżowaniem bezkolizyjnym.

Za powyższą „wyliczanką" kryje się poważny trud czternastu wyspecjalizowanych przedsiębiorstw zaangażowanych w realizację inwestycji drogowej biegnącej wzdłuż osi ulic Mickiewicza i Głównej. Przytoczone dane charakteryzują też w możliwie najkrótszej formie rozmiar przedsięwzięcia, które poprzez swój rozmach wpływa na całe miasto, jego gospodarkę i życie mieszkańców.

Olbrzymia inwestycja przypomina front, na którym zwycięstwa uzależnione są przecież nie tylko od waleczności armii i wyposażenia technicznego, ale w niemałym stopniu od cywilnego zaplecza i jego pomocy, nierzadko wymagającej znacznych wyrzeczeń.

Głównym organizatorem zaplecza budowy jest inwestor, w przypadku Trasy W-Z: **Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Dróg i Mostów w Łodzi.** Do jego obowiązków należy wyłożenie potrzebnych pieniędzy i nadzór, aby zgodnie z przeznaczeniem, i możliwie najoszczędniej, zostały wydatkowane. Naczelnym jednak obowiązkiem inwestora jest należyte przygotowanie terenu pod budowę. Na Trasie W-Z oznacza to konieczność przede wszystkim wyprowadzenia wszystkich lokatorów z domów, które bezwzględnie trzeba rozebrać aby ustąpiły miejsca nowoczesnej arterii komunikacyjnej. Miasto musiało przyjąć na swoje barki ogromny ciężar zapewnienia rodzinom z gęsto zaludnionego, blisko 3-kilometrowego odcinka przyszłej Trasy W-Z, nowych mieszkań.

— Oczywiście, mieliśmy bardzo dokładne rozeznanie, ilu głównych lokatorów mieszka w budynkach wytypowanych do wyburzenia — mówi Wiesława Kozłowska, która z ramienia WPDiM od początku zajmuje się sprawami wyprowadzek na Trasie W-Z.

— Gdy jednak przyszło do realizacji wyprowadzek według przygotowanego planu, okazało się, że potrzeba znacznie więcej mieszkań niż przewidywaliśmy. Dlaczego? Bo po prostu młode małżeństwa, które dotąd nawet w zgodzie i harmonii żyły pod wspólnym dachem z teściami, chciały mieć w blokach osobne mieszkania. I trudno się temu dziwić. Ten warunek musieliśmy spełniać korzystając z pomocy władz miasta i spółdzielni mieszkaniowych, mimo znacznych kosztów społecznych wynikających z konieczności wręczania kluczy poza kolejnością. W przeciwnym razie nie byłoby możliwe zrealizowanie zaprojektowanej inwestycji drogowej...

Opowiadając o rozlicznych kłopotach związanych z wyprowadzaniem lokatorów moja rozmówczyni wspomniała o **Stanisławie Grodzickim,** istnym „Robinsonie łódzkim", który wraz z żoną i dorosłym synem przez trzy miesiące mieszkał w opuszczonej kamienicy przy ul. Kilińskiego 133.

Próbowałem odnaleźć p. Grodzickiego w pierwszym wieżowcu Śródmiejskiej Dzielnicy Mieszkaniowej przy ul. Piotrkowskiej 182. Wiedziałem, że wprowadził się tu 18 marca, jako jeden z pierwszych lokatorów. Wędrowałem więc po klatkach schodowych, jeździłem windami na najwyższe piętra, pytałem przypadkowo napotkanych mieszkańców wieżowca, ale nie zdołałem natrafić choćby na ślad „Robinsona" z ul. Kilińskiego 133. Mimo, że w wieżowcu przy ul. Piotrkowskiej 182 lokatorzy mieszkają już prawie pół roku administracja jeszcze nie zadbała ani o umieszczenie spisów mieszkańców, ani oznakowanie poszczególnych klatek z podaniem numeracji mieszkań. Wprawdzie wskazano mi mieszkanie gospodarza domu, ale na nic się to zdało, bo gospodarz domu też nie ma listy lokatorów. Minęły dobre czasy, gdy każdy dozorca znał wszystkich mieszkańców w swoim domu. Nie ma już dozorców a przed „gospodarzami domów" stoją widocznie inne zadania do spełnienia. Kiepską satysfakcją było spotkanie listonosza z pilnym telegramem, pośpiesznie biegającego po piętrach w poszukiwaniu adresata depeszy. Listonosz również skapitulował nie znajdując znikąd pomocy...

Nazajutrz **Wiesława Kozłowska** postarała się, sobie wiadomymi sposobami o numer mieszkania **Stanisława Grodzickiego** w nowoczesnym wieżowcu przy ul. Piotrkowskiej 182.

Mimo niezapowiedzianej wizyty gościnnie zostałem przyjęty. Rozmowa przeciągnęła się do późnego wieczora. Niedawne wspomnienia z ul. Kilińskiego 133 przeplatały się z wcześniejszymi z lat wojny, gdy **Anna Grodzicka** była żołnierzem sławnego batalionu kobiecego im. Emilii Plater a Stanisław Grodzicki służył w V dywizji II Armii Wojska Polskiego wcielony do orkiestry, która jednocześnie była jednostką sanitarną.

Sierżant Anna Grodzicka zdobywała z „platerówkami" Kołobrzeg.

— Wysłano nas do ataku na dworzec kolejowy, zaciekle broniony przez hitlerowską załogę pociągu pancernego — wspomina. — **Podchodziłyśmy od strony fabryki kosmetyków. Wtedy zostałam ranna. Dostałam serię z karabinu maszynowego. Pięć miesięcy leżałam w szpitalu. Gdy wyzdrowiałam było już po wojnie, skierowano mnie do pracy w charakterze intendentki w Domu Żołnierza w Łodzi. Nie miałam ani rodziny ani własnego kąta. Przydzielono mi opuszczone mieszkanie przy ul. Kilińskiego 133. Były tam tylko gołe ściany. Później, gdy wyszłam za mąż, musieliśmy wszystkiego powoli się dorabiać...**

Sierżant Stanisław Grodzicki zachował z wojennego szlaku mały notesik, w którym zapisywał ważniejsze wydarzenia. Na pożółkłych kartkach atrament już wyblakł. Został jednak jeszcze kontrabas, z którym przeszedł szlak bojowy od Lublina aż w okolice Budziszyna.

— W 1939 roku — opowiada — **akurat zdałem maturę i miałem za sobą 2-letnią naukę gry na kontrabasie. Ojciec był muzykiem. Tak długo mnie nakłaniał aż uległem i wybrałem sobie kontrabas, bo uważałem, że łatwiej się nauczę niż gry na skrzypcach czy na harmonii. Skąd mogłem wiedzieć, że przyjdzie mi wojować z kontrabasem na ramieniu? Dźwigać to pudło po frontowych drogach i z zazdrością patrzeć na takiego klarnecistę, który swoją trąbkę po prostu wkładał do plecaka i miał obie ręce wolne?... Z początku okrywałem instrument futerałem. Sam go zrobiłem z wojskowej płatki. Pewnego razu jednak zostawiłem kontrabas na dworzu i nagle słyszę, że ktoś na nim wygrywa rzewną melodię „Wołga, Wołga...". Zaciekawiony wybiegłem z kwatery. Zobaczyłem radzieckiego żołnierza, który grał na moim kontrabasie. Sojusznik instrument oddał, ale pokrowca już nie było. Widać ktoś inny go spożytkował. Do końca wojny nie udało się skombinować brezentu. Jak padało zaraz miałem pełen kontrabas deszczu. Z tego powodu pudło instrumentu mocno ucierpiało, a gdy było mokre fałszowałem straszliwie, bo nie dawało należytego rezonansu... Ale kto tam zwracał uwagę na takie detale? We wszystkich wyzwalanych miastach na naszej trasie od Lublina do Budziszyna dawaliśmy koncerty.**

W Łodzi graliśmy w hali sportowej przy ul. Łąkowej, gdzie dziś mieści się Wytwórnia Filmów Fabularnych. Może ktoś pamięta ten nasz koncert? Sala była pełna, byliśmy pierwszą orkiestrą, która grała w wyzwalanych miastach polskie piosenki. Ludzie płakali ze wzruszenia i wiwatowali na naszą cześć... Ledwie koncert się kończył nasza kilkunastoosobowa orkiestra zamieniała się w jednostkę sanitarną, nosiliśmy rannych i grzebaliśmy poległych...

Najbardziej dramatyczne chwile przeżyliśmy pod Budziszynem, zagrożeni okrążeniem przez wojska hitlerowskie. Rano stawiliśmy się w komplecie, z instrumentami, na miejsce zbiórki wyznaczonej do ewakuacji, ale okazało się, że szpital polowy, do którego byliśmy przydzieleni jako jednostka sanitarna, ewakuował się w nocy całkiem o nas zapominając. Zostaliśmy sami. W orkiestrze tylko ja miałem karabin a harmonista pistolet. Uzbroiłem się jeszcze w Lublinie, i mimo kłopotów nie rozstawałem z bronią, bo uważałem, że prawdziwy żołnierz musi przecież mieć karabin. To był taki jednostrzałowy karabin, po oddaniu każdego strzału trzeba było go repetować, pamiętał chyba jeszcze I wojnę światową... Przez kilka dni błąkaliśmy się po lasach. Szczęście nam sprzyjało, bo nie napotkaliśmy wroga. Już po wyzwoleniu, w Łodzi przekonałem się, że mój karabin był do niczego. Uradowany zakończeniem wojny postanowiłem choć raz zrobić użytek z mojej broni i wystrzeliłem na wiwat. Wie pan co się stało? Celownik odpadł...

Z powodu kontrabasu trafiłem do Łodzi zamiast do Warszawy, dokąd zgodnie z rozkazem udawała się cała nasza orkiestra. Mieliśmy przesiadkę w Kielcach. Do pociągu odjeżdżającego do Warszawy pchało się tyle wojska i cywilów, że dla mnie, a właściwie dla mojego kontrabasu, nie starczyło miejsca. Nawet na stopniach wagonu nie udało mi się usadowić. — Panie muzyk, gdzie pan się pcha z tym wielkim pudłem? Nie widzi pan, że ludzie chcą jechać — strofowano mnie surowo... Zdołałem się dopchać dopiero do następnego pociągu, który jechał do Łodzi. Tu odnalazłem mojego przyjaciela jeszcze z lat szkolnych Zbigniewa Szymonowicza — dziś docenta PWSM. Prowadził wtedy orkiestrę w Domu Żołnierza przy ul. Przejazd (tak się nazywała ul. Tuwima). Od razu zaprowadził mnie do intendentki po prowiant i sorty mundurowe. W ten sposób poznałem panią sierżant. W kilka miesięcy później Zbyszek Szymonowicz był świadkiem na naszym ślubie...

Po wojnie **Stanisław Grodzicki** skończył mikrobiologię na Uniwersytecie Łódzkim, a następnie chemię na Politechnice Łódzkiej. Mgr inż. Stanisław Grodzicki jest specjalistą z zakresu spektrofotometrii w Instytucie Fizyki i Chemicznej Obróbki Włókna.

Anna Grodzicka ostatnio pracowała w Polskim Towarzystwie Ekonomicznym. 26-letni mgr Zbigniew Grodzicki jest z wykształcenia ekonomistą i pracuje w jednym z łódzkich zakładów przemysłowych.

Składająca się z dwóch oficyn i drewniaka od frontu, posesja przy ul. Kilińskiego 133 stanowiła własność prywatną. Państwo Grodziccy obok Majerów, Stępniów, Cabanów, Klepczyńskich i Lewandowskich należeli do najstarszych mieszkańców. Przez kilka lat Stanisław Grodzicki był przewodniczącym komitetu domowego. Później tę funkcję objęła jego żona. Za ich kadencji podłączono posesję do miejskiej sieci wodociągowej oraz doprowadzono gaz. Nie wszyscy lokatorzy chcieli mieć gaz w mieszkaniu. Pani Stępniowa z parteru bała się, że może spowodować wypadek. Dopiero teraz w nowym mieszkaniu na Retkini korzysta z gazu i nie boi się ryzyka.

Właściciel nie dbał o stan posesji, klatki schodowej nie odnawiano od przedwojny w ramach tkwiły jeszcze resztki rolet jakie obowiązkowo zakładano w czasie okupacji, aby zaciemniały okna. Ale dobrze się układały sąsiedzkie stosunki. Nigdy nie zdarzyła się kradzież. Sąsiedzi znali się i świadczyli sobie wzajemne usługi. Wyjeżdżając na urlop Grodziccy zawsze zostawiali swego psa u Cabanów. Pani Grodzicka przyjaźniła się z p. Majerową, opiekowała nią i pomagała, gdy samotną sąsiadkę złożyła choroba. U Gordzickich był też jedyny w posesji telefon, z którego wszyscy mogli korzystać.

Posesja przy ul. Kilińskiego 133 stanowiła północno-wschodni narożnik skrzyżowania z ul. Główną. Jeszcze w 1973 roku z lewej oficyny wyprowadzono lokatorów i zamieniono ją na warsztaty szkolne Miejskiego Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego. Adaptacja musiała sporo grosza kosztować. Ze starej oficyny właściwie tylko konstrukcja została, wszystkie wnętrza zrobiono nowe. Nie spodziewano się, że za niespełna trzy lata budynek trzeba będzie opuścić.

Pierwsza wyprowadziła się do bloków Lewandowska. To było w lipcu zeszłego roku. Państwo Grodziccy akurat wyjeżdżali na urlop. Gdy wrócili, to mieszkanie Lewandowskich było już puste. Później żegnano następne rodziny — Frączkowskich, ich córkę Marysię, która zajmowała osobne mieszkanie, na strychu, i drugą córkę, która wprowadziła się do frontowego drewniaka po Piasowskich. Wszyscy wprowadzili się do oddzielnych, własnych mieszkań przyznanych poza kolejnością wobec konieczności rozebrania posesji przy ul. Kilińskiego 133. W miejscu, gdzie stały stare kamienice będzie biegła północna jezdnia jednokierunkowa Trasy W-Z.

Przed Bożym Narodzeniem posesja przeznaczona do wyburzenia niemal całkowicie opustoszała. 2 stycznia 1977 roku wyprowadziła się przedostatnia z 12 mieszkających tu rodzin — Kędzierscy. W dwupokojowym mieszkaniu w prawej oficynie na trzecim piętrze zostali tylko Grodziccy. Nie spodziewali się, że czeka ich prawdziwa gehenna w opuszczonym przez wszystkich domu. Stanisław Grodzicki notował ważniejsze wydarzenia z tego okresu.

5 STYCZNIA: brak wody. Ktoś zadzwonił do wodociągów, że przy ul. Kilińskiego 133 już nikt nie mieszka i trzeba zamknąć dopływ wody. Następnego dnia, po interwencji, otwarto dopływ wody, ale okazało się, że krany są powykręcane i w wielu miejscach woda leje się strumieniami.

7 STYCZNIA: brak światła. Wracając z pracy mgr inż. Stanisław Grodzicki kupił turystyczną lampę gazową. Wezwani na pomoc elektrycy stwierdzili, że powykręcane zostały bezpieczniki i skradziona cała tablica rozdzielcza z frontowego drewniaka, gdzie znajdowały się główne instalacje.

9 STYCZNIA: ktoś wykuł cały kawał rury kanalizacyjnej w piwnicy. Musiał być fachowcem, bo przedtem zakręcił główny zawór.

13 STYCZNIA: skarga — apel do prezydenta miasta Łodzi w sprawie zapewnienia elementarnych warunków przetrwania do czasu wyprowadzki.

16 STYCZNIA (niedziela): o godz. 7.30 włamanie na strych. Grodziccy przegonili włamywaczy. O godz. 12 włamanie do komórek na podwórzu. Pogotowie MO przyjęło zgłoszenie. Przestępców zatrzymano. Ale w nocy znów usiłowano się włamać na strych

18 STYCZNIA: otwarcie dopływu wody. Przez dwa tygodnie nosili wodę wiaderkami z posesji przy ul. Kilińskiego 131.

20 STYCZNIA: urwane kłódki w komórce.

— To były stare, solidne kłódki — wtrąca p. Grodzicka. — **Mój ojciec chlubił się, że kupił je w Wiedniu. W komórce mieliśmy koks, sto dziesięć wiader wnieśliśmy na górę. Obliczyliśmy, że starczy nam na prawie dwa miesiące, po dwa wiadra dziennie...**

26 STYCZNIA: znów brak wody. Powtórzył się ten sam „numer" z telefonem do wodociągów, aby zamknęli dopływ wody, bo przy ul. Kilińskiego 133 nikt już nie mieszka. Wykręcone zostały ostatnie dwa krany w drewniaku.

28 STYCZNIA: wezwani funkcjonariusze MO zatrzymali trzech osobników, którzy łomami rozbijali rury wodociągowe i kanalizacyjne. Zatrzymano „specjalistę" od rabowania żelaznych belek tkwiących w konstrukcji schodów.

— Tego trzeba szczególnie pilnować — powiedzieli milicjanci — **bo jak schody zarwie to helikopterem chyba państwa będą musieli wyprowadzać...**

30 STYCZNIA: buldożer zniszczył komórki, awaria telefonu. Stanisław Grodzicki zgłaszając uszkodzenie telefonu powiedział, że to jedyny łącznik ze światem. Jeszcze tego samego dnia przyszedł monter, znalazł uszkodzenie linii i ją naprawił...

2 LUTEGO: Anna Grodzicka wyszła tylko na chwilę. Listonosz z dołu krzyknął, że ma pocztę. Bał się wchodzić na górę. Umówili się, że będzie listy zostawiał w zakładzie fryzjerskim przy ul. Kilińskiego 124. Gdy wróciła, spotkała pod drzwiami swego mieszkania intruzów. Wyraźnie mieli ochotę sforsować drzwi.

— Co, pani tu mieszka? Ha, ha, ha — zaczęli się śmiać w odpowiedzi na żądanie by poszli precz. Nie wiadomo jakby się wypadki potoczyły, gdyby Anna Grodzicka nie była kobietą energiczną i jak przystało na „platerówkę" niezbyt skorą do ustępstw. Tak potraktowała intruzów, że jeden zleciał po schodach nielicho się obijając a jego kompani pierzchli w obawie, że może ich spotkać podobny los...

Grodziccy cierpieli niedostatki i sami dbali o swoje bezpieczeństwo. Znajoma, która była przez pewien czas w podobnych warunkach, opowiadała im, że ze swego mieszkania przy ul. Mickiewicza musiała w środku nocy uciekać z chorym ojcem, bo podpalono dom opuszczony już przez innych lokatorów.

— Czasem zastanawiałem się — mówi Stanisław Grodzicki — **czy to możliwe, że my mieszkamy jak na bezludnej wyspie, a ledwie po drugiej stronie ulicy palą się w oknach światła, ludzie żyją normalnie i spokojnie... Umówiliśmy się ze znajomym lekarzem, który mieszka przy ul. Głównej nad sklepem pasmanteryjnym, że jego dwaj synowie — studenci uczący się do późnej nocy, będą od czasu do czasu wyglądać przez okno Gdybyśmy potrzebowali pomocy mieliśmy to sygnalizować w umówiony sposób latarką...**

Mgr inż. **Stanisław Grodzicki** wcale nie z własnej woli został „Robinsonem" w mieszkaniu nr 29 przy ul. Kilińskiego 133. 28 listopada 1976 r., zaproponowano mu wyprowadzkę do nowego mieszkania na osiedlu Widzew — Wschód. Poszedł już po odbiór kluczy, gdy w administracji zagadnięto:

— Co, bierze pan to mieszkanie? Przecież inni przed panem nie chcieli, bo jak pada deszcz to wodę trzeba wynosić wiadrami...

Zraził się, zrezygnował z kluczy i mieszkania, poprosił o nowy przydział. 1 grudnia 1976 r. Urząd Miasta Łodzi skierował go do Łódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej. 6 grudnia otrzymał pismo, że przydzielono mu w wieżowcu przy ul. Piotrkowskiej 182 mieszkanie nr 344. Wydawało się, że lada dzień będzie się można wyprowadzić. Niestety, terminy przekazania do użytku wieżowca przekładano z tygodnia na tydzień. 10 stycznia 1977 r. Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Dróg i Mostów wystąpiło do Urzędu Dzielnicowego — Śródmieście, o przyznanie Annie i Stanisławowi Grodzickim mieszkania zastępczego. Pismo pozostało bez odpowiedzi.

Wreszcie 18 marca 1977 r. Grodziccy mogli się wprowadzić do swego nowego mieszkania przy ul. Piotrkowskiej 182. Poprosili o pomoc przy przeprowadzce żołnierzy z pułku OTK. Dawni frontowcy, członkowie ZBoWiD utrzymują z jednostką OTK bliskie kontakty. Dowództwo przysłało więc żołnierzy i samochód. Sierżant sztabowy rezerwy, „platerówka" Anna Grodzicka chciała jakoś ugościć pomocników. Ale jak? W starym mieszkaniu nie było już ani wody, ani prądu, ani gazu, a w nowym jeszcze rzeczy stały nie rozpakowane? Poradziła sobie. Może trochę wbrew przepisom przeciwpożarowym rozpaliła ognisko na półpiętrze opustoszałej kamienicy i nagotowała gorącej strawy, która wybornie wszystkim smakowała wzbudzając podziw i uznanie dla przedsiębiorczości pani sierżant.

— Mimo wszystkich kłopotów mile wspominamy nasz stary dom — zgodnie zapewniają mnie Grodziccy. — Tu mieszkamy trzeci miesiąc, ale jeszcze nikogo nie znamy, nie ma już tej atmosfery wzajemnych kontaktów sąsiedzkich. Może z czasem się wytworzy?...

* * *

12 lipca Rada Budowy Trasy W-Z zdecydowała, że z okazji Święta Odrodzenia przekazany zostanie do użytku pierwszy fragment realizowanej arterii komunikacyjnej — południowa jezdnia biegnąca od al. Włókniarzy i skręcająca w ul. Żeromskiego oraz wiadukt łączący ul. Łąkową z ul. Żeromskiego. Wybudowana też zostanie do 22 lipca, choć na razie ze względu na organizację robót nie będzie jej można przekazać użytkownikom, jezdnia skręcająca przy Szpitalu WAM w prawo z ul. Żeromskiego w ul. Łąkową. Budowa całej inwestycji ma być zakończona w przyszłym roku.

Zdjęcie autora.

NIE MA JUŻ TAMTYCH CHOJEN

Dalszy ciąg ze str. 3

Tylko gdzieniegdzie więc ujrzysz człowieka mieszającego wapno w kalfasie, ciułającego po tysiącu cegłę, zabiegającego gdzie tylko można, o metr drewna. To już ostatni Mohikanie w mieście, w którym przez całe przedwojenne dziesięciolecia obowiązywał jeden tylko model zyskania wolności od wyzysku kamieniczników: harować długie lata i zamieszkać potem w małym, drewnianym domku.

Chojny więc były drewniane, jak okiem sięgnąć w przeszłość, w tę przeszłość sięgającą jeszcze 1905 roku, kiedy na bruku Czerwonego Rynku rozbrzmiewały odgłosy kopyt końskich i świszczały kozackie nahajki, spadające na plecy demonstrantów od Geyera, Leonhardta czy Stolarowa. Tędy, od Piotrkowa, Tuszyna, z wiosek na południe od fabrycznej Łodzi położonych, wiodły główne szlaki przyszłych szpinerów i tkaczy. Ich najdotkliwiej przygniatała bieda, odkąd zerwali z ziemią, a posiadali jej niewiele. Im bardziej ciążyła na duszy dola robotnicza, ściśnięta w ciasnych i drogich klitkach wynajmowanych przez kamieniczników. To właśnie ci przybysze zaciskali pasa, nieraz głodowali, aby jak najszybciej wyrwać się na swoje.

Dom Szczepaników

Dom Szczepaników na ulicy Komorniki powstał właściwie w 1939 roku, ale w stanie surowym — tylko jedna izba przy sionce nadawała się jako tako do zamieszkania. Na resztę zabrakło pieniędzy. Budował domek ojciec Zenona Szczepanika — Jan, który pracował w wykończalni u Millera, obok Horaka, czyli w dzisiejszych Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. Armii Ludowej.

Zenon Szczepanik wspomina pierwszy okres powojenny, wiele się wtedy wydarzyło. W jego życiu można dostrzec losy tysięcy łodzian, setek tysięcy Polaków, którym wypadło po wojnie odbudowywać kraj, a także realizować własne cele. Jak je Szczepanik realizował? Jego ojciec, jeszcze na długo zanim podjął decyzję budowy domku parterowego przy ul. Komorniki (nazywała się wtedy Grunwaldzka), przywędrował do Łodzi tuż po I wojnie światowej, aby posmakować lepszego — jak się spodziewał — życia. Przybył z Żarnowicy pod Wolborzem. W Łodzi poznał matkę Zenona. Wyrosła ona w rodzinie geyerowskich robotników i potem, po ślubie, jakoś wciągnęła ojca Zenona do włókniarskiego grona. Zamieszkali na Wegnera pod piątym. Tutaj też urodził się Zenon.

Miał 15 lat, gdy ojciec kupił tę działkę pod chojeńskim cmentarzem Franciszka. Pamięta wożenie materiałów budowlanych, początek budowy. Nastąpiło to dopiero po dłuższym okresie odkładania grosza do grosza, po okresie wyrzeczeń. Poszły na ten domek wszystkie oszczędności, poszła rodzinna spłata, jaką ojciec otrzymał w Żarnowicy. Ale przecież, gdy wybuchła wojna, zabrakło pieniędzy i budowę trzeba było przerwać. W jedynej gotowej izbie zamieszkała Szczepanikowa z synem.

Nielepiej wiodło się przed wojną sąsiadom Szczepaników spod chojeńskiego cmentarza. Sąsiad budował zwyczajny barak, bo wolał barak niż komorne, niż ciągłą groźbę eksmisji, czającej się w okresie każdego strajku czy lokautu, gdy nawet najmniejszej tygodniówki nie przynosiło się do domu. Eksmisje były w środowisku robotniczym zmorą.

Komorniki

Sąsiadowi Szczepaników — jak ludzie gorzko mawiali — poszczęściło się wreszcie. Jakie to było to szczęście? Żona sąsiada wynajmowała się do prania „u państwa". Pijany chlebodawca w przystępie furii kopnął praczkę w brzuch. I to wystarczające, by u sąsiadki będącej akurat w szóstym miesiącu ciąży, spowodować poronienie. Gazety o tym pisały. Proces trwał długo. Wreszcie jednak sąd przyznał kobiecie odszkodowanie — za to kopnięcie, za dziecko, które na świat nie przyszło. Właśnie za to odszkodowanie stanęła owa drewniana budowla, niby to domek, a przecież przypominający szopę czy barak. Dopiero po wojnie, po latach pracy w fabrykach całej rodziny, to drewniane domostwo zniknęło. Stanął przyzwoity, murowany domek na Komornikach.

Tego dnia miałem okazję przekonać się, że istotnie, nie ma lepszej nazwy dla tych domków drewnianych, wyrosłych z ludzkich wyrzeczeń, dla tych pałatek, zbudowanych z byle czego i byle jakim sposobem. Dla ludzi — komorników trudno o bardziej odpowiednią nazwę.

Te domki, które w latach powojennych uratowano jakimś cudem przed rozsypaniem się, dają tylko schronienie, pozbawione są bowiem wszelkich wygód, nawet po wodę trzeba codziennie ustawiać się w kolejce przed beczkowozem. Studnie w całej okolicy, jak okiem sięgnąć, wyschły na amen.

— Na Komornikach — wyjaśniał sprawę naczelnik Kazimierz Bednarczyk — powstanie nowoczesne osiedle dla 35 tysięcy ludzi. Już za rok budowa się zacznie, a za trzy lata chcemy oddać mieszkańcom 20 tys. izb. Więc chyba warto się jeszcze trochę pomęczyć, aby sprawę załatwić na długie lata, a nie prowizorycznie. Czy nas, Urząd Dzielnicowy, nie boli widok tych beczkowozów rozwożących wodę, tych ludzi ustawiających się w kolejce? Jakie to życie?

Dlaczego zostały beczkowozy?

W domu Szczepaników oszczędza się wodę. Gdy przyjedzie beczkowóz, nabiera się jej cały stulitrowy pojemnik. Starczy na całą dobę. Oczywiście, łazienki nie ma. Jest jednak w domu centralne ogrzewanie własnego pomysłu, którego zazdroszczą Szczepanikom na całej ulicy.

Po 70 roku drewniana przeszłość dzielnicy zaczęła z roku na rok coraz bardziej zanikać. Pozostało jeszcze 250 takich skansenów robotniczego budownictwa. Te, które rozebrano w ostatnich latach, pozwoliły na zaprojektowanie i budowę nowych osiedli — „Dworzec Chojny", „Czerwony Rynek", „Zarzewska — Radomska". Przybyło blisko 32 tysiące izb, z czego prawie 1300 wybudowali sami mieszkańcy, wznosząc domki jednorodzinne.

Planowano budowę 29 tys. izb, ale zrealizowano 2,5 tys. więcej. Dlatego 800 dalszych rodzin, którym się nie śniło w tym czasie o nowych blokach, mieszkania otrzymało. Ale i ludzie, którzy zdobyli się na wysiłek budowy własnego dachu nad głową, wznieśli o 150 izb więcej niż pierwotnie zamierzali. Dała o sobie znać ludzka zapobiegliwość i podwyżki płac w przemyśle.

Gdy rosły płace, przybywało i potrzeb społecznych. Rosły one szybciej niż to potrafiła ogarnąć myśl dzielnicowych planistów. Oto dowody: na bieżące remonty starych domów trzeba było po 70 roku wydać o 16 milionów złotych więcej, na remonty szkół i placówek służby zdrowia — o 33 miliony więcej. W drewniakach na Chojnach wysunęła się na czoło sprawa wody. Ale przecież rozwój dzielnicy pochłonął tyle środków. Potrzeby unowocześnienia fabryk i całego przemysłu były tak silne, że zabrakło sił na to, aby błyskawicznie, z roku na rok, woda mogła dotrzeć do wszystkich drewniaków.

W tym czasie, gdy ludzie chodzili z wiaderkami do beczkowozów, wzniesiono w „Armii Ludowej" przędzalnię „Wir" z przędzarkami bezwrzecionowymi, przędzalnię, która zadziwiła świat. Dzielnica jest dumna z posiadania takich potęg przemysłowych, jak „Dywilan", „Polanil" „Polmo", „Brokat". Stąd na cały kraj dostarczać się będzie układów hydraulicznych dla wielkich koparek i żurawi, dla ciężkich maszyn budowlanych. Stąd już dzisiaj wędrują do polskich fabryk motoryzacyjnych gaźniki i układy hamulcowe.

Znaczny, bo 24-procentowy, jest udział wartości produkcji dzielnicy w całym województwie łódzkim. W ciągu roku ludzie pracy Górnej wytwarzają różne wyroby na pożytek kraju i na eksport za 30 miliardów złotych.

W tym też czasie przy ul. Popioły utworzono pierwszy w Polsce ośrodek rehabilitacji kardiologicznej, aby bardziej skutecznie troszczyć się o zdrowie tych, którzy skarżą się na podejrzane szmery w pracy serca.

Wzgląd na podniesienie zdrowotności mieszkańców kazał zająć się i sprawą mikroklimatu — w pięciu dużych zakładach powstaną wkrótce oczyszczalnie ścieków, chroniące środowisko, pomagające w odrodzeniu życia biologicznego w Olechówce. Matkom zamierza się odjąć wiele kłopotów z chorymi dziećmi. Przy ul. Paradnej budowany będzie szpital pediatryczny na 450 łóżek, spokojnie w przyszłość spoglądać będą ludzie starsi, weterani, pracy, ludzie sterani wiekiem i już często niezaradni. Przybędzie w dzielnicy miejsc w domach opieki społecznej, w domach dziennego pobytu, oddany zostanie do użytku ośrodek dla ludzi przewlekle chorych.

Dobry start

W rodzinie Szczepaników wszyscy pracują, najważniejsze zaś — dobry start miały dzieci Stanisławy i Zenona. Syn, Wojciech, już od kilku lat pracuje w „Armii Ludowej". W tej samej fabryce znalazła zatrudnienie córka Jadwiga. Tylko starsza córka, Teresa, od 73 roku mieszka na Śląsku, dokąd pociągnął ją mąż, górnik.

— Od 70 roku płace wzrosły u nas o ponad 50 procent — mówi Zenon Szczepanik — **a w ubiegłym roku otrzymaliśmy trzy różne podwyżki. Mój oddział — wykończalnia, przeżywa modernizację, musimy dostosować technologię wykańczania tkanin do wymagań produkcyjnych nowej tkalni, wyposażonej w szwajcarskie krosna.**

Syn Wojciech uzupełnia wypowiedź ojca:

— W 19 roku życia zacząłem pracować na wykończalni w charakterze ostrzarza wałków do drapania tkanin. Ukończyłem w tym czasie Zasadniczą Szkołę Zawodową i Liceum Ogólnokształcące dla Pracujących. W wojsku wyuczono mnie mechaniki lotniczej. Mógłbym dziś pracować jako specjalista, ale wolałem zostać w „Armii Ludowej". Ciągnie człowieka do środowiska, w którym wyrósł i wychował się. Tym bardziej że po powrocie z wojska od razu awansowałem w fabryce. Zostałem nastawiaczem maszyn.

Córka Jadwiga wypowiada się, rzekłbym, po kobiecemu:

— Trzy wydarzenia z ostatnich lat wydają mi się najważniejsze. Pierwsze — w 69-tym, gdy dostałam się na krojownię jako brakarz, drugie — w 74-tym, kiedy wyszłam za mąż, z czego jestem bardzo zadowolona, bo to małżeństwo z wyboru, trzecie — w tym roku, bo na jesieni dostajemy własne mieszkanie, M-4, na Retkini. To będzie już prawie pod Aleksandrowem, ale przecież własne, oczekiwane...

— Samochód by się przydał — przerywam.

— Mamy „Syrenkę", nie widział pan na podwórku?

— U nas — wtrąca Wojciech — hierarchia powinna być taka. Najpierw mieszkanie, żeby nie męczyć się z teściami, potem praca, żeby dawała satysfakcję i zarobek, jakiś sukces, po prostu — żeby się powiodło, i zaraz potem dziecko. Gdy już jest to wszystko o czym mówię, może być i samochód.

Wojciech Szczepanik jest przekonany, że to młode pokolenie lat 70 może przejąć na swe barki ciężar odpowiedzialności za kraj, jego rozwój i przyszłość.

— Mamy coraz większy wpływ na życie fabryki, na ludzkie losy. W brygadach obserwujemy pogoń za coraz lepszymi wynikami, a to zdrowy objaw, wielu zdolnych młodych ludzi przyszło do „Wiru", do tych fenomenalnych przędzarek, wielu awansuje. Nikogo też u nas nie zdziwił awans młodego inżyniera, Barbary Włodarczyk, która zastąpiła już odchodzącego na emeryturę Dobiesława Swiniarskiego i kieruje teraz całym oddziałem farbiarni. Radzi sobie dobrze, choć to ciężki wydział.

Ludzie dla ludzi

— Tyle mówimy o milionach i miliardach — stwierdza naczelnik Kazimierz Bednarczyk — **o nowych zakładach i postępie. Mówimy, bo to prawda, wysiłek państwa i polityka partii stanowią główne źródło przeobrażeń. Od zmian w systemie wytwarzania, w warunkach pracy i życia zaś niedaleko do przemian w ludzkiej psychice. Z roku na rok mamy coraz więcej inicjatyw. Same załogi fabryczne na przykład wybudowały przez te lata 11 km nowych ulic. Przychodzili na te budowy po pracy, po 8-godzinnnej zmianie. Przez 5 lat mieszkańcy-społecznicy przysporzyli nowych urządzeń socjalno-kulturalnych, nowych obiektów za 188 milionów złotych. Ale nie pieniądze są tu ważne. Ludzie, którzy czują się odpowiedzialni za to, co ich otacza, co uznali za swoje.**

FELIKS BĄBOL

A MOGŁO BYĆ JAK W ZEGARKU

Dalszy ciąg ze str. 5

sko. Nasz teren wyznaczają: ul. Narutowicza, Park Moniuszki, tory kolejowe, Kopcińskiego od wiaduktu, Jaracza, Kilińskiego, nie licząc bocznych. W sumie 72 posesje, zakłady, instytucje. Ze wszystkimi jesteśmy w kontakcie: włączają się w nasze sprawy.

Komitet Obwodowy nr 23 jest najlepszy w Śródmieściu. Co roku wypada 30 tysięcy nagrody, w tym roku spadł i „Kawaler" na pierś prezesa. Kierownik ROM nie ukrywa swej dumy:

— Szałkowski sam bierze rękawice i wyrywa złom. To jest robotnik i... Krzyż mu się słusznie należał.

W 1976 roku Komitet zebrał równo 26.240 kg złomu i prawie 2 tys. kg makulatury. Wartość czynów społecznych: 1975 — około 300 tys. zł, 1976 — około 255 tys. zł. Każdego roku samorząd wspólnie z własnym posterunkiem ORMO i MO przeprowadza kilkanaście akcji w rejonie ul. Składowej i parku Moniuszki. Dzięki dobrej pracy społecznej komisji pojednawczej jest coraz mniej konfliktów.

— Mocno stawiamy na młodych — Szałkowski uprzedza moje pytanie. — **Po ostatnich wyborach 4 młodych w plenum. Na 31 osób w Komitecie 13 to młodzi. Powołaliśmy samorząd młodzieżowy. Studenci z osiedla im. ZWM przychodzą się do nas uczyć.**

O Szałkowskim powiadają, że tylko chodzi i myśli, co by jeszcze dobrego zrobić. W kwietniu zainicjował porządki w posesjach. Gospodarskim okiem sięga aż po dachy. Zaapelował o ukwiecenie balkonów. Nagroda za najładniej utrzymany balkon będzie... wycieczka nad Balaton.

W dzielnicy starych

Powiedziano mi o Komitecie Obwodowym nr 1, że przed paroma laty należał do przodujących. Dziś jego praca osłabła. Dlaczego?

Domyślając się, po co do nich przyszedłem, przedstawicielki samorządu przezornie zaczęły od kłopotów.

Przewodnicząca, **Aniela Kosmalska:**

— Teren mamy trudny, martwy — to dzielnica starych domów i starych ludzi. Młodzi powynosili się. Podobnie większe zakłady.

Przewodnicząca społecznej komisji pojednawczej, **Izabela Stańczykowska:**

— Przez nasz rejon: Czerwona — Piotrkowska — Świerczewskiego — Wólczańska przejdzie trasa W—Z. W każdym z projektów inne domy miały ulec rozbiórce. Trudno robić kapitalne remonty. Ale właśnie starymi domami zdobyliśmy wyróżnienie w konkursie „Moje osiedle — mój dom".

Aniela Kosmalska:

— Zebraliśmy już 2,5 tony makulatury. Ale zbieraniem złomu trudno obarczać starych. Był nawet wypadek. Ludzie starsi mają po kilka funkcji na raz. Do pracy nas mało. Naprawdę aktywnych jest tylko 14.

— A młodzi? — pytam.

Nie udało się dotąd komitetowi wychować młodzieżowego samorządu. Czy jednak nie za późno o tym pomyślano? Nie ma wprawdzie lokalu, który można by oddać młodym w „dzierżawę". Gościnny „Klimacik", klub „Uniprotu" jest za mały. Rezyduje tu już komitet. Samorząd wiąże nadzieje z szczytowym łódzkim klubem „Kolibrem". Stąd mają wyjść młodsi aktywiści, tacy, co to nie tylko chcą potańczyć i wypić wino. Oni powinni stworzyć obwodowy posterunek ORMO. Na razie jednak w samorządzie umiarkowany optymizm.

— Młody człowiek nie przyjdzie bez zachęty i przykładu. Tu trzeba być bezinteresownym. A starsi nie dają najlepszego przykładu — mówią moje rozmówczynie. — **W ubiegłej kadencji byli tacy, co przyszli do samorządu tylko po to, żeby załatwić sobie garaż albo mieszkanie...**

A mogłoby być jak w zegarku...

Tło: Dolna Ruda. Łódź już przechodzi w wieś. Osiedle, zwane tu „Wyścigami" tworzy trójkąt, wyznaczony: Nerem od północy i wschodu, Pabianicką od zachodu i dawnym torem wyścigów konnych od południa. Domki jednorodzinne, rzadko piętrowe. Nieco starej zabudowy. Ogrodnictwa, szklarnie, hodowle pieczarek i inna prywatna inicjatywa.

Kobieta około 40 lat, wraca z zakupami:

— Pobocza, oświetlenie to dzięki nim. Przedtem trudno było przejść suchą nogą i bez strachu. Żyje tu dużo rencistów, przydałby się kiosk spożywczy. Ale kończy się na postulatach.

Mężczyzna, lat 55:

— Samorząd? Parę ulic pokrył płytami. Przy MPK w otwartej świetlicy: chóry, teatr...

Dziewczyna około 25 lat:

— Mieszkam w bocznej odnodze ul. Pogorzel. Nikt o niej nie pamięta. Na drodze szlaka i piasek, często tonie się w błocie.

Spychacz poszerzał tu cmentarz. Zepchnął ziemię na kilka kup i odjechał. Robią tam wysypisko śmieci. Jak chodziłam do szkoły, powyrywaliśmy chwasty. Teraz znowu zarosło...

Właściciel zakładu betoniarskiego, zapytany czy pracuje w samorządzie:

— Mnie to nie interesuje. Ja nic nie wiem...

Mężczyzna, 72 lata, skryliśmy się razem przed ulewą pod drzewem:

— Raz wygarnąłem im prawdę w oczy, to już mnie na zebrania nie proszą. Komitet robi na pokaz, jak przyjadą z „góry". A studzienki budują i płyty kładą nie tam, gdzie trzeba. Przed szkołą dzieci brną po kolana w błocie. Szkolne boisko to dwie wyrównane kupy koksu.

Terenowy opiekun społeczny S. Brzeziński:

— Komitet nie pracuje? Ktoś panu źle sprawę postawił. Ale ja wiem, kto doniósł... Że zrobiono dużo, to zasługa Ilczenki. Stale się tu kręci. Jak Ilczenko powiedział, spychacz przyjechał i Ciechocińską wyrównał.

Kobieta około 50 lat:

— Mieszkam tu od urodzenia. Mogliby więcej troski włożyć w to osiedle. Mam wiele do życzenia: handel, porządki...

— Pokażę panu nasze kłopoty — zapowiada przewodniczący Komitetu Osiedlowego nr 18, Eugeniusz Ilczenko, zapraszając na przejażdżkę „Warszawą". — **My tu gorące kasztany wyjmujemy z ognia za tych, którzy zawinili.**

Róg Kuźnickiej i Redowej. Przedsiębiorstwo, które kładło twardą nawierzchnię, zakryło odpływ wody.

— A mówiliśmy: pamiętajcie, że odpływ jest potrzebny. Oni jak zwykle: sprawy techniczne nam zostawcie... Ale przy samej robocie żadnego nadzoru. Płyty kładą tam, gdzie im się widzi. Po co na Wyścigowej, którą mało kto jeździ?

— Oni nas nie słuchają, nie wierzą w nasze siły. Że zrobimy fachowo, bez marnotrawstwa — dodaje jeden z członków komitetu, Maciaszczyk.

Na widok naszej „Warszawy" poruszenie. Z „Syrenki" wołają do nas:

— A kiedy będzie światło na naszej ulicy?

Na Jesiotrowej otaczają nas mieszkańcy:

— Śmiech mówić o tym świetle. Ulica na 2 kilometry, kobiety wracają po ciemku, zdarzają się zaczepki...

— Wszyscy pracowali przy poboczach. Nawet dzieci. Kobiety nosiły piasek w fartuchach. Liczyli, że dadzą światło.

Społecznicy są przekonani, że ludzie zrobią i za milion rocznie. Lecz same dobre chęci to za mało. Inicjatywa pęka, karłowacieje. Bo gdzie tam na drodze znajdzie się jakiś obojętny, powolny, czy ostrożny.

— A mogłoby być jak w zegarku — powiada Eugeniusz Ilczenko, zegarmistrz zresztą.

Po powrocie

Myślę, że tam, gdzie chodzi o pracę społeczną, o odmianę jedynie tej samej ludzkiej pasji, reporter nie ma prawa rozstawiać nikogo po kątach, rozdawać cenzurek — lepszych, gorszych...

Po powrocie z Rudy wiem, że „Dzienniki współzawodnictwa" nie zawsze wiernie odzwierciedlają temperaturę działań. Dwa kontrastowe przykłady stosunków z administracją: dobre w Śródmieściu, gorsze na Górnej.

Regulamin „Współzawodnictwa o tytuł najlepszego Komitetu Samorządu Mieszkańców" mówi:

„Współzawodnictwo obejmować będzie wszystkie dziedziny działania"... Wyróżniono tu „zadania organizacyjne", „działalność ideowo-wychowawczą" i „społeczno-gospodarczą".

Jednak więcej niż połowa samorządów — jak mi powiedziano w ŁK FJN i jak sam zobaczyłem — działa jednostronnie, w wybranych kierunkach.

Niedawno odbył się sejmik ZŁ ZSMP, na którym posypały się deklaracje, bo chwalić się na razie nie ma czym. Ponoć w Łodzi działa z górą 30 młodzieżowych samorządów. Z małymi wyjątkami nie dały się jeszcze poznać. Brak zwłaszcza ciekawych form pracy z dorastającymi.

W założeniu współzawodnictwa komitety same podliczają własną pracę. Od ich uczciwości zależy w dużym stopniu ocena komisji samorządu mieszkańców komitetów FJN. Spotkałem jednak niedobre zjawisko: nawet te najlepsze samorządy w zapale rywalizacji „robią punkty" rozdając między własnymi działaczami ileś tam złotych odznak. „Zasłużonego w pracy społecznej". Współzawodnictwo nie jest konkursem-wyścigiem. Nie chodzi o punkty ani o pieniądze. Lecz o to, aby zachęcać, wciągać ludzi do pracy społecznej, aby ożywić komitety domowe i blokowe, dzielnicowe komisje samorządu mieszkańców. Warto, by nawet ci najambitniejsi działacze, a i członkowie komisji pamiętali, że w czynie społecznym nie wszystko da się przełożyć na złotówki i punkty, ani też zapisać w odpowiedniej rubryce „Dzienników współzawodnictwa".

TOMASZ SOLDENHOFF

OPINIE

JEAN-PAUL SARTRE O MIŁOŚCI I KOBIETACH

Hamburski tygodnik „DIE ZEIT" opublikował wywiad z Jeanem-Paulem Sartrem, przeprowadzony przez Catherine Chaine z „LE NOUVEL OBSERVATEUR". Znany filozof i pisarz odpowiada z dużą otwartością na pytania, dotyczące jego stosunków z kobietami. Wywiad stanowi również interesujący przyczynek do problemów obyczajowości francuskiej w bieżącym stuleciu. Poniżej drukujemy fragmenty tego wywiadu.

— Zwykle pańscy rozmówcy czują się zobowiązani rozprawiać z panem na temat filozofii, literatury lub polityki. Ja chciałabym zrobić wyjątek i rozmawiać z panem o kobietach. Mam wrażenie, że jest pan na wskroś kobieciarzem.

J. P. Sartre: — Ma pani rację, przez całe życie bardzo kochałem kobiety. Znajdowały się zawsze w centrum moich myśli.

— Jak pan to tłumaczy?

J. P. Sartre: — Moja rodzina składała się głównie z kobiet: matka, babka, ich przyjaciółki. Jedynym mężczyzną był tam mój dziadek. Moje wspomnienia z dzieciństwa są ukształtowane przez kobiety. Były one stałym elementem moich marzeń. Do dziewiątego, dziesiątego roku życia bawiłem się z dziewczętami, które wchodziły w rachubę jako moje przyszłe małżonki, aż zaczęto mnie z nimi „zaręczać". Kiedy mając 16 lat wróciłem do Paryża, stykałem się z wieloma, wieloma kobietami.

— Mówi pan najczęściej „kobiety" — w liczbie mnogiej. Czy jako dziecko lub jako młody mężczyzna nie wyobrażał pan sobie pewnej kobiety, która mogłaby zostać pańską żoną?

J. P. Sartre: — Nie, ponieważ od początku miałem nastawienie poligamiczne. Zawsze wyobrażałem sobie swe życie seksualne jako swobodne. Również pod tym względem byłem znowu „męskim szowinistą": nigdy nie marzyłem o dziewczynie, która mogłaby być jedyna w moim życiu.

— I czy uważał pan kobiety za zdolne do zaakceptowania tego?

J. P. Sartre: — Zawsze poszukiwałem w kobiecie równoprawnego partnera, ale takiego, który uzupełniałby mnie duchowo. Czułość, miłość, jakie sobie wyobrażałem, składały się z dwojga ludzi, którzy się obejmują i całują. Intymna atmosferę uczuciową, którą od początku otaczała mnie moja rodzina — matka, babka, ich przyjaciółki — próbowałem odnaleźć w swoich znajomościach z dziewczętami. W seksie chodziło mi głównie o to. Jako młody mężczyzna podobałem się sobie również w roli opiekuna kobiety, chroniąc ją przed możliwymi akcjami innych mężczyzn. Jednak ta idea opiekuna coraz bardziej znikała. Kiedy miałem 20 lat, nie liczyła się już.

— Czy uważał pan siebie za ładnego czy za brzydkiego?

— J. P. Sartre: — Wcale się tym nie zajmowałem. Moje ciało było mi obojętne. Nie byłem ani najsilniejszy, ani najsłabszy w klasie, uprawiałem trochę sportu — jak wszyscy. Już wtedy chciałem zostać bardzo sławnymi pisarzem — cóż mogło mnie obchodzić fizyczne piękno! Żaden człowiek nie zwraca uwagi, czy sławny pisarz jest przystojny, czy też nie. Było to dla mnie absolutnie drugorzędne. Nie byłem przystojny, tak było.

Dalszy ciąg na str. 11

LATO 77

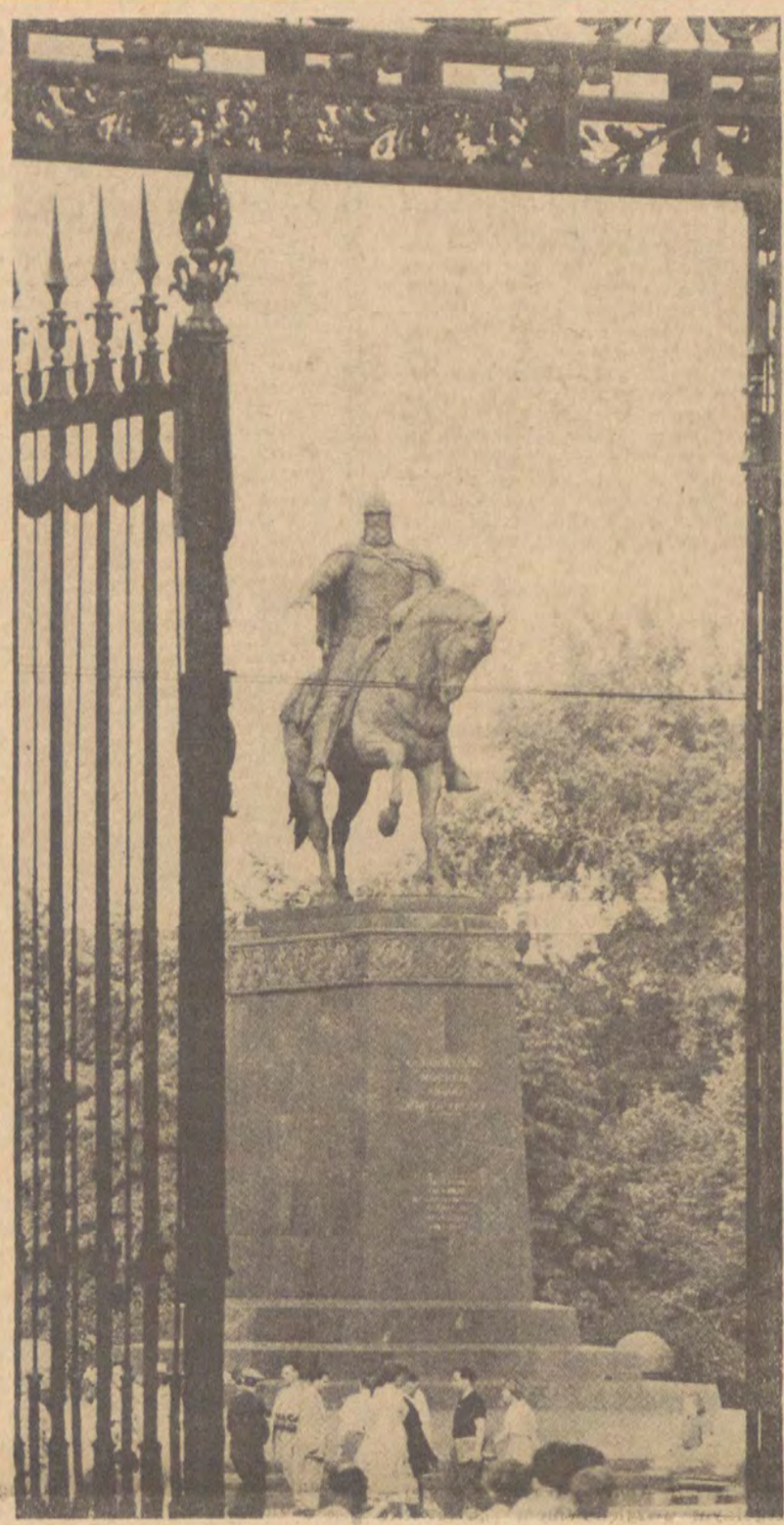

Foto: Archiwum

MOSKWA

Kiedy przed laty stanąłem pierwszy raz u stóp hotelu „Leningrad", na wysokiej estakadzie przy Placu Komsomolskim, długo patrzyłem zafascynowany na rozciągającą się u stóp mozaikę architektury.

Na prawo Dworzec Kazański, (XVII-wieczny w stylu, oddany do użytku w roku... 1926), o bardzo oryginalnej architekturze, na lewo wytworna sylwetka Dworca Leningradzkiego z połowy XIX wieku. Dalej, Dworzec Jarosławski — przysadzisty gmach z wieżycami z roku 1905. Drugiego takiego placu nie ma na całym świecie. „Z tego miejsca można pojechać na koniec świata" — mówią Rosjanie.

I rzeczywiście. Jest to jeden z największych węzłów kolejowych świata. Z tego miejsca odchodzą na zachód pociągi aż do Lizbony, na wschód — do Władywostoku i Nahodki, a stamtąd, drogą morską, do Jokohamy. Można zatem wsiąść do wagonu w Portugalii, na Placu Komsomolskim w Moskwie przesiąść się do innego pociągu i wylądować w Japonii.

Będąc w Moskwie, zawsze warto zwrócić uwagę na oryginalną, niespotykaną nigdzie na świecie architekturę. Empire Maneżu i Teatru Wielkiego, dekadentyzm hotelu „Metropol", pseudorosyjski styl Muzeum Rewolucji i obok cudowny zespół kremlowski — też zresztą nieprawdopodobnie różnorodny — od cerkwi po nowoczesny Pałac Zjazdów. Podobne zaskoczenia i zestawienia są wszędzie. Na Placu Komuny Centralny Teatr Wojskowy, zbudowany w latach 1934-40, w kształcie gwiazdy. A obok, na Instytuckim Pierieułuku gmach Muzeum Wojska. Pasadowa architektura lat trzydziestych w symbiozie z oszczędną, nowoczesną linią.

Są też w Moskwie dwa domy zbudowane według projektów jednego z najwybitniejszych architektów, Le Corbusiera. Ale chyba najpiękniejsze partie starej Moskwy to ulica Gorkiego i jej okolice. Wspomina Jerzy Putrament: **„Błąkasz się zaułkami, pełnymi starych drewniaków i nader prowincjonalnych kamieniczek, gdy nagle krata i trzydzieści metrów w głębi empirowy pałacyk piętrowy pośrodku, z dwiema parterowymi oficynami wybiegającymi aż do ulicy.**

W takim właśnie pałacyku czy raczej dworku mieści się Związek Pisarzy Radzieckich. Jego dawni właściciele nazywali się Sołłohubowie. Ten to dom stał się pierwowzorem pałacu Rostowych z „Wojny i pokoju".

Tak pisał Putrament kilkanaście lat temu, ale czy dziś istnieje duzo owych „starych drewniaczków i kamieniczek?" Wszystko to, co szpeci, co nie jest zabytkowe i wartościowe, ustępuje miejsca nowym domom.

Ale pozostają nawet maleńkie, prawie wiejskie domki, jeśli.. Na Sadowym Kolcu wielkie gmaszyska i raptem przyklejony do jednego z nich mały domek z ubiegłej epoki. Czemu pozostał, co za wartość przedstawia ta murowana chatynka zbudowana w czasie, gdy Sadowe było rzeczywiście zielonym bulwarem?

Podejdźcie do drzwi. Na nich tabliczka z napisem: **„Antoni Czechow — lekarz".** Ten dom jest pomnikiem.

Obowiązkowym punktem wszystkich wycieczek jest kremlowska Orużejnaja Pałata czyli zbrojownia, bo tak można przetłumaczyć te słowa. Ale Orużejnaja Pałata jest — i była zawsze — gigantycznym skarbcem. Jest nim dziś i była od XIV do początku XIX wieku skarbnicą carów i książąt moskiewskich. Ponieważ gdzieś w XV wieku skarbiec się rozrósł wzniesiono dla niego nowy murowany gmach.

Dziś jest to jedno z ciekawszych moskiewskich muzeów. Zgromadzono tu bogaty zbiór broni i zbroi rycerskich, szable, kindżały, szpady i pałasze. No i najlepsze dzieła rosyjskiej i zagranicznej sztuki dekoracyjno-użytkowej, ściśle związane z historią Kremla i całego państwa rosyjskiego.

Starodawne czarki, misy, serwisy, tabakiery — całe kolekcje stołowych i kieszonkowych zegarów... Dalej drogie tkaniny, szaty carów i bojarów, wyszywane złotem, srebrem, obszywane perłami. Dalej trony wysadzane drogimi kamieniami, korony carskie... I w tym miejscu zwiedzającym zaczyna już migotać przed oczyma. Dość powiedzieć, że na przykład eksponowane tu gobeliny z carskich komnat mają po... kilkanaście tysięcy odcieni.

Są jeszcze karety, powozy oraz uprzęże konne — oczywiście wszystko to, bogate, zdobione złotem i drogimi kamieniami. Właśnie tu znajduje się największa w świecie kolekcja pojazdów z XVI i XVII wieku.

I na koniec ekspozycja „Skarbiec diamentowy". Utworzono go w roku 1922 i weszły doń unikalne drogie kamienie i dzieła o wielkiej wartości historycznej i artystycznej.

Ale być w Moskwie i nie zobaczyć Galerii Tretiakowskiej? Po prostu nie można!

Mieści się niedaleko Kremla przy Ławruszyńskim Zaułku i zgromadzono tu dzieła sztuki stanowiące przegląd dziejów rosyjskiej plastyki narodowej od Rusi Kijowskiej aż do współczesności. Znajduje się tu jeden z największych na świecie zbiorów sztuki.

Ponad 5 tysięcy obrazów, 3 tysiące dzieł sztuki starorosyjskiej, około tysiąca rzeźb, 30 tysięcy rysunków i sztychów.

Kolekcję tę zapoczątkował **Paweł Tretiakow**, moskiewski kupiec i fabrykant. W roku 1856 zaczął zbierać najlepsze dzieła rosyjskich artystów i powiększał kolekcję przez czterdzieści lat — aż do śmierci. W latach osiemdziesiątych zbudowano dla kolekcji Tretiakowa gmach galerii z fasadą w kształcie baśniowego rosyjskiego pałacu.

Znajdziemy tu — w 53 salach galerii — największe dzieła rosyjskiej sztuki. Na przykład ikonę z XI wieku, prace Rublowa, obrazy sławnych realistów z Riepinem na czele. Galerię Tretiakowską odwiedza corocznie ponad półtora miliona osób. Ale niedługo zbiory przeniesie się do nowej galerii na Wybrzeże Krymskie. Stara galeria pęka w szwach — a w nowych pomieszczeniach łączna długość sal wyniesie... trzy kilometry.

O Moskwie nie można napisać zwięzłego informatora turystycznego, ponieważ jest to miasto ogromne, fascynujące, przebogate, różnorakie. Jednemu tylko człowiekowi udało się zawrzeć wielką sumę wiedzy o Moskwie na stosunkowo małej ilości stron. I na dodatek jest to napisane bardzo zajmująco.

Polecam więc wszystkim, którzy się do Moskwy wybierają — **„66 x Moskwa" Olgierda Budrewicza** (Wydawn. Artystyczne i Filmowe). Książeczka liczy równo 100 stron, w tym bardzo dużo fotografii, waży parę dekagramów i ma poręczny format. Ciekawe jest także „Moskiewskie ABC" Redlicha i Kraszewskiego, choć jest to książka zbytnio przeciążona publicystyką.

WARTO WIEDZIEĆ

Za magazynem „Światowid" informujemy, że ceny komunikacji miejskiej w Moskwie wynoszą: 3 kopiejki — tramwaj, 4 kopiejki — trolejbus, 5 kopiejek — metro. Taksówka kosztuje 20 kopiejek za 1 km.

Posiłki. Śniadanie: około 1 rubla, obiad: — 1,20 rb — 3,5 rb, kolacja: 1 rb — 2,5 rb (kategorie restauracji I i II).

Znaczek na list do Polski — 4 kopiejki, na widokówkę — 3 kopiejki, telefon miejscowy — 2 kopiejki, rozmowa z Polską (3 min.) — od 1,80 rb do 5 rb, wstęp do muzeum — 20 kopiejek, bilet do kina — 50 kopiejek, bilet do teatru — 1,50 rb — 3 rb, fryzjer męski — 50 kopiejek, damski — 1.20 rb — 1,50 rb.

Do Związku Radzieckiego wolno wwieźć 60 rb gotówką oraz dowolną ilość czeków. Za 100 rubli płacimy 1.979 zł 84 gr + 12 proc. opłaty turystycznej.

JERZY WILMAŃSKI

Fot. Archiwum

FILM

DOBRE KINO W TV

Miałam już okazję pisać o roli telewizji w szerzeniu kultury filmowej, podnosząc jej zasługi w zakresie udostępniania wielomilionowej widowni m.in. filmów archiwalnych. To co niemożliwe, okazało się możliwe. System dystrybucji i ograniczeń kinematografii sprawia, że kolejne pokolenia widzów odcięte są od tradycji, że ich doświadczenie filmowe tworzy jedynie aktualny repertuar filmowy. Ta sytuacja zasadniczo różni kulturę filmową od np. kultury literackiej, czy muzycznej, dla których podstawą jest znajomość danej sztuki w jej historycznym rozwoju. Nieliczni szczęśliwcy, i to także jedynie okazjonalnie, mogą w ramach kinematograficznego systemu dystrybucji obcować z filmami, które dzieje tej sztuki tworzyły. Telewizja sprawiła jednak, że wiele z nich przestało być tylko legendą kina. Sam przekaz telewizyjny i jego program ma swe słabości, nie zmienia to jednak faktu, że jego rolę trudno dziś przecenić.

Wspominam o tych sprawach jeszcze raz dlatego, że choć pora roku nakazywałaby inny, nie „telewizyjny" tryb życia, to jednak ci, którym czas urlopu jeszcze lub już nie sądzony oraz ci, którym aura nie sprzyja tęsknym okiem patrzą w telewizyjne okienko i z nadzieją czytają cotygodniowe programy TvP — co też nam zaproponują? I konia z rzędem temu, który nie szuka przede wszystkim w programie tym dobrych filmów. Szkoda, że to, co do połowy kanikuły telewizja nasza zdołała pokazać nie zaspokoiło oczekiwań. Bo nie ma co ukrywać, że sporo bubli już wypchnięto. Ale nie ma też co ukrywać, że kinematografia konkurencją dla nich także nie jest.

Wracając zaś do pochwał warto podziękować za dwa przynajmniej filmy z ostatnich tygodni — różnej klasy to prawda, ale za to reprezentatywnych dla tego, czym film się chlubi. A ponieważ oba filmy, o których tu mowa mają swój telewizyjny rodowód słów kilka pragnę im poświęcić.

W telewizyjnej Filmotece Arcydzieł pokazano film Sidneya Lumeta z 1957 roku pt. „DWUNASTU GNIEWNYCH LUDZI", w niedzielny zaś wieczór w ramach tzw. pełnego relaksu, dla tych którzy przetrwali przez kolobrzeskie śpiewania, telewizyjny film produkcji angielskiej pt. „MIŁOŚĆ U SCHYŁKU LAT" w reżyserii weterana amerykańskiego kina George'a Cukora.

Sidney Lumet jest przedstawicielem tej generacji reżyserów, która kształtuje swój warsztat w teatrze, kinie i telewizji. Karierę swą rozpoczął jako reżyser teatralny na Broadwayu, później zrealizował kilkadziesiąt programów dla telewizji, a w 1957 roku zadebiutował w kinie przenosząc na ekran filmowy głośną sztukę telewizyjną Reginalda Rose — właśnie „Dwunastu gniewnych ludzi". W Polsce znamy Lumeta m. in. jako reżysera takich filmów, jak: „Zmierzch długiego dnia" (pokazany w TvP), „Wzgórze" i „Serpico". Żaden z tych, dobrych przecież filmów nie dorównał klasą debiutowi. Filmem „Dwunastu gniewnych ludzi" dokonał Lumet pewnej rewolucji w sposobie myślenia o tym, czym winien być film kinowy. Okazało się, że można na pełne półtorej godziny skupić uwagę nie teatralnego i nie telewizyjnego widza na dramacie rozgrywającym się w czterech ścianach pokoju.

Ten ograniczony jedynie przestrzenią film okazał się utworem o niezwykłym napięciu dramatycznym, o ogromnie zawiłym biegu i tempie akcji. Interesujący materiał literacki niosący głębokie treści intelektualne, moralne i psychologiczne, wspaniała gra aktorów, mistrzowskie opanowanie warsztatu filmowego a w nim głównie sztuki montażu, dało w sumie film, który dziś TvP może pokazać w swej Filmotece Arcydzieł. Sądzę, że oglądali go z równym napięciem zarówno ci, dla których była to pierwsza okazja przeżycia rozterek dwunastu sędziów przysięgłych jak i ci, którzy przeżywali je nie po raz pierwszy. Film, któremu czas jest niestraszny.

Sądzę też, że telewizyjny film „Miłość u schyłku lat" George'a Cukora z równym jak w Tv powodzeniem można pokazywać w kinie. W świetle doświadczeń filmu po czasie premiery „Dwunastu gniewnych ludzi" można rzec, że telewizyjność „Miłości u schyłku lat" ogranicza się do faktu, że film ten zrobiono za pieniądze telewizji. Bo fakt, że film to kameralny, ograniczony miejscem akcji i zespołem aktorskim nic już dziś nie znaczy.

Naszej zaś telewizji podziękować trzeba za ów smaczny kąsek rozrywki, którym nas obdarowano. Mówmy sobie co chcemy, lecz teatr i film na aktorze przede wszystkim stoją. Napis: „koniec" wieńczący błahą przecież historię o trwałości uczuć i o tym, że „u schyłku lat" można jeszcze kochać, większość z nas przyjęła chyba z żalem, jako, że długo jeszcze można było oglądać miłosne utarczki cudownej aktorskiej pary, czyli Katherine Hepburn i sir Laurence'a Oliviera, tym bardziej, że stary George Cukor wie jak siłę aktora wykorzystać.

Wdarłam się dziś na telewizyjne podwórko, ale tylko w jego filmowe rejony, bo cóż robić, skoro zmęczyła mnie już straszliwie dominacja sensacji w kinie.

EWA NURCZYŃSKA

Foto: Archiwum

ELŻBIETA KRÓLIKOWSKA

W ŁAGOWIE

Jeszcze do niedawna na filmowej mapie festiwalowej Łagów był tym spotkaniem nr I, gdzie określano i bilansowano stan polskiego kina. Przed czterema laty gdański festiwal filmowy pozbawił go splendoru pierwszeństwa, ponieważ tam właśnie przeniósł się centralny punkt bojów i przetargów o nowe polskie kino — Łagów przekształcony został w imprezę o innym nieco charakterze, a formułę zmieniono, aby nie powielać modelu gdańskiego. Na czym polegała owa zmiana? — otóż Łagów od lat kilku stał się imprezą monograficzną, odbywającą się rokrocznie pod innym hasłem dyżurnym. Raz był to polski film historyczny, w ubiegłym roku „Obyczajowość w polskim filmie współczesnym", w tym roku imprezie łagowskiej patronowało hasło „Świadomość moralna polskiego filmu współczesnego". O ile Gdańsk przyjął się w naszym życiu festiwalowym jako impreza niejako galowa, Łagów, miniaturowe, zabytkowe miasteczko na wąskim przesmyku między dwoma jeziorami, pozostał spotkaniem luźnym i jak gdyby niezupełnie oficjalnym. Oczywiście w samym klimacie, bo ilość imprez jest tam znaczna, a ich jakość — znamienita. A tegoroczne spotkanie, z uwagi na istotność hasła wywoławczego i szczęśliwe połączenie z centralnymi eliminacjami Turnieju Wiedzy o Filmie, którego uczestnicy zapewnili projekcjom pełną widownię, a dyskusjom — temperaturę wrzenia, było, społecznie rzecz ujmując, imprezą szczególnie udaną.

Na początek kilka cyfr: tegoroczne Lubuskie Lato Filmowe objęło swoim zakresem około 30 tys. ludzi, uczestników i widzów, zanotowano obecność 17 reżyserów, 34 krytyków, 26 dziennikarzy i 42 działaczy kultury filmowej. Odbyło się 35 seansów kinowych — w samym Łagowie, natomiast 36 w województwie, i mniej więcej taka sama ilość spotkań z twórcami i odtwórcami filmów. Gościli m. in.: **Krzysztof Zanussi, Andrzej Kostenko, Ryszard Czekala, Tadeusz Chmielewski, Jan Batory, Janusz Nasfeter** oraz aktorzy: **Ryszarda Hanin, Ewa Milde, Joanna Szczepkowska, Jan Nowicki, Leon Pietraszak, Zygmunt Kęstowicz, Jerzy Duszyński, Kazimierz Wichniarz,** i wielu, wielu innych. Przyznano trzy równorzędne nagrody honorowe „Złotego Grona". Otrzymali je: **Stanisław Różewicz, Adrzej Wajda i Krzysztof Zanussi.** A to: Stanisław Różewicz — za **„dążenie do rozwoju i pogłębienia obrazu problemów moralnych w życiu człowieka"**, Andrzej Wajda — za **„pogłębienie i wzbogacenie moralnych układów człowiek-historia"**, natomiast Krzysztof Zanussi ufetowany został „Złotym Gronem" za **„tworzenie dzieł filmowych w oparciu o konsekwentnie podejmowaną analizę postaw moralnych człowieka we współczesnym świecie".** „Złote Grono" Kin Studyjnych przy Naczelnym Zarządzie Kinematografii otrzymała **„Zofia" Ryszarda Czekały,** laureatem Don Kichota, nagrody Polskiej Federacji DKF został raz jeszcze **Andrzej Wajda,** a ściślej — **„całokształt jego twórczości, ze szczególnym uwzględnieniem „Człowieka z marmuru",** natomiast **„Zdjęcia próbne" Agnieszki Holland i Pawła Kędzierskiego** uhonorowała nagroda Federacji ZSMP i Dolnośląskich Zakładów Metalurgicznych w Nowej Soli. I ostatnia już, także dość znamienna wiadomość z Łagowa: laureatami **„Plebiscytu gwiazd sezonu filmowego 76—77"** czytelników „Ekranu", „Sztandaru Młodych", „Gazety Lubuskiej" i „Nadodrza", zostali czołowi bohaterowie filmu „Trędowata" — **Elżbieta Starostecka i Leszek Teleszyński.** Laureatom gratulujemy!

Teraz, gdy podstawowemu obowiązkowi sprawozdawczemu stało się zadość, chciałabym o tym, co w tegorocznym Lubuskim Lecie Filmowym osobliwego i pożytecznego. Spostrzeżenie pierwsze: Łagów stał się najczulszym w tej chwili barometrem tego, co dzieje się obecnie w polskiej kinematografii, bowiem tematyka kolejnych spotkań wynika bezpośrednio z problematyki twórczej, która dominuje właśnie w aktualnym sezonie. Przegląd filmów zgromadzonych wedle pewnego klucza, istotności i częstotliwości występowania danej problematyki we współczesnym filmie polskim, do którego widzowie mają zadawnione i słuszne urazy, pozwala szybciej i lepiej zorientować w aktualnej produkcji, a być może, i przekonać, że coś nowego i korzystnego w tym kinie się dzieje. A to jest już małe, ale zwycięstwo. Otóż dominującą w tegorocznej produkcji filmowej była problematyka moralna, a ściślej rzecz ujmując — moralna motywacja poczynań, analiza postaw, etyczna kwalifikacja postępowania, ta sfera ludzkich doznań i działania, którą zawiera „nurt moralny" kina. Festiwal łagowski wypunktował tę tendencję, i to było jego zwycięstwo drugie.

Nic też dziwnego, że w dyskusjach, które towarzyszyły tegorocznym projekcjom filmów, wyczuwało się większą tożsamość, częstszą niż zwykle identyfikację widzów z bohaterami polskiego kina. Młodzi dyskutanci, bo oni właśnie narzucali ton spotkaniom, ostro i bezkompromisowo „rozprawiali się" z najpoważniejszymi problemami etycznymi, protestowali żarliwie przeciw powolnemu, konsekwentnemu zanikowi norm postępowania moralnego i etycznych impon-derabiliów. Te elementy, te tonacje, poważnej rozprawy z podstawową problematyką moralną, nie zawężającej się, jak przewidywali niektórzy, do spraw natury obyczajowej i erotycznej, lecz widzianej szerzej w kategoriach obowiązku i odpowiedzialności wobec przyjaźni, miłości, sztuki i idei, obecne były wszędzie, w spotkaniach oficjalnych i kuluarowych. Te dyskusje były znakomitym sondażem socjologicznym, który raz jeszcze pokazał dowodnie, że młodzież mamy wartościową, tylko może przykład nie zawsze dajemy jej krzepiący.

Znacznie gorzej wypadło w tym roku Seminarium Stowarzyszenia Filmowców Polskich — dawno nie byłam uczestniczką dyskusji tak kulawej. Nawet referaty — prof. **Henryka Jankowskiego,** i drugi — red. **Krzysztofa Mętraka,** oba interesujące, nie były w stanie poruszyć ni wyobraźni, ni inwencji polemicznej zebranych. A mówiły one o sprawach podstawowych; szczególnie interesujące wydały mi sie tezy filozoficzne prof. H. Jankowskiego, który zwrócił uwagę na wiodącą dziś w filozofii i sztuce tendencję poszukiwania moralności jedynie i wyłącznie w kontaktach między ludźmi. Antycypacją, a zarazem usankcjonowaniem tej tendencji stała się przecież filozofia heroicznego egzystencjalizmu Alberta Camusa, poszukiwania transcendentu w relacji już nie pionowej, a poziomej, a więc człowiek — człowiek. Wszystkie zaprezentowane filmy — i „Barwy ochronne", prosto rzecz ujmując, zderzenie postawy cynicznej i romantycznej, i „Sam na sam", gdzie nieszczęście powoduje przyspieszone dojrzewanie moralne, i „Zofia", przejmujące studium samotności i trudnych wyborów, i „Gdzie woda czysta i trawa zielona", pokazujące skomplikowana, a często dwuznaczną relację moralność a władza, wszystkie te filmy filozoficznie tkwią w egzystencjalizmie, sartrowskim, czy camusowskim, ale zawsze laickim i głęboko dramatycznym.

Jest to jeszcze jeden dowód na to, że nowa formacja filmowa para się nie z fikcją, a z życiem, i nie z odległą historią, lecz ze współczesnością. I że respektując wszystkie jej warstwy, od filozoficznej, poprzez obyczajową, społeczna i moralną, tworzą nową formułę polskiego filmu współczesnego, na co doczekać się już nie mogliśmy, gorzej, zwątpiliśmy, że kiedykolwiek doczekamy. A dzieje się to już bez znanych nam, a niepoważnych dasów i kontestacji, za to z rzetelnością dokumentalisty i wspierającą refleksją twórcy, który widzi i słyszy, a na dodatek ma jeszcze coś do powiedzenia. W związku z tym nie była to jeszcze stratosfera arcydzieł, ale też niewiele było filmów bałamutnych, czy zgoła wykrętnych. I gdyby spytano, jak z perspektywy Łagowskiego Lata rysuje sie obraz polskiego kina, postęp — li to zastój czy regres, możemy odpowiedzieć — w naszym kinie dzieje się coś nowego.

OPINIE

JEAN-PAUL SARTRE O MIŁOŚCI I KOBIETACH

Dalszy ciąg ze str. 10

— Kiedy zakochał się pan po raz pierwszy?

J. P. Sartre: — Mając 16 lat, w Paryżu, w córce woźnego.

— Dorastał pan w bardzo cnotliwym środowisku. Czy przeżywał pan poczucie winy?

J. P. Sartre: — O nie, w ogóle nie. Doszedłem już do porozumienia ze swymi rodzicami, korzystałem już ze swobody.

— Czy już wtedy odrzucił pan tabu w tej dziedzinie?

J. P. Sartre: — Tak, natychmiast.

— Tak więc mógł pan spać z córką woźnego bez jakiegokolwiek poczucia winy?

J. P. Sartre: — Co prawda czyniłem to dopiero w następnym roku z dziewczętami, z którymi można było zawrzeć znajomość w Jardin du Luxembourg.

— Czy jako młody mężczyzna nigdy nie myślał pan o ożenieniu się pewnego dnia, jak inni?

J. P. Sartre: — Idea ożenku nigdy mnie zbytnio nie zajmowała. Mając 23 lata byłem nawet zaręczony.

— Mniej więcej w tym samym czasie po raz pierwszy zobaczyła pana na Sorbonie Simone de Beauvoir. Opowiadała, że nosił pan wgnieciony kapelusz, okropne ubranie i był pan również dość brudny. Czy nie było to świadome zaniedbanie?

J. P. Sartre: — Na pewno. Nie tylko ja łaziłem tak „zaniedbany". Moi przyjaciele, Nizan, Maheu i niektórzy inni robili to również. Jednak Nizan i Maheu obnosili się ze swoim brudem z pewną elegancją, ponieważ mieli już o wiele głębsze miłostki ode mnie. Był to, można byłoby powiedzieć, brud poranny. Po wstaniu myliśmy się możliwe jak najmniej. Tak na przykład chodziliśmy na śniadanie do małej kawiarni na rogu: w koszulach nocnych, nie umyci i nie ogoleni. Jeśli nadarzyła się okazja, myliśmy się potem w trakcie dnia.

— A jak wyglądało pańskie spotkanie z Simone de Beauvoir? Czy natychmiast zauważył pan, jakie miejsce zajmie ona w pańskim życiu?

J. P. Sartre: — Nie od razu. Zaczęło się to dość osobliwie. Zobaczyłem ją podczas wykładów w Sorbonie. Podobała mi się. Uważałem ją za sympatyczną. Była ładna, ale okropnie ubrana. Rzeczywiście tak było; odzież wybierali jej rodzice. Wtedy nie zamieniłem z nią jeszcze ani słowa. Jej wielkim przyjacielem był Maheu. Pewnego dnia powiedział on do mnie: „Dlaczego się z nią nie umówisz?". A ja odparłem: „Masz rację. Spróbuj być przy tym pośrednikiem". Niewiarygodne, ale tak było! Zaprosiłem ją więc do małej cukierni na Rue de Médicis. Dobry przyjaciel Maheu spłatał mi jednak figla. Simone de Beauvoir wysłała na randkę swą siostrę. Musiałem ją zaprosić. Siostra nie interesowała mnie ani trochę, co później naturalnie się zmieniło. W tym momencie jednak byłem skrajnie wściekły. Musiała ona spędzić ze mną dość obrzydliwy wieczór. Bądź co bądź jednak zadawałem sobie trud, by być uprzejmym, nie mogłem jednak ukryć złości. Dopiero w kilka dni później spotkałem się z Simone de Beauvoir. Postanowiliśmy wszyscy — Maheu, Nizan, Aron i ona, przygotowywać się wspólnie do egzaminu. W ten sposób spędzaliśmy godziny nad greckim tekstem lub filozoficznymi zawiłościami i dopiero potem szedłem spacerować z Simone de Beauvoir, włócząc się z nią po Paryżu. Byliśmy razem niemal przez cały czas.

— Do związku miłosnego doszło więc bardzo szybko?

J. P. Sartre: — Prawdziwy związek zaistniał właściwie dopiero w kilka miesięcy później, ale w guncie rzeczy nie było żadnych trudności.

— A następnie, jesienią, zawarli państwo „układ dwuletni"?

J. P. Sartre: — Tak, było to poniekąd komiczne. Nie wyobrażałem sobie związku na całe życie. — chociaż taki między nami się wytworzył — ale natychmiast przyszedł mi do głowy następujący pomysł: tak wspaniale rozumiem się z Simone de Beauvoir, jak długo to jednak moze potrwać? Ze dwa lata. Ona również uznała ideę zawarcia układu za niezłą, ponieważ również niewiele sobie robiła z małżeństwa. A przy tym zawsze przecież istniała możliwość „przedłużenia układu"...

— I bardzo szybko powstał stąd „układ na całe życie"?

J. P. Sartre: — Tak, jeszcze przed moją służbą wojskową.

— Czy dotrzymał pan tego paktu, jaki pan zawarł: nie robić sobie wyrzutów, nie kręcić, niczego nie ukrywać?

J. P. Sartre: — Tak, do kropki nad i. Czasami Simone de Beauvoir żartuje i powiada, że nie opowiedziałem jej tego lub tamtego, że czasami coś przemilczałem. Jednak to nieprawda.

— Od początku był pan zdecydowany uważać waszą miłość za miłość konieczną, ale jednocześnie dopuszczać również zmieniające się miłości każdego z was. Zakładam, że państwo wiele dyskutowali na ten temat.

J. P. Sartre: — Nie mogę sobie już zbyt dobrze przypomnieć naszych rozmów. Wiem jednak, że Simone de Beauvoir zaakceptowała to, również w stosunku do siebie. Uznała, że ważne jest dla niej utrzymywanie stosunków z różnymi mężczyznami i w żadnym wypadku nie chciała, by wskutek tego ucierpiały jej stosunki ze mną. Ona również ma nastawienie poligamiczne wobec stosunków z odmienną płcią. Nie może sobie ona wyobrazić seksu związanego wyłącznie z jedną osobą, wręcz definiowanego ze stosunkiem z jednym jedynym człowiekiem.

— Dlaczego te okazyjne miłostki są niezbędne?

J. P. Sartre: — Ależ przecież zawiera się inne przyjaźnie, zawiera się stosunki z innymi! Ta reguła wyłączności nie nadaje temu przecież żadnego sensu; wynika ona najwyraźniej z koncepcji małżeństwa i koncepcji kościelnych. W istocie stosunki seksualne nigdy nie są związane z jakimś określonym rodzajem struktury społecznej. Simone de Beauvoir nawiązuje nowe stosunki, ale zawsze przy tym zakłada, że z kolei mężczyźni utrzymują stosunki z różnymi kobietami. Konsekwencją jest, że akceptuję oba te poglądy wspólnie. Jest to poniekąd trudne, ale chciałem je zaakceptować i zaakceptowałem je. W większości przypadków liczyły się stosunki z Simone de Beauvoir — i liczą się jeszcze — a przeróżne damy występujące w moim życiu znajdowały się na drugim miejscu.

— Ta potrzeba urozmaicenia wydaje się być dla pana całkowitą oczywistością?

J. P. Sartre: — Tak, ale dawała mi ona zarazem mocne, nowe poczucie, że najważniejsze są moje stosunki z Simone de Beauvoir.

— Dlaczegóż więc to wszystko?

J. P. Sartre: — Chyba dlatego, że stosunki fizyczne z natury rzeczy ukierunkowane są na większą liczbę kobiet lub mężczyzn. Są to stosunki niespecyficzne. Ma pani kontakt seksualny, no, bardzo ładnie, ale z kim? Z jednym czy z piętnastoma partnerami? W stosunkach seksualnych nic nie jest określone. Dlatego sądzę, że doskonałe stosunki między mężczyzną a kobietą nabierają nowej jakości. Wszystko jedno, kim jest mężczyzna, lub kim jest kobieta. Dlatego właśnie, iż mój związek z Simone de Beauvoir jest tak silny, tak niepowtarzalny, najważniejszy i najściślejszy — jeśli nikt nie może stać na przeszkodzie innym stosunkom, nawet głębszym, z jakąkolwiek inną kobietą. Jeśli dane stosunki osiągnęły taką stabilność, że wytwarzają niemal jedną indywidualność — z dwóch „ty" uczyniły rzeczywiście „my" — są niewzruszone. To „my" osiągnąłem z Simone de Beauvoir, przez całe życie. Tylko czasami miałem więcej niż powierzchowne stosunki z inną kobietą. To pierwsze liczyło się w moim życiu.

— Czy ta swoboda, którą od początku zinstytucjonalizował pan w swym związku z Simone de Beauvoir, była dla niej równie łatwa do praktykowania, jak dla pana? W swej książce „W najlepszych latach" zapytuje ona siebie „pełna strachu", czy nie staliście się sobie obcy, ponieważ odwiedził pan „M" w Ameryce?

J. P. Sartre: — Sądzę, że zaszło wówczas nieporozumienie między nami. „M" przybyła na kilka miesięcy do Francji. Simone de Beauvoir pojechała do Ameryki, do Chicago, gdzie spotkała się znowu z Nelsonem Al-

Dalszy ciąg na str. 12

OPINIE

JEAN-PAUL SARTRE O MIŁOŚCI I KOBIETACH

Dalszy ciąg ze str. 11

grenem. Kiedy wróciła, spotkaliśmy się w Kopenhadze, przebywaliśmy tam 15 dni i pojechaliśmy w pobliże Fontainebleau. Ta podwójna zmiana — ona z Nelsonem Algrenem, ja z „M" — spowodowała pewne pogorszenie naszych stosunków. Było to jednak przecież tylko nieporozumienie.

— Ale obawy przeżywała Simone de Beauvoir, a nie pan? Czy „M" była w mniejszym stopniu nieważna od innych?

— J. P. Sartre: — Jak mam to wyrazić, zaczęło się to inaczej, najwyraźniej chyba dlatego, że było to w Ameryce, w Nowym Jorku. Zwykle kobiety, z którymi się stykam, oddychają tym samym powietrzem, poruszają się na tej samej ziemi, co Simone de Beauvoir. Brak jest tego elementu oddalenia. Kiedy pojechałem do Nowego Jorku, znalazłem się w miejscu, gdzie nie było Simone de Beauvoir. Miejscu, którego w ogóle nie znała. Było to dla mnie czymś w rodzaju nowych narodzin. Chcę przez to powiedzieć, że czułem się w tym momencie tak, jak bym rozpoczynał nowe życie. W całkiem innym świecie, gdzie ludzie mówili innym językiem, mieli inne pomysły, wszystko oceniali z całkiem innego punktu widzenia. Było to czymś w rodzaju świata istniejącego obok, w którym życie raz za razem zadziwiało mnie. Było to jakby życie równoległe. Zawsze, kiedy byłem w Ameryce i spotykałem „M", ogarniało mnie takie silne wrażenie. „M" we Francji — byłaby czymś zupełnie innym. Czymś zwykłym. Powrotem do normalności, to znaczy do przewagi absolutnej Simone de Beauvoir.

— A kiedy Simone de Beauvoir spotykała się z Nelsonem Algrenem, czy wtedy nigdy nie był pan zazdrosny?

J. P. Sartre: — Nigdy. Przeciwnie. Bardzo go lubiłem.

— Czy nie zna pan zazdrości?

J. P. Sartre: — Ogólnie biorąc, nie.

— A w przypadkach szczególnych?

J. P. Sartre: — Ach, tak, czasami bywałem troszeczkę zazdrosny. Zresztą nigdy nie w stosunku do Simone de Beauvoir. W końcu zazdrość jest uczuciem z drugiej ręki, na które pozwalałem sobie czasami w przypadku innych kobiet. Z Simone de Beauvoir wygląda to inaczej, nasze stosunki są tak ważne, że nie irytuje mnie nawet przygoda z takim mężczyzną, jak Nelson Algren.

— Taka organizacja — miłość główna i wiele miłości przypadkowych — spowodowała, że pańskie stosunki z Simone de Beauvoir utrzymywały się przez całe życie. Jaka jest wartość tej długotrwałości?

J. P. Sartre: — Wartości tej długotrwałości nie da się przecenić. W pewnym momencie swego życia każda para patrzy na rzeczy, wydarzenia, osoby według pewnego aspektu. W 10 lat później aspekt ten zmienia się — co oznacza, że zmieniają się rzeczy, a dokładniej człowiek zmienia się sam. Wielką różnicę stanowi jednak to, czy zmieniamy się sami, czy też we dwoje, wspólnie. Ważne jest utrzymywanie z tą drugą osobą również stosunków seksualnych — ponieważ właśnie to zmienione otoczenie ma częściowo bezpośredni związek ze sprawami seksualnymi, a częściowo z kolei tylko ze sprawami pośrednio seksualnymi. W każdym przypadku potrzeba tej jedności koncepcji intelektualnej, która na przykład umożliwiała Simone de Beauvoir i mnie rozumienie siebie już przez same aluzje. Dzięki temu bardzo silny jest również wzajemny wpływ w trakcie pracy. Wspólne życie, wspólne zbieranie doświadczeń ma ogromną wagę: doświadczenia są przecież surowcem przy pisaniu, a wymienia się je z drugą osobą. Bez Simone de Beauvoir nie zebrałbym takich samych doświadczeń, bez rozmowy z nią byłyby one mniej jasne, mniej sprecyzowane. Gest, który opisuję, proces, który obserwuję, sytuacja życiowa, którą analizuję — nabierają precyzji, realistycznej ścisłości, aż do anegdotycznego detalu rozprawy filozoficznej, dzięki intensywności doświadczeń Simone de Beauvoir. To codzienne życie w otaczającej nas rzeczywistości przejawia się w przykładach, którymi operuję w rozprawach teoretycznych. To samo dotyczy moich powieści — Simone de Beauvoir posiada jeszcze dzisiaj niezliczone listy, które pisałem do niej z Marsylii podczas pracy nad „Les chemins de la liberté", na temat której udzielała mi rad i wskazówek.

— W jaki sposób poznawał pan kobiety w swoim życiu? Czy pan czynił pierwszy krok, czy też zabiegano o pańskie względy?

J. P. Sartre: — Chyba nigdy nie zabiegano o moje względy, na ogół ja czyniłem pierwszy krok, ale robię to tylko wtedy, gdy mogę być poniekąd pewny swej szansy — i rzeczywiście rzadko czyniłem go na próżno.

— Co pana najpierw pociąga u kobiet?

J. P. Sartre: — To, co widać, wygląd zewnętrzny. Wygląd zewnętrzny i urok kobiety. Jeśli widzę w restauracji lub kawiarni kobietę, a jej twarz lub jej figura podoba mi się, być może również jej sposób mówienia — wówczas myślę sobie: może mógłbyś się z nią przespać. Widzi pani: nie ma w tym nic nadzwyczajnego, ani szczególnego.

— Powiedział pan kiedyś, że „chodzi o to, by być kimś". Jednak kobiety z pańskiego otoczenia były przede wszystkim ładne.

J. P. Sartre: — Przyznaję: dla seksu jest w większości przypadków ważne, by kobieta wytwarzała pewną atrakcyjność fizyczną. Jeśli pani chce to tak sformułować, to musi być ona ładna. Są również takie, u których decyduje o tym urok.

— Czy elegancja odgrywa dla pana rolę?

J. P. Sartre: — W ogóle żadnej.

— Czy jest panu obojętne, jak się pan ubiera?

J. P. Sartre: — Nie całkiem obojętne. Są rzeczy, które lubię i takie, których nie lubię. Nie ma to jednak nic wspólnego z „elegancją".

— A jaką rolę odgrywała pańska sława w stosunkach z kobietami?

J. P. Sartre: — Prawie zawsze ułatwia ona początek, bez najmniejszej wątpliwości. Jest tak zawsze — ale próbuję stopniowo wykluczać ten czynnik, aż wreszcie nie odgrywa on żadnej roli.

— A czułość? Czy odgrywała ona dużą rolę w pańskim życiu?

J. P. Sartre: — Czułość jest pewną formą egzystencji, którą się daje i której się doświadcza, obydwa czynniki pozostają w korelacji. Momenty czułości należą do najsilniej odczuwanych w moim życiu. Z pewnością okresy walki, triumfu w dziedzinach, nie należących do seksu, jak polityka lub literatura, bardzo mocno liczą się w moim życiu; jednak momenty czułości są istotne nie tylko w ramach moich stosunków z kobietami, lecz są najistotniejsze w moim życiu w ogóle. Obcowanie intelektualne z innymi kobietami — pominąwszy Simone de Beauvoir — interesuje mnie natomiast dość niewiele.

— Czy próbuje pan zmieniać kobiety, z którymi się pan spotyka?

J. P. Sartre: — Zmieniać? Tak, na pewno. Nie wiem, czy się to naprawdę udaje, być może trochę. Dawniej sądziłem, że można uformować innego człowieka według własnego obrazu — to jest całkowicie błędne. Dzisiaj sądzę, że w takim stopniu, w jakim się kogoś zmienia, pomaga mu się jednocześnie odnaleźć własny kształt.

— Czy czasami zmieniał pan swój rytm pracy z powodu kobiety?

J. P. Sartre: — Na początku być może przez osiem dni, nigdy dłużej.

— Jeśli myśli pan o upływie czasu i o tym, że jedno z was obojga — Simone de Beauvoir lub pan — musi najpierw umrzeć: to co byłoby dla pana gorsze?

J. P. Sartre: — Nie wiem. Wiem tylko, że byłaby ona beze mnie bardzo nieszczęśliwa. Podobnie jak ja bez niej. Tego po prostu nie wiem.

— Gdyby pan miał dzisiaj znowu 20 lat, czy chciałby pan jeszcze raz żyć tak samo?

J. P. Sartre: — Dlaczego nie? Sądzę, że tak. Nie jestem dzisiaj nieszczęśliwy — a bywałem nieszczęśliwy tylko bardzo rzadko.

SPORT

Fot. W. Parys

BOGDA MADEJ

TRZECIA PIŁKARSKA

Nie ma jeszcze wielkiego powodu do optymizmu. Są dopiero fakty, z których wszakże warto wyciągnąć właściwe wnioski. Pisałam kiedyś, że na piłkę nożną w Łodzi trzeba patrzeć szerzej i nie zapominać, że poza drużyną **ŁKS** są jeszcze inne. I oto „słowo ciałem się stało" i mamy trzecią drużynę piłkarską, która zaczyna się liczyć i którą warto się interesować. Po awansie zespołu **RTS Widzew** do pierwszej ligi i jego dobrym tam sprawowaniu się, po pięciu latach przerwy, drużyna piłkarska **SKS Start** awansowała do drugiej ligi. Tak więc nadeszły dobre czasy dla piłki nożnej w Łodzi.

Łódź zaczęła się liczyć w piłkarskim świecie. Trzy piłkarskie drużyny Łodzi odniosły w tym roku sukces. **ŁKS**, bo nie musiał walczyć o utrzymanie się w pierwszej lidze, a nawet przez pewien okres mógł marzyć o większym sukcesie, ale miejmy nadzieję, że i na to przyjdzie czas, **Widzew** — wiadomo: wicemistrzostwo i perspektywa walki z bardzo wysoko w Europie notowanym zespołem Manchester City, i **SKS Start** — awans do drugiej ligi. To już nie te czasy, kiedy wszyscy drżeli o losy **ŁKS**, kiedy sama zadawałam różnym ludziom pytanie: „spadną, czy nie spadną?", a chodziło oczywiście o jedenastkę ligową **ŁKS**. Teraz możemy tylko dyskutować o miejscach w ligowej tabeli, jeśli oczywiście klubowe i sportowe władze Łodzi będą prowadziły właściwą politykę, jeśli potrafią zdyskontować sukcesy poszczególnych klubów.

Jedenastka **SKS Start** zasłużenie awansowała do drugiej ligi. W jesiennej rundzie minionego sezonu piłkarskiego przegrała tylko j e d n o spotkanie. W rundzie wiosennej, czyli już w 1977 roku, zespół ten nie przegrał ani jednego spotkania. Mając nawet zapewniony awans do drugiej ligi, grał nadal ambitnie, walcząc nie tyle o punkty, co o opinię, o „sławę mołojecką" jakby to powiedzieli złośliwi. Ale w piłce nożnej, gdzie wiele do powiedzenia ma taktyka i strategia ligowej tabeli, jest to zjawisko piękne i godne pochwały.

Wprawdzie jedenastka **SKS Start** awansowała tylko do drugiej ligi, ale jest między tym awansem a awansem **RTS Widzewa** pewne podobieństwo. Przed pięciu laty piłkarze **SKS Start** byli przez rok w drugiej lidze, podobnie, jak kiedyś piłkarze **RTS Widzewa** byli przez rok w pierwszej lidze. Kiedy ponownie awansowali do pierwszej ligi, nie zapomniano im tego wypomnieć, rokując tym nie najlepsze prognozy, które na szczęście się nie sprawdziły. Teraz przypomina się piłkarzom **SKS Start**, że też byli przed pięciu laty w drugiej lidze i po roku pożegnali się z nią. Ma to być przestroga, ale jest też pesymizm. I minimalizm: po co nam dwa zespoły w pierwszej lidze i jeden w drugiej. Pogląd, z którym nie można się godzić.

Podobieństwa są wszakże głębsze. Tak jak awans piłkarzy **RTS Widzew** zaskoczył władze sportowe i postawił je wobec faktów dokonanych, tak i awans piłkarzy **SKS Start** — co prawda tylko do drugiej ligi — też postawił władze sportowe wobec zupełnie nowej sytuacji. Oba kluby nie były bowiem przygotowane do spełnienia nowych zadań i zaspokojenia piłkarskich potrzeb wyższego rzędu. Na Widzewie trzeba było gwałtownie budować boisko, ale drużyna nadal nie posiada właściwych warunków do treningu. W **SKS Start** sytuacja jest podobna. Wniosek stąd prosty, kluby nie myślą należycie o przyszłości, nie przygotowują warunków do awansu swoich drużyn, który to awans powinien być przecież ich celem. Ale to też nie zawsze wina tylko klubu. Jest tu równie potrzebna pomoc władz sportowych miasta.

Klub posiada osiem zespołów piłkarskich, od najmłodszych aż do drugoligowego. Trener **Stefan Sobczak** nie wzbrania się przed przyjmowaniem do klubu piłkarzy z innych zespołów, pod warunkiem wszakże, że przyjmą się oni w klubowej jedenastce. Właśnie przed pięciu laty, kiedy piłkarze SKS Start byli w drugiej lidze, do zespołu przyszło kilku zawodników z innych klubów, ale nie stworzyli oni ani dobrego zespołu, ani zgranego kolektywu. Interesy grupowe przeważyły nad interesem klubowym. Obecnie **SKS Start** chce tego uniknąć.

Stefan Sobczak znaczne nadzieje pokłada w wychowankach klubu. Uważa, że znaczną rolę w zespole piłkarskim powinni między innymi odegrać: **S. Krzyczmanik, P. Chudy, M. Radecki, S. Rulewicz, M. Łucka, A. Lewandowski.** Nie znaczy to, że przed innymi droga jest zamknięta. Ruch w zespole powinien być, ale pod warunkiem, że dopływ nowych zawodników nie będzie niszczył jedności zespołu. Bo w tej jedności, w zgraniu, w solidarności drużyny trener Stefan Sobczak upatruje jej siłę. A to pozwala mu patrzeć optymistycznie w przyszłość.

Jaki cel stawia sobie na najbliższy sezon drużyna piłkarska **SKS Start?** Przede wszystkim utrzymać się w drugiej lidze. Nabrać doświadczeń. Są bowiem w tej grupie drużyn piłkarskich nowicjuszami. Muszą usprawnić organizację i działalność klubu. No i sprawa najważniejsza — stworzyć warunki do właściwych treningów. Nie są to cele najwyższe, ale to na początek. Chcą uplasować się w dobrym miejscu tabeli drugoligowej grupy północnej. A później postawić sobie wyższe cele. Nie wszystko od razu.

W realizacji tych celów liczą zarówno na pomoc sportowych władz miasta, jak i na pomoc zakładów patronackich. **Start** jest klubem spółdzielczym. Do tej pory piłkarzami opiekowały się głównie **Spółdzielcze Zakłady Przemysłu Odzieżowego im. J. Lewartowskiego.** Są z tej pomocy zadowoleni. Współpraca układała się znakomicie. Liczą wszakże, że do współpracy z **SKS Start** dołączą inne zakłady spółdzielcze, bo taka pomoc i współpraca jest im niezbędna. Dla prawidłowego rozwoju piłki nożnej w Łodzi również.

Stare przysłowie wprawdzie głosi, że „od przybytku głowa nie boli", ale w tym wypadku nie byłabym tego taka pewna. W moim przekonaniu władze sportowe miasta powinny czuć nieustanny ból głowy, a to z tego prostego powodu, że nie wolno poprzestać na tym, co już osiągnięto. Trzeba sukcesy utrwalać. Trzeba więc pomagać i piłkarzom **ŁKS**, aby serce nam nie drżało na myśl, że znów może powstać zagrożenie spadkiem do drugiej ligi, i piłkarzom **RTS Widzew**, aby nie obniżali poziomu, i piłkarzom **SKS Start**, aby mogli spełnić swoje cele. A poza tym w łódzkim województwie miejskim jest jeszcze kilka innych zespołów, którym też warto pomagać.

V SPARTAKIADA MŁODZIEŻY

Po raz piąty spotkają się młodzi sportowcy w szlachetnej rywalizacji o zaszczytne tytuły. Spotkają się na stadionach i boiskach **Łodzi, Piotrkowa Tryb., Tomaszowa Maz., Poznania, Giżycka, Bełchatowa i Zgierza.** Będzie to wielkie święto sportowej młodzieży. Właściwie już jest, bo niektóre konkurencje już zostały rozegrane, już wyłoniono zwycięzców.

Jest to jednak nie tylko święto, ale też przegląd młodego sportu, parada następców. Parada, która powinna szczególnie zainteresować trenerów reprezentacyjnych zespołów, renomowanych klubów, jako, że tu, na igrzyskach sportowej młodzieży powinni szukać talentów, szukać tych, którzy za kilka lat zastąpią dzisiejsze sławy. A będzie z czego wybierać. Do startu stanie około 8 tys. sportowców, wyłonionych z 30 tys. zawodników, którzy rywalizowali między sobą w strefowych pojedynkach, walcząc o prawo startu w finałach. Można się więc spodziewać, że na stadionach i boiskach, gdzie rozgrywać się będą imprezy **V Spartakiady Młodzieży,** znajdą się najlepsi.

Ta wielka młodzieżowa impreza sportowa pomyślana była i przygotowana do trochę innych warunków. Zainicjowano ją w innym podziale administracyjnym, sięgając do tych, którzy liczyli się w powiecie i później awansowali do rywalizacji w województwie. **V Spartakiada Młodzieży** rozgrywa się po raz pierwszy w warunkach nowego podziału administracyjnego i nie była jeszcze w stanie sięgnąć do sportu gminnego, ale też taki cel sobie stawia na przyszłość. Ma to być impreza pobudzająca również życie sportowe wśród młodzieży, inicjująca spartakiady lokalne, gminne, międzyszkolne.

„Spartakiada musi być integralną częścią całej działalności sportowej w naszym kraju — powiedział prezes Polskiej Federacji Sportu — Marian Renke w wywiadzie dla „Trybuny Ludu". **Jej zadaniem jest m. in. zapewnienie zgodności wysiłków zmierzających do upowszechnienia i właściwego umacniania się sportu. Spartakiada wyzwala ambicje terenu, jest szansą porównania dorobku województw. Ta rywalizacja, to silny bodziec do pracy dla zawodników, i dla działaczy, szkoleniowców. Także dla miejscowych władz. Jednakże musimy bardzo dbać o to, aby dążenie do wywalczania wysokiej pozycji nie przesłaniało najszerzej pojętych wartości sportu".**

A niestety zdarzyły się już takie nieprawidłowości, które są tylko odbiciem nieprawidłowości sportu dorosłego. W niektórych przypadkach w sportowej rywalizacji decyduje nie tyle ambicja, nie tyle chęć walki, pokazania się z najlepszej strony, co układ tabeli. Tak się też stało w czasie strefowych rozgrywek reprezentacji województw z Dolnego Śląska i Zielonej Góry. Układ tabeli był taki, że gdyby w bezpośrednim spotkaniu wygrała drużyna koszykarzy z Jeleniej Góry, to awansuje reprezentacja z Wrocławia, gdyby natomiast wygrali młodzi koszykarze z Wałbrzycha, to wtedy awansuje drużyna z Zielonej Góry. Koszykarze z Jeleniej Góry prowadzili już 14 punktami, kiedy zdecydowali, że reprezentacja Wrocławia nie może awansować. Było to też wolą trenera, który tak pokierował drużyną, że ta przegrała, załatwiając tym samym awans do finału V Spartakiady Młodzieży drużynie z Zielonej Góry.

Młodzież sportowa — jeśli ma przejąć pałeczkę od starszych — powinna uczyć się na dobrych przykładach z dorosłego sportu, a nie naśladować to co najgorsze. **„Chodzi wszak o to** — jak to powiedział cytowany już Marian Renke — **by sport był piękny i czysty". Polska Federacja Sportu** we właściwy sposób zareagowała na ujawnione nieprawidłowości. Miejmy nadzieję, że więcej się one nie powtórzą. Sportowe święto polskiej młodzieży nie powinno być mącone takimi wydarzeniami. Ale też władze sportowe powinny coraz ostrzej reagować na podobne wypadki, jakie — niestety — zdarzają się w „dorosłym" sporcie, aby nie było z kogo brać złego przykładu.

Młodym sportowcom, którzy walczyć będą w sportowych obiekach: Łodzi, Poznania, Tomaszowa Maz., Piotrkowa Tryb., Giżycka, Bełchatowa i Zgierza, życzymy pięknych sukcesów, ambitnej i czystej walki, życzymy, aby najlepsi z nich bili nie tylko krajowe rekordy, ale stanęli w sportowe szranki w 1980 roku w Moskwie i na olimpijskich stadionach w 1984 roku.

U PRZYJACIÓŁ

Odbywający się na przełomie czerwca i lipca br. w Berlinie Zachodnim XXVII Międzynarodowy Festiwal Filmowy, przyniósł duży sukces kinematografii radzieckiej: „Wniebowstąpienie" reż. Larysy Szepitko zdobyło Grand Prix głównego jury oraz nagrody Międzynarodowej Federacji Krytyki Filmowej i Międzynarodowego Katolickiego Biura Filmowego (OCIC). Podobnego triumfu nie święcił chyba żaden inny film w dziejach „Berlinale".

Powstałe w wytwórni „Mosfilm" dzieło jest adaptacją opowiadania „Sotnikow" białoruskiego prozaika Walerego Bykowa, które ukazuje dramatyczny epizod z okresu okupacji hitlerowskiej — podejmuje sprawy bohaterstwa i zdrady, patriotyzmu i świadomego poświęcenia się w imię wyznawanej idei, a jednocześnie nikczemności i upodlenia człowieka.

Dwaj partyzanci zostają ujęci przez hitlerowców i kolaborujących z nimi policjantów. Jeden z partyzantów załamuje się — i aby ratować życie — deklaruje pozorną współpracę z wrogiem. Jego towarzysz, ranny, bestialsko torturowany, wybiera świadomie śmierć.

Ginie na szubienicy wraz z innymi ofiarami, wśród których znajduje się chłopka która dała mu schronienie oraz kilkunastoletnia dziewczyna żydowska.

W filmie zrealizowanym niezwykle prosto i oszczędnymi środkami artystycznymi, wiele scen porusza do głębi.

Autor potraktował tę na wskroś realistyczną opowieść w sposób metaforyczny: pewne fragmenty przywodzą na myśl motyw Chrystusa i Judasza.

Stworzył wybitne dzieło sztuki, które festiwalowa publiczność oglądała w głębokiej ciszy.

Drugim filmem reprezentującym w konkursie kinematografię Kraju Rad była zrealizowana wg Wiery Panowej „Opowieść sentymentalna" reż. Igora Malesnikowa, wskrzeszająca atmosferę pierwszych lat po zwycięstwie rewolucji, okres kształtowania się nowych form życia, nowej obyczajowości, moralności.

Wydarzeniem, nie tylko artystycznym, stał się zorganizowany z okazji 60 rocznicy Rewolucji Październikowej w jednym z kin przy ulicy Kurfuerstendamm, przegląd pt. „Obraz Lenina i Rewolucji w filmie radzieckim". Na otwarcie wyświetlono „Pancernika Patiomkina" reż. Sergiusza Eisensteina.

Druga w hierarchii nagroda specjalna jury przypadła filmowi Roberta Bresona „Zapewne diabeł".

Wrażliwy, inteligentny chłopiec, decyduje się na samobójstwo, nie mogąc żyć w świecie pełnym obłudy i amoralności, w środowisku skażonym — dosłownie i w przenośni. Film głęboko pesymistyczny, wyraża nastrój zagubienia i frustracji części młodzieży na Zachodzie, kreśli obraz cywilizacji zmierzającej ku samozagładzie.

Drugi reprezentant barw Francji w konkursie, to lekki, dowcipny, inteligentnie zrealizowany, ale w końcu błahy film Francois Truffauta „Mężczyzna, który kochał kobiety".

Ciekawy zestaw filmów przedstawiła kinematografia hiszpańska, przeżywająca okres odrodzenia i poszukiwań tematycznych. „Czarny miot" reż. Manuela Gutierreza Aragona to bezkompromisowa rozprawa z pogrobowcami faszyzmu, którzy nie mogą się pogodzić ze zmianami zachodzącymi w kraju.

Film, zawierający sceny pełne okrucieństwa, którego wyświetlanie nadal zabronione jest w Hiszpanii zdobył nagrodę „Srebrnego niedźwiedzia". Podobną nagrodą uhonorowano aktora Fernando Fernana Gomeza, grającego rolę tytułową w hiszpańskim filmie pt. „Pustelnik", reż. Juana Estelericha, surrealistycznej opowieści nasyconej aluzjami do niedawnej przeszłości kraju rządzonego przez faszyzm.

Sukces odniósł także węgierski reżyser Pal Sandor. Jego film „Dwuznaczna rola", ukazujący uczestnika rewolucji ukrywającego się w przebraniu kobiecym przed siepaczami Horthy'ego, został nagrodzony „Srebrnym niedźwiedziem".

Ambicje społeczne cechowały film szwedzki „Miasto moich marzeń" reż. Ingvara Skagsberga.

Jugosławia nadesłała film reż. Matjaza Klocicia o dramatycznych kolejach życia kobiety samotnej „Karoliny wdowi los".

W programie festiwalowym znalazły się dwie pozycje dokumentalne, przedstawione poza konkursem, ukazujące dyktatorów, którzy swymi zbrodniami zapisali najczarniejsze karty w historii ludzkości. Są to filmy: hiszpański „Caudillo" i zachodnio-niemiecki „Hitler — dzieje kariery".

SAN FRANCISCO –UTRACONY RAJ

Ogromny wzrost przestępczości, masowe bezrobocie, samowola właścicieli domów, którzy podnoszą czynsze za mieszkania – to tylko niektóre ze zjawisk składających się na pojęcie kryzysu miast w Stanach Zjednoczonych. Na przykładzie San Francisco pisze o tych problemach amerykański dziennikarz, Micke Dawydow, który przez dwa lata był korespondentem gazety „Daily World" w Moskwie.

Dawydow pisze, że będąc jeszcze korespondentem swojej gazety w stolicy ZSRR, napisał książkę pt. „Miasta bez kryzysów", w której porównuje miasta Związku Radzieckiego z miastami Stanów Zjednoczonych. Książkę wydało w 1976 roku nowojorskie wydawnictwo „International publishers", a także ukazała się ona w serii broszur pt. „Związek Radziecki oczami Amerykanina".

„Obecnie — pisze M. Dawydow — amerykańskie miasta są o wiele bardziej ponure niż opisałem je w mojej książce. Kryzys ogarnął cały obszar od brzegów Atlantyku aż po Kalifornię, wszystkie miasta duże i małe. Teraz usadowił się mocno w San Francisco, w tym amerykańskim raju, w owym „Paryżu wybrzeża Oceanu Spokojnego", jak się je niekiedy nazywa.

Ponad rok temu Josef Elioto, ówczesny mer tego miasta, występując na konferencji merów, ostrzegał: „Trujące nasiona Nowego Jorku noszą w sobie wszystkie amerykańskie miasta". I nie omylił się. „Nasiona" wydały plony i rozkwitły trującym kwiatem w San Francisco. Po 6-letniej nieobecności z przerażeniem dostrzegłem, że Nowy Jork, moje rodzinne miasto, stoczył się niemal na samo dno upadku. San Francisco, do którego przyjechaliśmy w lutym 1975 roku, wydało mi się zupełnie inne w porównaniu z Nowym Jorkiem, chociaż i tutaj były już wyraźnie widoczne pierwsze symptomy kryzysu. Byłem nim tak zachwycony, podobnie zresztą jak każdy, kto je zobaczy, że nie od razu dostrzegłem jak straszne wrzody toczą to blisko milionowe miasto.

Miasto poznaje się wtedy, kiedy się w nim mieszka. Dopiero w życiu codziennym wychodzą na jaw jego blaski i cienie. Czasami odkrywa się nagle, że miasto jest piękniejsze niż wydało się na pierwszy rzut oka. Oto dlaczego im bardziej poznawałem Moskwę, tym bardziej ją lubiłem. Polubiłem także San Francisco, wszak teraz stało się naszym domem. Z dumą pokazywałem je przyjeżdżającym tutaj moim radzieckim gościom.

Niestety, San Francisco, podobnie jak Nowy Jork, przekształca się gwałtownie w miasto strachu. Jego mieszkańcy są tak zastraszeni, że daleko im do zachwytów. W 1976 roku liczba zabójstw, grabieży z bronią w ręku, gwałtów i innych poważnych przestępstw wzrosła tutaj o 22 procent i jest to bodaj najwyższy dziś wskaźnik w kraju. Częste i brutalne napady wywołują przerażenie wśród mieszkańców miasta. Przestępstw dokonuje się w biały dzień, w samym centrum San Francisco. Nowojorski taksówkarz, który pracował w swoim zawodzie 31 lat i pozostał zdrów i cały, co w USA jest nader rzadkim zjawiskiem, został zastrzelony na ulicy w San Francisco, w którym spędzał urlop. Nazajutrz rano, nieomal w tym samym miejscu, przy wejściu do gmachu dworca lotniczego zastrzelono młodą kobietę.

W 1976 roku odnotowano 40 wypadków strzelaniny na ulicach, 124 zabójstwa. Napawają przerażeniem strzelcy wyborowi, których liczba rośnie niemal z dnia na dzień. Trudno jest tu żyć ludziom w starszym wieku, bowiem oni najczęściej padają ofiarą napadów, grabieży i najbardziej brutalnych i sadystycznych ekscesów. A już w najbardziej trudnej sytuacji życiowej znajdują się ludzie w bardzo zaawansowanym wieku z małymi dochodami, lub emeryci, którzy mieszkają w domach starców w dzielnicach miasta o najwyższym wskaźniku przestępczości. Są tak przerażeni, że wielu z nich nie ma odwagi pójść do pobliskiego sklepu nawet w biały dzień.

Niebezpiecznie jest nie tylko chodzić po ulicach miasta, lecz także jeździć autobusami, a z nastaniem nocy całe miasto przekształca się w „ziemię niczyją". Tylko samochody z drzwiczkami zamkniętymi na cztery spusty i taksówki uważa się za względnie bezpieczny środek lokomocji. Ale licznik taksówki już przy wsiadaniu wskazuje jednego dolara i odlicza po 20 centów za każdą szóstą część mili. Na ten środek lokomocji stać tylko ludzi zamożnych, zwykli śmiertelnicy posługują się nim w wyjątkowych sytuacjach.

Bandy rozwydrzonych chuliganów napadają na autobusy, grabią i biją pasażerów. Sytuacja stała się tak dalece poważna, iż wielu mieszkańców San Francisco, szczególnie w starszym wieku, lub mniej sprawnych fizycznie zrezygnowało z jeżdżenia autobusami i woli siedzieć w czterech ścianach swoich domów.

Nowy Jork, Chicago, Detroit, Cleveland, Waszyngton — już od dawna cieszą się złą sławą. Teraz i przepiękne San Francisco znalazło się w ich liczbie. Amerykanie, dumni ze swoich swobód, są pozbawieni elementarnej swobody — chodzenia bez strachu i bez narażenia życia ulicami swoich miast.

Dopiero niedawne zabójstwo zamożnego urzędnika kompanii ubezpieczeniowej, którego zastrzelono w ekskluzywnej dzielnicy miasta, koło domu, kiedy przechadzał się z psem, zmusiło władze miejskie do uderzenia na alarm. Od razu na wstępie dokonały one nieprzyjemnego odkrycia: w mieście nie ma dzielnic bezpiecznych. Dopóki kradzieży, zabójstw, gwałtów i grabieży dokonywano w dzielnicach zamieszkałych przez biedotę, władze miejskie były spokojne, nie miały problemów. Przestępczość, podobnie jak i inne rodzaje społecznego zła, „znajdowały się na swoim miejscu"...

Zwiększenie liczby policjantów nie pomoże zwalczyć wzrotu przestępczości ani w San Francisco, ani w Nowym Jorku, ani też w innych amerykańskich miastach. Rozkład społeczny pogłębiony masowym bezrobociem, rodzi przestępczość w takiej skali, że nie da się jej wytępić środkami administracyjnymi. Kalifornia i San Francisco zajmują jedno z czołowych miejsc w kraju pod względem bezrobocia (według oficjalnych danych w granicach 9—10 procent, ale w rzeczywistości dużo więcej). W dzielnicach murzyńskich 40—50 procent młodzieży nie ma pracy, a nawet nadziei, że otrzyma ją w najbliższych latach. Wystarczy iskra, żeby wybuchł płomień, podobnie jak to miało miejsce w latach 60, kiedy krwawe walki ogarnęły getta murzyńskie w ponad stu amerykańskich miastach. San Francisco jest jak wielka prochownia, podobnie zresztą, jak i wiele innych miast USA.

Gazeta „San Francisco Examiner" zadaje wieloznaczące pytanie: „Czy wszystkie miasta muszą koniecznie przetrwać ten kryzys?" I daje do zrozumienia, że dopuszcza zagładę niektórych, które chylą się do zupełnej ruiny. Fakt, że w ich liczbie znajdują się największe miasta USA, nie deprymuje wydawców gazety. „San Francisco Chronicle" idzie jeszcze dalej. W artykule poświęconym tej problematyce, jego autor mówi o konieczności prowadzenia polityki selekcji, to znaczy skazania niektórych miast na wymarcie, jako pozbawionych perspektyw przetrwania kryzysu. Nawołując do odrzucenia sentymentów autor artykułu, niejaki Wille, woła: „Niech giną w miastach jedne dzielnice, żeby mogły się odradzać drugie!" Nawet nie mając specjalnej wyobraźni można się łatwo domyśleć, jakie dzielnice Wille i jemu podobni skazują na zagładę: te oczywiście, które najbardziej odczuwają kryzys, w których mieszkają robotnicy, Murzyni, Meksykanie, Portorykańczycy, imigranci z Azji.

Kryzys, który ogarnął to urocze miasto na wybrzeżu Oceanu Spokojnego, ja i moja rodzina, tak zresztą jak i wszyscy inni ludzie o skromnych zarobkach, boleśnie odczuwaliśmy na sobie. Po 6 latach spędzonych w Związku Radzieckim trudno nam się było przyzwyczaić do mieszkania w domu należącym do prywatnego właściciela. W Moskwie za 3-pokojowe mieszkanie płaciliśmy 18 rubli 32 kopiejki. Niełatwo było oswoić się z myślą, że w San Francisco takie samo mieszkanie kosztuje 232 dolary miesięcznie. Posiadanie własnego domku zawsze było marzeniem Amerykanina, ale przy obecnych cenach mało ludzi może sobie na to pozwolić i większość z nas jest uzależniona od właścicieli domów. I tak znaleźliśmy się w pułapce we własnym raju".

Tłumaczył:
JERZY CZECH

S.O.S. DLA MIASTA

Wenecja już nie tonie, lecz umiera od paraliżu postępowego. Szeroko rozpowszechniona wersja, iż rzekomo głównym niebezpieczeństwem, grożącym miastu, jest powolne pogrążanie się w wodach laguny, wprowadza w błąd. W rzeczywistości groźba „tonięcia" Wenecji została częściowo zażegnana. O wiele groźniejszę dla miasta jest zanieczyszczenie zbiorników wodnych i powietrza, rozpadające się domy mieszkalne, ucieczka ludzi w wieku produkcyjnym do innych rejonów Włoch, indolencja i niezdecydowanie władz miejskich w obliczu ostrych problemów oraz biurokratyczne przeszkody. Specjalna ustawa z 1973 roku przewidywała wyasygnowanie 300 miliardów lirów na uratowanie miasta od zagłady. Cała trudność sytuacji polega na tym, że są środki, lecz władze nie są zdolne do racjonalnego ich wydatkowania. Perspektywiczny plan z 1973 roku zakładał wydatkowanie całej wyasygnowanej sumy do roku 1977. Teraz, w 1977 roku, okazało się, że na realizację planów uratowania miasta, miejskie władze Wenecji wydały zaledwie 26 miliardów lirów.

Główny problem uzdrowienia miasta polega nie na restauracji kościołów i pałaców, chociaż zagraniczni turyści, być może, nie zauważają tutaj nic poza tym, a przede wszystkim na ratowaniu samej struktury miasta. W Wenecji jest najniższy wskaźnik urodzeń w porównaniu ze wszystkimi innymi miastami Włoch, przy czym liczba zgonów przewyższa liczbę urodzeń. W 1951 roku 40 procent mieszkańców Wenecji miało ponad 65 lat, a w 1966 roku liczba ta wzrosła do 78 procent. Wkrótce Wenecja stanie się miastem ludzi starych.

Natomiast niezwykle szybko wyrasta nowa Wenecja. Nocą, za niglisto świecącymi lampami starego miasta, widać na ladzie pnące się ku niebu sylwetki drapaczy chmur. Jezory płomieni ulatują z kominów i rafinerii nafty. Całe chmury dymu unoszą się leniwie i wsiakają w czarne niebo, mieszając się z oparami wody. Przemysłowców nie interesują problemy historyczne ukształtowanej Wenecji. Pod naciskiem opinii publicznej, firmy przemysłowe musiały pójść na ustępstwa, instalując w części fabryk urządzenia oczyszczające. Jednakże władze nie są skore do popędzania przemysłowców. W 1973 roku wydano specjalną ustawę, na mocy której do 1976 roku wszystkie przedsiębiorstwa zobowiązano do wybudowania urządzeń oczyszczających. Ale druga ustawa, uchwalona w maju ub. roku, odracza wykonanie tego postanowienia do 1985 roku. Tymczasem parlament włoski wydał dekret, zgodnie z którym fabryki powinny zostać zaopatrzone w urządzenia oczyszczające dymy najpóźniej do 1979 roku. Oczywiście nie wykluczone, że ukaże się inny dekret, który anuluje ten. A tymczasem kominy fabryk codziennie wyrzucają w powietrze pół tony bezwodnika kwasu siarkowego.

(C)

■ AKTYWNOŚĆ POLSKI ■ WĄTPLIWOŚCI NA KONFERENCJI CARTERA ■ START KORTEZÓW

Wizyta sekretarza generalnego ONZ — Kurta Waldheima w naszym kraju pozwoliła raz jeszcze uświadomić rolę, jaką Polska spełnia w życiu Narodów Zjednoczonych. W czasie konferencji prasowej w Warszawie K. Waldheim podkreślił, że **Polska swą aktywnością na arenie międzynarodowej efektywnie przyczynia się do utrzymania pokoju, umocnienia bezpieczeństwa międzynarodowego, utrwalenia tendencji odprężeniowych i rozwoju pokojowej współpracy państw.**

— Delegacja polska — stwierdził także sekretarz generalny — wnosi istotny wkład w pracę różnych wyspecjalizowanych agend ONZ.

Nie są to tylko kurtuazyjne słowa. Jesteśmy przecież wszędzie, gdzie trzeba przyczyniać się do wygaszania konfliktów, rozwoju odprężenia, budowy bezpieczeństwa i ustanawiania nowych, sprawiedliwych stosunków gospodarczych.

Przykładem naszych rozległych stosunków międzynarodowych są także bezpośrednie kontakty — wizyty, jakie składamy w innych krajach oraz wizyty mężów stanu w Polsce.

W ub. tygodniu prócz K. Waldheima **gościliśmy ministra spraw zagranicznych Wenezueli — R. E. Salome.**

— Wenezuela — powiedział on w naszej stolicy — pragnie rozwijać wszechstronną współpracę z Polską zarówno w dziedzinie stosunków dwustronnych, jak też na płaszczyźnie międzynarodowej... Pragniemy współdziałać z Polską w najważniejszych dla współczesnego świata sprawach.

A więc jeszcze jeden przykład, jak nie mają znaczenia odległości i kontynenty wówczas, gdy w rachubę wchodzi współpraca w imię nadrzędnych celów.

Zmieńmy teraz temat, aby **odnotować kolejną konferencję prasową prezydenta J. Cartera.** Zasługuje na to odnotowanie przede wszystkim dlatego, że **niektórzy amerykańscy dziennikarze wypowiedzieli przy tej okazji wątpliwości co do słuszności linii polityki zagranicznej Białego Domu.** Chodzi tu zwłaszcza o to wszystko, co za sprawą obecnej administracji spowodowało ochłodzenie stosunków amerykańsko-radzieckich.

Za fałszywe uznano te posunięcia, które wysunęły na plan pierwszy kampanię wokół problemu praw człowieka oraz komplikującą rokowania SALT-II taktykę strony amerykańskiej w dialogu rozbrojeniowym. **Większość Amerykanów** — co wykazały ostatnio sondaże — **opowiada się za zawarciem nowego porozumienia z ZSRR** o ograniczeniu zbrojeń strategicznych. Dlaczego ich opinii nie uwzględnia Carter, utrudniając postęp w rokowaniach swą decyzją o produkcji rakiet samosterujących oraz próbami z bombą neutronową, co do wytwarzania której ma się wypowiedzieć po 15 sierpnia?

A teraz przenieśmy się do Hiszpanii. W połowie ub. tygodnia **odbyło się w Madrycie pierwsze, wstępne posiedzenie nowo wybranego parlamentu — Kortezów.**

Jak wiele już zmieniło się w życiu tego kraju świadczyć może fakt, że w skład prezydium kongresu weszli m. in. wybitni przedstawiciele partii komunistycznej — legendarna Dolores Ibarruri oraz znany poeta Rafael Alberti. Niewielką przewagą głosów (169 do 138) przewodniczącym kongresu deputowanych został kandydat rządzącej Unii Centrum Demokratycznego. Jego najpoważniejszym rywalem okazał się reprezentant Hiszpańskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej.

Piszemy o tym dlatego, że **fakt ten odzwierciedla układ sił w parlamencie,** który to układ z pewnością niejednokrotnie da o sobie znać. Zwłaszcza w debatach na tematy gospodarcze i socjalne.

Wyborami i pierwszym posiedzeniem nowego parlamentu Hiszpania wkroczyła w nowy etap swej historii. Będzie on z pewnością równie ciekawy, jak ten, który już przebyła po śmierci dyktatora Franco.

* ✦ *

Z bogatego kalendarium wydarzeń ostatnich dni omówiliśmy, rzecz jasna, tylko niektóre. Mamy już za sobą miesiąc lata, a na arenie międzynarodowej nie można odnaleźć ani śladu wakacji. Życie polityczne nadal toczy się wartko...

W. SŁAWSKI

KSIĄŻKA

PROSTE — NIEPROSTE

Problematykę pierwszych utworów Zygmunta Trziszki najlepiej oddaje tytuł wydanego przed niespełna dziesięciu laty w Wydawnictwie Łódzkim zbioru opowiadań — „Dom nadodrzański". Stanowiły one oparty na autopsji zapis historycznego już dziś przemieszania się mieszkańców nadodrzańskiej wsi — przybyszów z różnych stron kraju. Owe rejestracje były wnikliwe i — można powiedzieć — zręczne, czytelnik po ich lekturze wiedział o procesach integracyjnych na Ziemiach Zachodnich więcej niż po przeczytaniu niejednego traktatu socjologicznego. Już te realistyczne juvenilia zawierały zapowiedź postawy pisarskiej, która ujawniła się w pełni w powieści „Romansoid" (1969, 1973), odznaczonej nagrodą im. Stanisława Piętaka. Myślę tu o ujęciach groteskowych, o przechodzeniu od impresji niemal naturalistycznych, poprzez fantastykę do wyolbrzymionych i zdeformowanych motywacji.

Trziszka jest bystrym obserwatorem. Większość inspiracji czerpie ze swych bogatych i urozmaiconych doświadczeń. Nim osiadł jako dziennikarz w stolicy pracował w różnych miejscowościach Ziemi Lubuskiej, najpierw jako listonosz, potem urzędnik pocztowy, wreszcie nauczyciel i działacz kulturalno-oświatowy. Urzędnicze doświadczenia zdają się wywierać trwały wpływ na pisarstwo autora „Z dołu w górę". Dla jego bohaterów, ludzi na ogół prostych, czasem rezolutnych, a nieraz tylko pałających żądzą użycia i odniesienia życiowego sukcesu, kariera urzędnicza jest synonimem największego powodzenia. Parodystyczne nastawienie narratora Tezeta uwidacznia się bardzo wyraźnie w opowiadaniu „Aż po rozum taktyczny". Pobrzmiewają w nim dalekie echa Kafkowskiego „Zamku". Wspomniane opowiadanie stanowi surrealistyczną wizję biurokratycznej machiny przyszłości. Poszczególne jej tryby są bardzo widoczne — urzędnicy kontrolowani są i oceniani przez stałych i zmieniających się widzów — jakby rzecz cała odbywała się na teatralnej scenie. „Dawniej zżymałem się — powiada narrator — gdy różni biuraliści i kanceliści, pochowawszy się w służbowych komórkach, odprawiali tam tajemne misteria, smażąc cichcem prawa powielaczowe. Teraz czas się odmienił. Naczelnicy pracują na ludzkich oczach i nie może już być mowy o szalbierstwach. Całą duszą akceptowałem taki porządek, gotów byłbym obiema rękami podpisać akces, ba, nawet nie wahałbym się, gdyby o cyrograf chodziło. Jedno mnie tylko męczyło: jakim sposobem sforsować schody i zająć(...) swój szczebel?".

Sformułowany tu dosłownie problem jest motywem przewodnim całej książki. W innych opowiadaniach problem awansu pozbawiony zostaje metaforycznej otoczki i ukazany jest poprzez realia naszej powojennej rzeczywistości. Takie właśnie osadzone w realiach rejestrowanie ambicji bohatera przeciętnego, zwanego dawniej w literaturze szarym człowiekiem, mimo wyraźnych cech parodystycznych, pokazuje zupełnie serio podstawową sprawę: ambicje poszczególnych ludzi są przecież tylko częścią tendencji obowiązującej w społeczności. Jest to niewątpliwa prawda, ale taka stereotypowa interpretacja spłycałaby prozę Trziszki. Widzi on bowiem współczesny świat w całej złożoności, obok społecznych dążności integracyjnych dostrzega również przejawy dezintegracji, wyobcowania: — „Moje dzieci, mnie tak żal dzisiejszych ludzi, że się pogubili w tym świecie" — powiada jedna z bohaterek opowiadania „Jeszcze wyżej".

W świecie przedstawionym przez Tezeta wszystko jest właśnie i proste, i złożone zarazem. Nad tym łamią sobie głowę bohaterowie opowiadań: „Może ludzki napęd do życia bierze się z tego, że chcemy komuś po sąsiedzku siedzącemu pokazać, że nie jesteśmy gorsi?" Człowiek „ciągle pcha swój tobół pod górę, choć tobół zsuwa się bezwładnie. Ech, jakie to wszystko proste — nieproste!".

I jest to chyba najtrafniejsza formuła dla nazwania pisarstwa Zygmunta Trziszki. Świat rozbity na elementy i sprowadzony do kilku podstawowych ujęć groteskowych wydaje się być prosty. Gdy mu się jednak przyjrzeć dokładniej, szczegółowo, z nagłą zmianą perspektywy, prostota musi szybko ustąpić refleksji głębszej.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Zygmunt Trziszka, „Z dołu w górę", Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1977, nakład 8 000 + 305 egz., cena zł 20.—

LEKTURY NA LATO

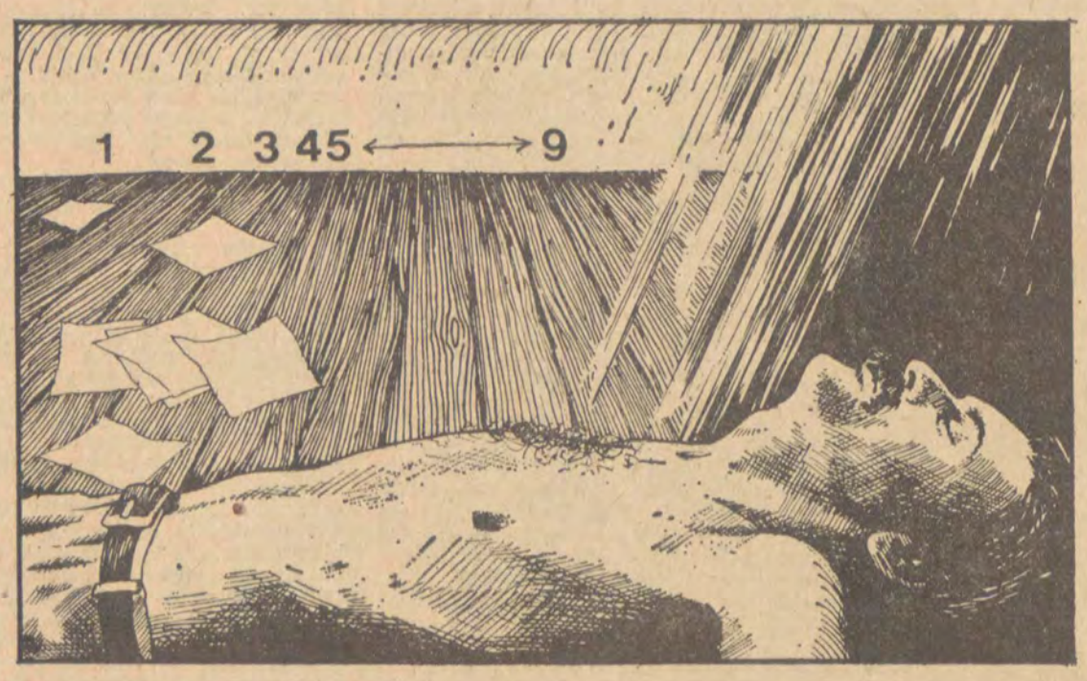

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Tydzień Piotra Sokala

EUGENIUSZ IWANICKI

Urządzanie mieszkania zajęło mi sporo czasu. Ku mojemu oburzeniu odkryłem parę istotnych braków i niedociągnięć powstałych z winy budowniczych i instalatorów. Zgłosiłem swoje uwagi w administracji. Już nazajutrz zjawił się pewien brunet i wysłuchawszy moich pretensji, uspakajająco powiedział:

— Drzwiczki do piecyka gazowego, proszę pana, wyjmiemy spod piątki, uszkodzoną wannę, proszę pana, jeszcze dziś podrzucimy pod dziewiątkę, a wannę z dziewiątki, wstawimy panu, aha, zlewozmywak, zdaje się nie mamy zasiedlenia w sześćdziesiąt trzy, więc zamienimy, a to, proszę pana, że masz pan ustawioną jedną ze ścian pod kątem, niestety, nas nie dotyczy jako administracji, zresztą bloku się teraz nie rozbierze, proszę pana, ludzie, proszę pana, mieszkają, a poza tym mieszkanko cycuś, ja, proszę pana, zęby zjadłem na tego rodzaju sprawach, jestem, rzec można, fachowcem i zapewniam pana, że bywa gorzej, znacznie gorzej...

Wyrzucał słowa niczym płyta gramofonowa puszczona na przyspieszonych obrotach, gestykulował, biegał z pokoju do kuchni, z kuchni do łazienki, znów do pokoju, pukał w ściany, odkręcał kurki, nawet zapalił gaz na piecyku. Był jednym ruchem. Początkowo podążałem za nim, w końcu dałem spokój: co kilka minut pojawiał się przede mną i mówił, mówił, mówił.

— Kiedy? — nie wytrzymałem.

Zatrzymał się, jakby nagle został obudzony w miejscu, w którym znalazł się po raz pierwszy za sprawą tajemniczego zaklęcia.

— Co, co? — zapytał.

— Kiedy to zostanie wymienione?

— O co panu chodzi? Zgłaszał pan jakieś pretensje?

Nudził mnie. Uznałem, że zabawa niepotrzebnie się przeciąga. Schwyciłem przedstawiciela administracji za futerko na kołnierzu i dość zdecydowanie wystawiłem go za drzwi.

Wróciłem do sprzątania.

Wieczorem zabrzęczał przy drzwiach dzwonek, a kiedy otworzyłem, wysoki brunet uśmiechał się do mnie rzędem białych zębów. Na korytarzu stała wanna, leżał zlewozmywak i drzwiczki do piecyka. Czterej robotnicy bez słowa weszli do mieszkania i po paru minutach miałem wszystko w dobrym gatunku. Brunet uśmiechał się tajemniczo. Kiedy robotnicy zniknęli na schodach z moją otłuczoną wanną, podstawił mi do podpisu papier, w którym mówiło się o usunięciu zgłoszonych przeze mnie usterek.

— A co powiedzą ci, którzy wprowadzą się do mieszkań numer piętnaście, dziewięć i sześćdziesiąt trzy?

— Ucieszą się, że w końcu otrzymali przydział.

Takie były początki.

Pod koniec lutego, kiedy mieszkanie zostało jako tako urządzone, miałem niespodziewaną wizytę. Przyszła Wiśka. Był wieczór, dżdżysty i zamglony, grube krople bębniły o blaszany parapet, w radio szedł kwartet smyczkowy Es-dur opus 20 numer 1 Józefa Haydna, a ja zamierzałem właśnie zabrać się za przygotowywanie kolacji, kiedy odezwał się dzwonek. Właściwie było to pojedyńcze brzęknięcie, delikatne, ostrożne. W pierwszej chwili sądziłem, że uległem akustycznemu złudzeniu. Jednakże podszedłem do drzwi i spojrzałem przez wizjer. Wiśka stała w mokrej białej narzucie i spokojnie patrzyła mi w oczy.

Szybko opuściłem zasłonkę i oparłem się o ścianę. Serce zaczęło bić tak głośno, iż obawiałem się, by jego uderzeń nie dosłyszała stojąca za drzwiami kobieta. Trwaliśmy tak przez dłuższą chwilę po obu stronach drzwi, zasłuchani we własne oddechy.

Kiedy dzwonek odezwał się ponownie, otworzyłem.

Weszła, jakby dopiero przed godziną opuściła to mieszkanie. Jej pewność siebie sprawiała mi ból. Pocałowała mnie w policzek, szybko zdjęła nieprzemakalny płaszcz, kożuch, czapkę z zajęcy, potrząsnęła włosami.

— Ładnie mieszkasz. Wiesz, teraz zaczynają nawet instalować meble kuchenne. A w twoim bloku?

— Kupiłem.

— Widocznie ten jest ze starej puli. Dopłaca się parę tysięcy i masz szafki na ścianach i coś tam jeszcze. Masz zapasowe pantofle?

W kuchni zobaczyła pokrojony chleb i czajnik na gazie. Fachowo i z wprawą sięgnęła po szklanki, wyjęła kiełbasę, ser, pomidory.

— Fajnie żyjesz, a my dopiero wpłaciliśmy do spółdzielni. Krzysiek, mój mąż, początkowo chciał znaleźć pokój sublokatorski, ale jak przeliczyliśmy, to się okazało, że to rzecz nieopłacalna. Jedz, herbata wystygnie. A co u ciebie?

Patrzyłem na nią i nie wiedziałem jak mam się zachować, jak zareagować na jej niezwykłą pewność siebie, właściwie na bezczelność, bo przecież sprawiła mi ból, a postępuje jakby nic się nie stało, jakby wszystko pozostało jak dawniej. Do dawnej zapobiegliwości, jaka ją cechowała, dołączyła się ogromna pewność siebie, zdecydowanie, władczość. Była to ta sama Wiśka i nie ta sama. Z dawnej pozostała uroda, ta inna stała się odpychająco bezceremonialna.

— Pytasz, co u mnie? Raczej co u ciebie? Podjęłaś decyzję, która dwa życia rozdarła niczym granat...

— Nie bądź małostkowy. Jak większość kobiet wybrałam stabilizację. Krzysiek — to pewność, ty — to przyszłość na wodzie pisana.

— Mogłaś choć słowo...

— Po co? Nic by to nie zmieniło. Kocham cię nadal, na swój sposób, ale wybacz, żyć z tobą nie potrafiłabym, nie umiałabym. Nie możesz do mnie mieć pretensji, że zdecydowałam się na ten krok. Krzysiek jest fachowcem, ma zawód, potrafi dać utrzymanie rodzinie.

— Liczyłem na ciebie, byłaś mi potrzebna.

— Nie umarłam, jestem i będę przychodzić do ciebie jak dawniej. Krzysiek często wyjeżdża do różnych zakładów, bo to, masz wiedzieć, specjalista.

— Nie rozumiesz...

— A co tu jest do rozumienia? Kochasz mnie, sam mówiłeś. Ja ciebie także. W czym więc jest rzecz? Dlaczego nie jesz? Bierz masło, kiełbasa z suchym chlebem nie chce przejść przez gardło. Trochę schudłeś, zmizerniałeś, od razu widać brak kobiecej ręki. Nawet nasza gospodyni mówiła kiedyś do mnie, że powinnam cię odwiedzić. Ona sama nie może, starość, rozumiesz?

Były momenty, że chciałem się zerwać i wyrzucić Wiśkę za drzwi. Czułem się jakbym popełnił podłość. Wstydziłem się za nią. Takiej jeszcze nie znałem: bezczelnej, zdecydowanej, z prawem do decydowania za innych. Jakby nie było tych wszystkich upokorzeń, nieprzespanych nocy, upodleń, załamań, jakby nie było nie kończących się nocy w samotności, dni pustych i szarych bez jej śmiechu, bez jej obecności. Gdyby znała bodaj setną część myśli, jakie nawiedzały mnie w ciągu tych dni i godzin, które były jednym nie kończącym się bólem, być może dziś nie przyszłaby, aby jątrzyć w nie zagojonej ranie, nie przyszłaby nigdy, by nie wskrzeszać tego, co umierało tak samo długo, jak długo się rodziło.

— Jak to sobie wyobrażasz?

— Niby co?

— Nas. Jak wyobrażasz nasz związek?

— Normalnie. Przecież nic się nie zmieniło.

— Mylisz się.

— Fakt, że wyszłam za mąż nie może być zarzutem.

— Sypiasz z innym i ten ktoś jest twoim mężem. Składałaś mu publicznie przyrzeczenie wierności.

— Stajesz się nudny.

— Być może. Ale chcę ci udowodnić, że oboje zmieniliśmy się i to bardzo, że z tego co było kiedyś nie został nawet ślad. Mówisz cały czas o sobie, a czy bodaj przez moment pomyślałaś o mnie? Może ja nie chcę, nie mam ochoty na utrzymywanie kontaktów z kobietą, nie mającą wobec mnie skrupułów, która wyrządziła mi krzywdę. Czy o tym pomyślałaś? Zjawiasz się po kilku miesiącach i jakby nigdy nic chcesz na nowo zamieszkać w moim sercu, z którego z takim trudem wyrzucałem cię po cząstce. Nie stać cię było na gest kurtuazyjnej obojętności, nie odważyłaś się powiedzieć, że nasz związek nie ma sensu i dlatego postanawiasz postąpić jak postąpiłaś. Byłaś okrutna, teraz pragniesz mojego poniżenia. Kiedyś okłamywałaś mnie jednego, dziś chcesz okłamywać nas obu. Nie znam twojego męża, lecz czy naprawdę zasłużył sobie na taki los, jaki jest moim udziałem?

Wiśka patrzyła na mnie i, widziałem to, nie rozumiała. Jej oczy schowane za szkłami wyrażały zdziwienie. Byłem pewny, że zapyta o co mi chodzi.

— Wyrażaj się zrozumiale, bo tak plączesz, że nic z tego nie wiem. O co ci właściwie chodzi?

— Nie chcę więcej być oszukiwany, rozumiesz?

— Dlatego tu jestem. Przyszłam ci o tym powiedzieć. Na dobrą sprawę ani razu ci nie skłamałam, ani jednego razu. No, dość o tym, idę pozmywać.

Słuchałem bębniącego deszczu o blaszany parapet i brzęku szklanek w kuchni. Opanowała mnie bezsilność. Wiśka, jak dawniej, kiedy z nieznanych mi powodów stawała się nieobecna, teraz tę obecność narzucała z niezwykłą brutalnością. Znowu liczyła się ona i tylko ona. A więc będzie tu przychodzić by jak niegdyś przeżywać całkowite zatracanie się, potem powróci do domu, do swojego Krzyśka i z nim powtórzy to samo raz jeszcze. Jej sumienie, uczciwość, zaakceptowały ten plan. Wobec siebie będzie w porządku, pozostanie moralnie czysta, jak była czysta, kiedy obejmując mnie udami zapadała w ognistą przepaść niebytu.

— Najpierw się wykąpię — doleciał mnie głos z kuchni. — Sam wiesz, jakie mamy warunki. Kiedy sprowadzaliśmy się, miała być zainstalowana wanna w tym pokoju, gdzie mieszkałeś, ale od czasu kłótni z tymi z parteru, gospodyni zaniechała jakichkolwiek przeróbek. Piotrek, masz jakiś szlafrok?

— Nie mam.

— Trudno. W międzyczasie zaściel tapczan. Jeśli masz jakiś alkohol, to także się nie pogniewam.

Stałem w oknie i patrzyłem w dół ulicy, w mokrą, połyskującą kałużami ciemność. Światła z okien bloków, a także z domków jednorodzinnych po przeciwnej stronie ulicy rozcinały tę czerń i odbijały się w asfalcie. Przy krawężniku przycupnęły samochody. Jakaś kobiecina, nie zważając na zimno i walące z góry strugi spacerowała z malutkim pieskiem na smyczy. A dalej ciągnęło się nie kończące się morze świetlnych punktów: niektóre były uformowane w wysokie prostokątne ściany, inne płonęły wzdłuż niewidzialnych stąd ulic, jeszcze inne istniały rozrzucone bezładnie aż po niewidoczny horyzont, równie czarny jak przykrywające świat niebo. Wydawało mi się, że w całym tym oświetlonym, prawie milionowym mieście, jestem najbardziej nieszczęśliwym, oszukanym i żałosnym człowiekiem. Związałem się z kobietą niegodną miłości choć godną pożądania. Ale moje pożądanie jest przeciwko mnie, upokarza mnie jeszcze bardziej, czyni bezwolnym.

Lecąca z kranów woda zagłuszała słowa Wiśki, która o coś się dopytywała siedząc w puszystej pianie. Dopiero powtórne jej wołanie wyrwało mnie z odrętwienia.

— Umyj mi plecy, słyszysz?

Nachylony nad wanną i trąc gąbką z mydłem przyłapałem się na myśli, że wystarczy jeden ruch, zanurzenie tej pięknej głowy pod wodę i na zawsze uwolnię się od wszelkiego zła, od męczących mnie przywidzeń i majaków.

Ciało Wiśki było takie, jakim go zapamiętałem: gładkie, twarde, bez najmniejszej plamki czy choćby brązowego znamienia. Natura odlała je z jednej bryły, starannie i niezwykle proporcjonalnie. Przesuwając gąbkę wzdłuż grzbietu, widziałem drobne wypukłości kręgosłupa, zarys łopatek, załamanie się linii bioder. Myślałem o naszych nocach, o swoich słowach, o jej zaborczym milczeniu. I czułem, że wszystkie moje racje przestają mieć jakiekolwiek znaczenie w zestawieniu z wzbierającym w mym ciele pożądaniem. Wiedziałem na pewno, że poniosę kolejną klęskę. Będę całować to białe, pachnące ciało, będę je brać z bolesnym zniecierpliwieniem gardząc własną słabością. Dzięki niej osiągnę niebo choć za chwilę rozpocznę upokarzającą pokutę, stanę się najszczęśliwszym z ludzi, a zarazem najbardziej godnym pożałowania. Nie mogę dłużej opierać się, nie mogę nawet zachować pozorów chłodnej rozwagi.

— Cierpliwości — mówi Wiśka. — Już wychodzę.

Lecz i to czekanie dłuży się niczym wieczność. Muszę już, natychmiast dokonać swojego upadku, inaczej stanie się coś okrutnego, gwałtowniejszego niźli wszystkie zazdrości i pożądania wzięte razem. Wyjmuję Wiśkę i ociekającą wodą, broniącą się ze śmiechem, niosę na posłanie.

Leżę potem z twarzą w poduszce nie chcąc patrzeć w jej oczy. Jej triumf jest całkowity. Łatwo, bez wysiłku pokonała mój zapiekły żal, usunęła nagromadzone przez ostatnie miesiące niepewności, zaszczepiła wiarę, że być może nie wszystko na tym świecie należy potępić w czambuł.

— No widzisz — mówi — było jak dawniej. Powiedz, spałeś w międzyczasie z jaką?

— Przestań! — krzyczę zduszonym głosem. — Przestań mnie poniżać!

— Nic się nie zmieniłeś Lubię cię właśnie takim. Chcesz pić?

Nie czekając na moją odpowiedź, zsuwa się z tapczanu i odchodzi. Słyszę brzęk szklanek i syczenie gazu. Deszcz w dalszym ciągu bębni o parapet.

Kiedy unoszę się, Wiśka stoi przy stole trzymając dwie szklanki kawy. Jest naga i wbrew mojej złości obiektywnie stwierdzam, że jest bardzo ładna.

— Dlaczego nie chciałaś poczekać? — pytam. — Czyżbym nie był wart twojej miłości, czyżbym był gorszy od jakiegoś elektryka z „Kaliny"?

— O, przepraszam — mówi Wiśka. — Nie masz powodów by ubliżać mojemu mężowi, tym bardziej że on cię wcale nie zna.

— Tego by brakowało.

— Myślę, że z czasem się poznacie. Przekonasz się, że to wspaniały chłopak. I wcale nie głupi.

Mam chęć wstać i uderzyć tę śliczną, nieruchomą twarz, która w tej chwili nie wyraża żadnego żywszego uczucia choć rozmawiamy o sprawach dotyczących naszej trójki związanej ze sobą tragicznym splotem nieporozumień.

— Jesteś kurwą — mówię. — Kurwą do potęgi.

(cdn.)

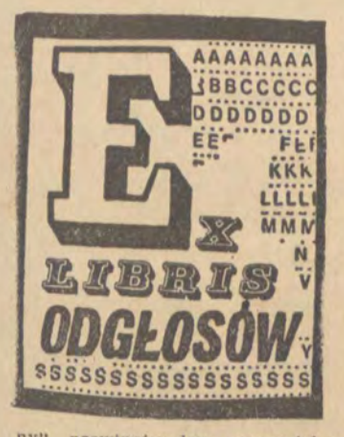

WEŁNA

Autorem powieści „Wełna", która ukazała się obecnie w serii „Nike" jest Lars Gustafsson, którego Szwedzi nazywają „pisarzem lat pięćdziesiątych", bo w 1957 r. ukazała się jego pierwsza powieść „Spoczynek w drodze". Pisarz miał wówczas 18 lat. Od tego czasu napisał już wiele, a w jego twórczości dominuje zawsze temat: człowiek a świat i rzeczywistość. Bohater „Wełny", prowincjonalny nauczyciel matematyki próbuje włączyć się w życie innych ludzi, chce pomóc swojemu uczniowi, ale niczego nie osiąga, przegrywa. „Pesymizm przebijający w tonie książki — pisze jej tłumacz Zygmunt Łanowski — nie jest pesymizem beznadziei, nie wyklucza aktywności, działania, właśnie ku nim wiedzie droga człowieka w dzisiejszym trudnym świecie — do współdziałania z innymi, do dzielenia życia z innymi".

„Wełna" jest drugą częścią z serii, jaką zaplanował sobie pisarz, a na którą ma się składać pięć powieści. Każda z nich jest jednak samodzielnym utworem, zamkniętą całością.

Lars Gustafsson jest pisarzem, któremu z uwagą przygląda się krytyka szwedzka i obca. Eksperymentuje z formą swoich powieści, udziwnia treści narracją, stosuje przemyślaną i starannią, acz oryginalną konstrukcję, choć przy tym wszystkim używa zdań krótkich, bardzo prostych i precyzyjnych. Jego ciekawa twórczość powinna zainteresować również polskiego czytelnika.

Lars Gustafsson — „Wełna", przełożył Z. Łanowski. Czytelnik, Warszawa 1977, str. 278. Cena zł 30.

SZKICE O LITERATURZE SKANDYNAWSKIEJ

„Jest to książka, która powstała niejako bez mojej wiedzy. Z inicjatywy wydawnictwa zebrano artykuły i artykuliki, które pisywałem w różnych miejscach i różnych czasach, po amatorsku interesujące się literaturami krajów skandynawskich, dla których od wczesnej młodości żywiłem szacunek, żywe zainteresowanie i chwilami podziw prawdziwy. Zebrany materiał zaskoczył mnie swą obfitością i rozmaitością.

Zainteresowanie moje Skandynawią wzmógł kilkuletni pobyt w Danii, nauczenie się języka duńskiego i nawiązanie licznych przyjaźni i znajomości z pisarzami i działaczami skandynawskimi.

Powstała więc ta książka nie mająca pretensji ani do głębi, ani do gruntowności, nie jest ona bowiem rezultatem poważnych studiów, lecz raczej zwyczajnych, ale długotrwałych kontaktów ze skandynawską sztuką, skandynawskim życiem, skandynawskim obyczajem, a przede wszystkim ze skandynawskim piśmiennictwem, które cenię bardzo wysoko i któremu zawdzięczam bardzo wiele".

Tak pisze Jarosław Iwaszkiewicz o swojej najnowszej książce „Szkice o literaturze skandynawskiej", która ukazała się z inicjatywy „Czytelnika". Cenna to pozycja, wyróżniająca się i głęboką wiedzą i stylem pięknym, a prostym, jakże dalekim od często trudno strawnych wywodów specjalistów - naukowców. Cenna jeszcze i dlatego, że wobec znacznej ilości polskich przekładów literatury skandynawskiej, czytelnik ma wreszcie okazję pogłębić swoją wiedzę w tym przedmiocie.

Jarosław Iwaszkiewicz — „Szkice o literaturze skandynawskiej", „Czytelnik" 1977, str. 375, cena zł 40.

KOBIETA I JEJ SZEŚCIU BRACI ŚPIĄCYCH

Powieść zaczyna się od dokładnego opisu starego, piętnastowiecznego zamku, do którego przyjechała ostatnia już jego właścicielka, aby tu „spędzić zmierzch swego życia". Bracia śpiący to sześciu mężczyzn z wioski, którzy kolejno sypiali w zamku od czasu kiedy pewnej nocy wydarzyło się tam coś okropnego i baronowa bała się sama być w nocy w pustym dworze.

Powieść bardzo nastrojowa, mająca w sobie coś z romantycznej ballady opowiada o losach mieszkańców wsi i dziejach zamku. Atmosfera jest trochę egzotyczna, trochę niesamowita, autor wplótł weń również wątek subtelnej, nie spełnionej miłości.

Powieść „Kobieta i jej sześciu braci śpiących" jest pierwszym polskim przekładem prozy Antona Coolena. Ten urodzony w 1897 r. współczesny pisarz niderlandzki jest autorem wielu powieści i dramatów. W roku 1930 otrzymał nagrodę Towarzystwa Literatury Holenderskiej.

„Kobieta i jej sześciu braci śpiących" ukazała się w Klubie Interesującej Książki, któremu od lat patronuje Państwowy Instytut Wydawniczy.

Anton Coolen „Kobieta i jej sześciu braci śpiących", przełożyła: M. Kłos-Gwizdalska, PIW, Warszawa 1977, str. 237, cena zł 30.

LEKTURA NA URLOP

Próżno obrzydzać czytelnikom literaturę kryminalną. Nie ma zresztą takiej potrzeby, jeśli czytelnik poza „kryminałem" sięga również po inne rzeczy, jeśli traktuje ją jako relaks, zabawę lub logicznie skonstruowaną zagadkę, którą autor podsuwa mu do rozwiązania. Cały szkopuł polega na tym żeby była to literatura na przyzwoitym poziomie, żeby fabuła była mniej więcej prawdopodobna i żeby autor nie nabijał czytelnika i wydawcę w butelkę, rozciągając akcję poza granice przyzwoitości, w tym tylko jedynie celu, by podciągnąć dialogiem i opisem ilość arkuszy. A to, niestety, często się zdarza naszym autorom. Zdarza się jednak od czasu do czasu również dobry polski „kryminał", a do takich należy zaliczyć powieść Tadeusza Ostaszewskiego „Śmierć prokuratora Kanta". Z tytułu już wynika, że prokurator Kant zginie i nic więcej nie mamy zamiaru czytelnikom zdradzać. Może tylko to, że akcja toczy się wartko, podejrzanych jest kilka osób. Sam pomysł jest zgrabny, a i styl nie woła o pomstę do nieba. Widać że autor rzetelnie potraktował swoją robotę, toteż czytelnik będzie zadowolony.

Jedyne zastrzeżenia budzi okładka. Ale to już sprawa projektanta.

„Śmierć prokuratora Kanta" ukazała się w Wydawnictwie „Pojezierze", na co zwracamy uwagę czytelników przyzwyczajonych szukać swoich ulubionych lektur w serii „Srebrnego Kluczyka", „Jamnika" lub ostatnio w lakierowanych okładkach KAW-u.

Tadeusz Ostaszewski — „Śmierć prokuratora Kanta". Wydawnictwo „Pojezierze", Olsztyn 1977, str. 184, cena zł 36.

WARTO PRZECZYTAĆ

LITERATURA PIĘKNA:

EMINESCU — Poezje, PIW, 1977, zł 20.
ANONIM — Arden z Feversham, WL, 1977, zł 46.
V. TEITELBOIM — Ziarno na piasku, WL, 1977, zł 32.
P. ENQUIST — Piąta zima magnetyzera, W.Poz., 1977, zł 42.
J. LOVELL — Piekło mężczyzn, Iskry, 1977, zł 10.
M. PROMIŃSKI — Świat w stylach literackich, WL, 1977, zł 55.
M. GŁOWIŃSKI, H. MARKIEWICZ — Studia z teorii literatury. Archiwum przekładów „Pamiętnika literackiego" Ossol, 1977, zł 85.
K. HANDKE, E. RZETELSKA-FELESZKO — Przewodnik po językoznawstwie polskim, Ossol., 1977, zł 110.
CZWARTACY — KIW — zł 80.
„BIBLIOGRAFIA LITERATURY TŁUMACZONEJ NA JĘZYK POLSKI — 1945—1976" — Czyt., zł 150.
J. WIERUSZ-KOWALSKI — Dramat a kult, Iskry, zł 28.
Z. SUDOLSKI — Krasiński, LSW, zł 110.
A. VENCLOVA — Dzień narodzin, WL, zł 45.

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

OJCZYZNA — POLSZCZYZNA

Osiem już lat minęło od tej pełnej grozy nocy, gdy samolot, którym prof. **Zenon Klemensiewicz** wracał z Warszawy do Krakowa, runął na ziemię. W ten dramatyczny i jakże okrutnie współczesny sposób zginął uczony, który całe swoje życie poświęcił badaniu przeszłości języka polskiego.

Profesor **Zenon Klemensiewicz** — wybitny polski językoznawca i pedagog, teoretyczną wiedzę o języku łączył ze szczególną troską o jego piękno i doskonałość, widząc w nim wspólne, cenne dobro narodowe. Dziełem życia Profesora była potężna **„Historia języka polskiego"**. Całość wydawnicza tego dzieła ukazała się dopiero po śmierci uczonego. Dodajmy, że wydano „Historię" pięknie i w nakładzie 20 tysięcy egzemplarzy, doceniając doniosłość i potrzebę szerokiego zasięgu tego dzieła, które jest przecież pozycją ściśle naukową i trudno ją traktować jako bestseller czytelniczy.

Ale jest to bestseller naukowy — dzieło o nieprzemijającej wartości. **Zenon Klemensiewicz** pracował nad **„Historią języka polskiego"** lat trzydzieści. Osobne tomy ukazywały się w latach 1961—1972, ten ostatni już po tragicznej śmierci uczonego.

Jak pisze redaktor naukowy obecnego, pełnego wydania „Historii", **Irena Bajerowa**, sam Autor za zawiązek dzieła uważał wykłady pt. **„Zarys historii języka polskiego"**, jakie wygłaszał na kursach wakacyjnych dla cudzoziemców i Polaków w Krakowie — w sierpniu 1939 roku. I właśnie wówczas, gdy dla Polski zaczynała się noc okupacji, gdy hitlerowski faszyzm próbował wymazać z mapy świata Polaków, Polskę, jej dzieje i kulturę — właśnie wówczas profesor Klemensiewicz — w grudniu 1939 — przystępuje do szeroko zakrojonego opracowania tematu i pisze „Historię" przez cały okres okupacji, ten trud twórczy uważając za protest przeciw klęsce, za źródło wsparcia i sensu życia, za duchowy udział w walce narodowej.

Mamy w tej księdze niezwykle odległą perspektywę historycznego rozwoju polszczyzny, której początki tkwią — jak pisał Baudouin de Courtenay — „w pomroce dziejów". W niebogatej wiedzy o najdawniejszym okresie ziem słowiańskich, historyk szuka faktów, czynników i zjawisk, które w jakimś stopniu oświetlają jakość ówczesnej mowy, wypowiadania się, porozumiewania się ludzi należących do różnych plemion, różnych terytoriów, różnych warstw społecznych — i z uwagi na ówczesne warunki nie kontaktujących się zbyt często ze sobą.

Tym podstawowym faktem było powstanie państwa polskiego jako organizacji jednoczącej różne plemiona. Ta „organizacja jednocząca" powstała w drugiej połowie IX wieku na obszarze Polan, skąd wyszły dążności ekspansji na terytoria sąsiednie.

Procesowi wiązania się plemiennych państewek w nową całość towarzyszy wzrost poczucia bliskości psychicznej, obyczajowej, językowej — a co za tym idzie — wzrost świadomości narodowościowej. Wyrazem tego ważnego zjawiska staje się wspólna dla wszystkich plemion nazwa. **Otóż pojawia się ta nazwa po raz pierwszy** na przełomie X i XI **wieku, kiedy to w „Żywocie św. Wojciecha", napisanym w latach 997—1002 Bolesław Chrobry nazwany został „dux Palaniorum". A potem już powtarza się ta nazwa w rocznikach, pismach i dokumentach: Polonia, Poloni, Polania, Polenia...**

Ale o historii języka w ścisłym tego słowa znaczeniu można mówić dopiero od chwili ukazania się pierwszych pisanych źródeł językowych. Epoka piśmienna zaczyna się w wieku XII i trwa — oczywiście — do dziś. Osiem stuleci, osiemset lat dziejów polszczyzny zawarł profesor Klemensiewicz w swym ogromnym dziele. Od pierwszych słów polskich zapisanych w Księdze Henrykowskiej: **„Daj ać ja pobruczę, a ty poczywaj"** — aż do dzisiejszej, ogromnej, rozległej i pięknej ojczyzny — polszczyzny.

WIDOK

LEWYM OKIEM

NIEBIESKIE MIGDAŁY

Owady to mają dobrze. Najpierw żyje sobie taki w postaci larwy, i to żyje w niektórych gatunkach parę lat, co w skali owadziej jest godną zazdrości długowiecznością. Potem, kiedy się zacznie jako larwa starzeć, zasypia absolutnie, popada w stan nirwany, całkiem jak człowiek, kiedy rozstaje się z życiem. Ale larwa nie ginie: żyje jeszcze raz, pięknie żyje, jako ten sam przecież osobnik, a jednocześnie coś zupełnie innego, skrzydlatego, bajecznie kolorowego. Są i takie gatunki owadów, które w swoim drugim, ostatecznym wcieleniu znów żyją parę lat: druga długowieczność!

Człowiek ze strachu przed niebytem wymyślił sobie życie po śmierci, chociaż tak naprawdę to nikt sobie tego życia nie potrafi wyobrazić inaczej, niż jako dalszy ciąg ziemskiej wędrówki. Na tych samych nogach, z tym samym rozumem, wzrokiem, trzustką i tymi rzeczami. Może najwyżej nogi będą już bez odcisków i bez żylaków, wzrok bez dioptrii, trzustka nie wymagająca ostrej diety, a tamto inne wciąż niezawodne i radośnie sprawne. Tak ulepszeni ludzie mieliby żyć sobie po śmierci i po ciała (tzn nóg, trzustki, wątroby) zmartwychwstaniu już bez żadnego końca, wciąż młodzi — młody syn z młodym rówieśnikiem ojcem, rówieśnikiem dziadkiem, babką i urodziwą prababką, a także z rówieśnikiem wnukiem i świeżo w zaświatach poznaną, a pełną powabu praprawnuczką.

Marzenie o takim życiu jest marzeniem maksymalistycznym, ale i tak nie spełnia zasadniczego warunku: nie daje nikomu z nas szansy na samodzielne naprawienie błędów i pomyłek, popełnionych w życiu ziemskim. Tylko znikoma część pomyłek można poprawić przed wejściem w stadium starczej demencji. Brak czasu, a także nieodwracalne starzenie się i wchodzenie w coraz inne układy, nastręczające możliwość coraz nowych błędów i zwyczajnych głupstw. Jeśli mając lat dwadzieścia powinienem był zachować się inaczej niż to zrobiłem, to już nic się przecież nie da zrobić, już przepadło.

Gdybym miał nieograniczoną możność urządzenia świata, dałbym ludziom szansę owadzią. Niech by każdy człowiek żył dwa razy z przerwą na regenerację sił, zużytych w stadium pędraczym. Pierwsze życie niech by płynęło jak dotychczas, oczywiście ze wszystkimi akcesoriami postępu, rozwoju, ewolucji. A potem ten sam — wyraźnie t e n s a m facet znów rodzi się jako niemowlak, przechodzi wszystkie stadia dzieciństwa, młodości i wieku dojrzałego, z tą poprawką, że proces uczenia się — aż do matury — byłby naprawdę jak u Platona procesem p r z y p o m i n a n i a. Dorosły (po raz drugi) człowiek wie już, pamięta swoje terminowanie mniej lub bardziej udane, pamięta za co dostawał po głowie i drugi raz się nie narazi. Pamięta swoje błędy małżeńskie i drugi raz się z miłości nie żeni, albo też drugi raz nie żeni się bez miłości. Nie rozwodzi się pochopnie, albo też nie zwleka bezmyślnie z tym krokiem, marnując dwa lub trzy życia w imię niejasnych pryncypiów.

Nie wiem tylko, co należałoby zrobić z osobnikami złymi, których złość i zbrodniczość, zaborczość, egoizm zostały ukrócone, bo brak im było doskonałości. Przestępcę ukarano, bo popełnił jakiś błąd i tym błędem się zdradził. Co by było, gdyby znalazł się po raz drugi w analogicznych okolicznościach, a błędu by nie popełnił? Połowę ludzkości stanowiłyby osobniki podwójnie wycwanione, w złym i w dobrym. Na lepszych złoczyńców znaleźliby się lepsi detektywi, a wszystko zaczęłoby się kręcić z podwójną szybkością. No i po co? Czy nie za szybko kręci się już teraz? Nie, stanowczo, ograniczam swoje światotwórcze aspiracje: najlepiejby było, gdybym tylko ja sam plus parę starannie dobranych osób ożyło sobie po raz drugi, a potem niech by trzeci i piąty. Zobaczycie, jak będzie fajnie. Owiniemy sobie kosmos wokół małego palca!

ĆWIEK

PROPOZYCJE

ROZMOWA Z HYDRAULIKIEM

Nic na świecie nie jest wieczne. A już w żadnym wypadku urządzenia wodno-kanalizacyjne, wszelkie uszczelki, kapturki, kapsle, dzwony i gumowe lejki. Zepsuje ci się takie coś niby drobne, proste, a diabelnie potrzebne i awaria gotowa, woda cieknie, może zalać całą łazienkę, sąsiadów i w ogóle powódź spowodować, nie mówiąc już o stratach w bilansie wodnym, który nie jest najlepszy. Wtedy jedna jest rada. Wezwać hydraulika.

Ale hydraulików jest mało, a awarii w urządzeniach wodno-kanalizacyjnych wiele. Hydraulik jest specjalistą wysoce kwalifikowanym, on wie co trzeba i gdzie trzeba zakręcić i jak wziąć się do tych wszystkich pozornie tak prostych urządzeń. Hydraulików się ceni, bo każdy chce mieć sucho w kuchni i w łazience. Na hydraulika czeka się więc cierpliwie niczym na łaskę najwyższą.

Ten hydraulik był człowiekiem dokładnym. Wszystko obejrzał, pomacał, popukał i powiedział: drobiazg, zrobi się. Rozsiadł się następnie wygodnie na fotelu i spytał:

— Co pan czyta?

Czytałem książkę Marcina Czerwińskiego „Okiem przechodnia". Pokazałem mu okładkę z tytułem.

— A o czym to jest?

— O tym, jak się u nas miasta buduje.

— O budownictwie znaczy.

— Można to tak powiedzieć.

— Ciekawe?

— Dla mnie bardzo.

— Bo ja, to wie pan, lubię czytać takie historie z życia. Reportaże, ale i publicystyką nie gardzę.

Przyjrzałem się hydraulikowi uważniej. Ale on tego nie dostrzegł, tylko dalej ciągnął.

— W gazetach czasem piszą bardzo interesująco. Ale nie zawsze. Czasem to tak nudzą, że do końca nie można doczytać. Wniosków żadnych nie ma, żadnej konkluzji. Nic z tego nie wynika, tylko liczb pełno. Połapać się w tym trudno.

— Bywa i tak.

— Ale niektóre reportaże to są bardzo interesujące. I jak trafnie podpatrzone. To lubię. Człowiek poczyta i zaraz wkoło siebie widzi jaśniej, szerzej i głębiej.

— Słusznie.

— O stosunku do pracy lubię też poczytać. Bo ludzie u nas są różni. Jedni pracę szanują. Inni za nic ją mają. A to niedobrze. Bez dobrej pracy niczego nie osiągniemy. Na jakość pracy powinniśmy przede wszystkim zwracać uwagę. To jest priorytetowy temat.

— Zgadzam się.

— Czytałem teraz niedawno o takim facecie, co to chciał robić tylko tyle, ile do niego należało. Zrobił swoje i poszedł się opalać. A majster do niego z pretensjami. — Co pan tu robi? — powiada. — Opalam się — ten mu na to bezczelnie. — Jak to? — dziwi się majster. — W godzinach pracy pan się opala? — Swoje już zrobiłem — powiada mu na to amator opalania się. — Mam teraz wolny czas, co mam się obijać po fabryce. Poopalam się lepiej. Z pożytkiem dla mego zdrowia to będzie. I zupełnie nie mógł zrozumieć, że to nie jest w porządku, że powinien wrócić do pracy, bo to, że otrzymane zadanie wykonał nie znaczy, że nie ma już nic więcej do roboty.

— Zdarzają się i tacy ludzie.

— Bo u nas właściwej organizacji nie ma. W innym piśmie czytałem o takiej firmie na Zachodzie, w której 20 osób pracowało i ogromne interesy ta firma robiła. U nas to by pracowało w takiej samej firmie z 200 osób i ciągle mieliby jakieś straty.

— Trochę tośmy organizację już unowocześnili i zmienili.

— Albo weź pan drogę od projektu do przemysłu. Kiedyś to nawet takie hasło w prasie wymyślili: „Od pomysłu do przemysłu". Że niby tak daleko. Ile na ten temat już nie napisano. I co? Dużo się zmieniło. Tylko w przemyśle lekkim stale jesteśmy do tyłu z modą. To co u nas nazywa się nowością, to już dawno gdzie indziej do bubli należy. Niech pan nic nie mówi. Nie przekona mnie pan, że tu też pewien postęp osiągnęliśmy. Coś się wprawdzie i w tej dziedzinie robi, ale to jest dreptanie w miejscu. A nam trzeba milowymi krokami posuwać się do przodu.

— No...

— Albo weź pan budownictwo. Czyta pan teraz o tym. Czy możemy być zadowoleni z naszego budownictwa? A budownictwo otrzymało teraz preferencje. To najważniejsza sprawa. Ja to najlepiej wiem, jak jest z tym budownictwem. I mogę to panu z całą otwartością powiedzieć, że nie możemy być z tego zadowoleni. Przeciwnie...

— Zrobione! — oświadczyli dwaj panowie, którzy wyszli z łazienki. **— Założyliśmy tę gumę.**

— Mówiłem, że się zrobi — oświadczył rozmowny hydraulik. **— Teraz wypiszemy rachuneczek i firma przyśle go panu do zapłacenia. O niech pan tu podpisze uprzejmie i jeszcze tu. Dziękujemy i do widzenia.**

Trzej panowie serdecznie mi dłoń uścisnęli i poszli do dalszej pracy. A ja mogłem spokojnie udać się do swojej.

MARCIN RODAK

magazyn

MICHAŁ SZOŁOCHOW

TRZY

Przedtem były tylko dwa. Jeden — wielki kościany z arystokratyczno - lekceważącym wyrazem twarzy i ledwie wyczuwalnym zapachem wody kolońskiej. Drugi — mały, drewniany, obszyty czerwonym suknem.

Trzeci — metalowy, niebieski został przyniesiony dopiero w ciągu ostatnich dni. Po rannych porządkach dozorca zrobił skręta i razem z machorką także jego wyciągnął z kieszeni. Powiercił go w swoich przesyconych nikotyną palcach i rzucił na parapet okna.

— Przyszyj mi go do portek, Anno, bo mój mi się zgubił.

Niebieski guzik dziarsko trzasnął metalowymi nóżkami.

— Czołem, towarzysze!

Czerwony smutno uśmiechnął się, a kościany lekceważąco zmarszczył wyblakłą twarz.

Leżąc na wilgotnym parapecie stróżówki powoli zaczęli ze sobą rozmawiać.

— Sam się dziwię, panowie, że jeszcze żyję! — z pańska i wyniośle, nieco sepleniąc zaczął mówić kościany. — Zapach onuc, potu, jakiś taki specyficzny „chłopski zaduch", to przecież koszmar!.. Dwa miesiące temu byłem trzecim od góry na najpiękniejszym palcie świata. Właściciel tego palta był początkowo wielkim fabrykantem, a teraz pracuje w pewnej spółdzielni. Niegdyś miał wprost szalone pieniądze. Często, wyjmując szeleszczące papiery z teczki, szeptał: Wpadnę ja kiedyś... Ech! wpadnę!.. I drżały mu palce. A wieczorem dorożką pędziliśmy do jednej artystki (to właśnie na nią on wydawał sporo pieniędzy). Długo jechaliśmy ulicami. Wysiedliśmy koło kasyna. „Chodźmy" — syczała damulka i chwyciwszy za mnie ciągnęła go do drzwi. „Ty mnie do przestępstwa namawiasz!" — wykrzyknął on i szarpnął się do tyłu. Ona plunęła w ślad za nim i rzuciła mnie na jezdnię. Po wielu perypetiach znalazłem się tutaj. Mówcie co chcecie, ale perspektywa upiększania śmierdzących chłopskich spodni wcale mi się nie uśmiecha... Ja zupełnie poważnie zaczynam myśleć o samobójstwie...

Kościany wydusił z siebie gnijącą łzę i zamilkł.

— Tak, miłość to wielka rzecz!... Kiedyś i ja błyszczałem na czapce budionnowca czerwonego dowódcy. Walczyłem z Wranglem, Machno... Kule obok mnie przelatywały ze świstem. Na Przekopie szabla kazacka omal mnie nie przerąbała na pół. A wszystko to przeminęło jak piękny sen. Potem nadszedł czas ciszy... Mój czerwony dowódca pocił się w swojej budionnowce wkuwając matematykę oraz inne mądrości. Aż raz poznał pannę — maszynistkę i wszystko diabli wzięli!... Nitki, które mnie przytrzymywały — osłabły, a pożółkły cały czerwony dowódca, często popatrując jak ja pałętam się na resztkach nici, ze skruchą wzdychał i coś mówił jak gdyby broniąc Trockiego.

— Burżuazyjna ideologia! — z sarkazmem uśmiechnął się metalowy. — Nawet jeśli znalazłem się tutaj, to stało się to wszystko w sposób znacznie prostszy. Znajdowałem się przy spodniach komsomolca, studenta z wydziału robotniczego.

Kościany wykrzywił się z pogardą, a czerwony zarumienił się z zażenowania.

— Mój pan — ciągnął dalej guzik metalowy — był zadziorny, miał dumnie podniesione czoło i wesołe oczy. Uczył się dniami i nocami. Między wykładami zarabiał jako kulis i śpiewał „Młodą gwardię". Oszczędzając nawet na niezbędnych rzeczach, kupił wreszcie sobie nowe spodnie, a mnie wraz z nimi. Nie powiem, abym służył tylko jemu. Wręcz przeciwnie. Używało mnie jeszcze pięciu takich jak on wspaniałych wiejskich chłopaków. Nosili oni spodnie po kolei i od nich, młodych i zdrowych, pachniało nie wodą kolońską, lecz młodością i zdrowiem. Zadziorny dużo czytał. Często w rejonowym komitecie przemawiał. Kiedy nie znajdował odpowiedniego zwrotu, lubił podciągać spodnie. Chociaż czasem trzeba było je podciągać także dlatego, że mój pan miał pusty brzuch. Do imentu byłem przesiąknięty zapachem komunizmu i wierzcie mi, czułem się dobrze i przytulnie. Pewnego razu chłopcy przyszli nachmurzeni, smutni. Trzeba było kupić „Materializm historyczny" i zaprenumerować „Młodą Prawdę", a pieniędzy nie było. Dwie godziny wszyscy milczeli zamyśleni. Potem zadziorny czule potrzymał mnie w palcach i zdecydowanie powiedział: „Albo ukończymy Wydział Robotniczy, albo będziemy chodzili w nowych spodniach! Dalej, chłopaki, na targ!...". Wrzeszcząc i śmiejąc się ściągnęli z niego spodnie. W tym zamieszaniu oberwano mnie... Nie minęło pół godziny, a chłopaki już leżąc na podłodze czytali głośno „Materializm historyczny", a ja pod łóżkiem myślałem: „Jeżeli z tego zadziornego chłopca po pewnym czasie wyrośnie dzielny i walczący komunista, to w tym będzie także i mój udział...".

— No tak, pewnie — ze zmieszaniem zatrajkotał kościany.

Ale metalowy splunął z lekceważeniem na podłogę i odwrócił się do sąsiadów plecami.

Przełożył:
ROMAN GORZELSKI

Fot. Archiwum

ANNA KRZYŻANOWSKA

UMIERANIE WENECJI

Każdy, kto przyjeżdża do Wenecji umie sobie wyobrazić to miasto, stworzyć jego własny obraz, nim jeszcze postawi stopę na lagunie. O Wenecji się czyta, ogląda się o niej filmy i przede wszystkim mówi. O jej rychłej śmierci, o obecnych zniszczeniach i zagładzie, która ją czeka.

I każdego przybysza Wenecja zadziwia, zaskakuje, skłania do zadumy. A także do postawienia sobie pytania: jak długo jeszcze będzie istnieć?

Gdyż jak wiadomo istnieć przestanie. Zapadnie się w błoto, zatonie w morzu. Archeolodzy prowadzący wykopki obok mostu Rialto odsłonili bruki renesansowych ulic — biegły one o metr niżej niż dzisiejsze ulice. Zapadała się Wenecja od dawna, ale nigdy tak szybko jak obecnie. Ruchy tektoniczne podniosły dno Adriatyku i znacznie podwyższyły poziom morza, wpychając w weneckie kanały dodatkowe masy wody. Jednocześnie pobliskie zakłady przemysłowe wypompowują wodę z podziemnych żył i wyspa gwałtownie osiada. Tego procesu nie da się już zahamować. Prasa włoska bije na alarm. Gazety całego świata oznajmiają rychłą śmierć Wenecji.

A turyści jak co roku przyjeżdżają tu tłumnie od wczesnej wiosny do późnej jesieni. Żeby zobaczyć, żeby zdążyć zobaczyć to miasto, nim zamieni się w kupę gruzów.

Wenecja jak wiadomo w całości zbudowana jest z materiałów tradycyjnych: drewna, kamienia, palonej gliny i marmuru. Jak dotąd nie zeszpecono jej betonem ani asfaltem. Ale tradycyjne materiały dobrze się spisują jedynie w tradycyjnych warunkach. Przetrwały kilka wieków, a teraz niszczeją w oczach, nie potrafią się oprzeć zatrutemu powietrzu i wysokiej morskiej wodzie. Związki siarki, emitowane przez pobliskie zakłady przemysłowe i słona wilgoć zamieniają marmur w kredę. Ta ścieka razem z deszczem lub ulatnia się, zamieniona przez słońce w lotny pył. Każdego roku zdejmuje się z budynków setki rzeźb — kiedyś marmurowe, teraz są tylko obłymi kadłubami osypującej się kredy.

Konserwatorzy nie nadążają z robieniem kopii tych rzeźb, których słona wilgoć i związki siarki jeszcze nie zdążyły uszkodzić. Ba, nie nadąża się nawet z robieniem dokumentacji fotograficznej! Tak samo nie ma kto i nie ma za co wymieniać przegniłych drewnianych fundamentów, zamokłych ceglanych ścian i marmurowych płyt okładzinowych.

Przeszło 10 lat temu, w listopadzie 1966 roku wielka powódź zniszczyła Florencję. Wenecja ocalała tylko dlatego, że powódź wystąpiła w trakcie odpływu morza i poziom wody podniósł się zaledwie o 2 metry. Włosi wyznaczyli olbrzymie sumy na renowację swojej perły renesansu, jeszcze większe kapitały zebrano na ten cel za granicą.

Niestety, przez ponad 10 lat ani olbrzymie środki finansowe, ani specjalne uchwały rządowe nie zdołały pomóc ginącemu miastu. Dzisięć lat temu prasa włoska oznajmiała początek bitwy o ocalenie Wenecji. Dziś pisze o tym, że bitwa została przegrana.

Główny wenecki zabytek — Bazylika św. Marka dziś jest jeszcze otwarta dla zwiedzających. Turysta wkraczający do niej jest zmuszany przez cerbera w mundurze do przeczytania tablicy zredagowanej w czterech językach, a oznajmiającej, iż w zabytku sakralnym należy zachowywać się z należną temu miejscu czcią i szacunkiem. Gdy już obejrzy nawę główną i boczne, zachwyci się wspaniałymi mozaikami i zbliży do głównego ołtarza, usłyszy trzask automatycznej kasy. Następny cerber zbiera po 300 lirów „na głowę" za prawo obejrzenia tegoż ołtarza z bliska. Czy to ostatni „turystyczny" sezon Bazyliki przed kapitalnym remontem? Trzeba go przeprowadzić jak najszybciej. W ubiegłym roku podczas prowadzenia drobnych robót konserwacyjnych zupełnie przypadkowo odkryto, że jeden z 4 centralnych filarów podtrzymujących układ kopuł jest wewnątrz zupełnie pusty. Przez parę setek lat cegła zetlała i zmieniła się w proszek. Gęste belkowanie konstrukcji kopuł korniki starły na próchno. Zewnętrzną blachę miedzianą zżera korozja. Żeby dokładnie zbadać rozmiar zniszczeń i dokonać najpilniejszych prac renowacyjnych, trzeba będzie Bazylikę zamknąć dla publiczności na co najmniej 2 lata.

Odsunięto też na razie termin zamknięcia dla zwiedzających Pałacu Dożów i Więzienia. Oba budynki ucierpiały podczas ubiegłorocznego trzęsienia ziemi w okręgu Friuli. Wstrząsy dotarły do Wenecji i spowodowały pęknięcia nadwątlonych murów. W wielowiekowej historii miasta zanotowano już niejedno trzęsienie ziemi. Wiele z nich wyrządziło znaczniejsze szkody niż to ostatnie. Ale teraz Wenecja ginie cała. Trzeba w pośpiechu wykonywać najpilniejsze z pilnych prac, które żywot miasta przedłużą choćby na krótko.

Jeszcze na kilka lat i kilka sezonów turystycznych. Bo w to, że Wenecję uda się ocalić, nie wierzy już prawie nikt. Wszyscy chcą ją ratować, a ona mimo to dalej się rozsypuje. I rozsypuje się tym szybciej, im więcej pieniędzy i środków przeznacza się na pomoc dla niej.

Katastrofiści twierdzą, że początek końca już nastąpił. Było to we wrześniu ubiegłego roku. UNESCO zorganizowało wielką imprezę artystyczną, z której dochód przeznaczony został oczywiście na ratowanie Wenecji. Gwiazdą wieczoru miał być eks-Beatles Paul MacCartney. Spodziewano się tłumów widzów i olbrzymiego dochodu — i tu organizatorzy się nie zawiedli. Sukces był niewątpliwy — ale po tym sukcesie Wenecja przez całą zimę leczyła rany.

Impreza odbyła się — na Placu św. Marka, który, zamknięty ze wszystkich stron wysokimi ścianami, zawsze uchodził za doskonałą salę koncertową. Żadna inna zresztą nie zmieści tylu słuchaczy.

I oto pewnej nocy do nabrzeża przycumował statek, z którego wytoczyły się na Piazettę olbrzymie ciężarówki, przyczepy, dźwigi. Znacznie większe i cięższe pewnie od czołgów. Tak ciężkie pojazdy jeszcze nigdy nie przetoczyły się przez Piazettę. Ani wtedy, gdy Wenecja była potęgą i na nabrzeżach wyładowywano towary i zdobyte łupy, ani wtedy, gdy ją w dniach klęski grabiono. Dwie kolumny ustawione na Piazetcie od strony morza przyjechały do Wenecji aż z Konstantynopola w XII wieku. Są monolitami i ważą wiele ton. Gdy je wyładowano na nabrzeżu, okazało się, że są za ciężkie, by je przetoczyć przez Piazettę. Przez wiele lat leżały bezczynnie, w końcu ustawiono je tam, gdzie stoją do dziś. Ciężarówki i dźwigi MacCartneya były cięższe od kolumn. Najpierw przez całą noc dowoziły na Plac św. Marka żelazne segmenty sceny i trybun, sprzęt i aparaturę nagłaśniającą, dwa dni potem ponownie nocą tratowały Piazettę, odwożąc ładunek na statek.

Koncert minął. Kilka pogiętych i pokruszonych kamiennych płyt przykryto po prostu deskami. Do czasu, aż się ich nie wymieni.

Deski leżały przez dwa miesiące. Wtedy morze zaczęło przybierać i woda jak co roku zalała Piazettę. Kiedy spłynęła, okazało się, że desek nie ma. Nie było też kamiennych płyt. Zostały tylko zapadnięte w głąb leje. Dopiero wtedy zaczęto oceniać wpływy z koncertu. Wszystkie pieniądze pochłonął prowadzony w zimie remont Piazetty. Płyty kamienne, a właściwie kamienne bloki przetrwały bez większych uszkodzeń przez 400 lat — zostały zniszczone w dwie noce. Nie tylko zresztą one. Uszkodzenia powstały w miejscu, gdzie przebiegał podziemny kanał, zbierający wodę z Placu św. Marka. Sklepienie kanału załamało się w trzech miejscach — przy czym to jedno z nich jest tuż obok Campanilli. Ta wieża już raz, na początku naszego stulecia, zawaliła się. Odbudowano ją po 10 latach. Teraz znów jest zagrożona.

Ale wciąż jeszcze dostępna dla turystów.

Bo Wenecja w ogóle istnieje jeszcze tylko dla turystów. Dla nich są sklepy, kramy, kawiarnie i pizzerie, gondole i panowie w śmiesznych kapeluszach, którzy jeszcze nazywają się gondolierami i każą sobie płacić nawet za to, że przypadkowo znaleźli się w zasięgu obiektywu waszego aparatu. W Wenecji prócz turystów mieszkają tylko ci, którzy muszą. Którzy żyją z turystów. Młodzi uciekają z tego ginącego miasta, w którym naprawdę dobrze czują się tylko turyści i koty, w którym trudno o mieszkanie, pracę. I które tym głośniej i chętniej zaprasza gości na każdą wiosnę, lato i jesień, im prędzej pogrąża się w morzu.

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

J. ZOŁOTARIEW

PRZYJĘCIA

Tylko młodzi i zdrowi chodzą — jeden do drugiego — na wódkę albo na piwo. Starsi, nieco cierpiący, odwiedzają przyjaciół, aby wypić szklankę herbaty, albo wziąć udział w kuracyjnym przyjęciu.

Niedawno małżonkowie Czufajewowie zaprosili gości na... kwiaty. Przybyło sporo poważnych osobistości. Pewien staruszek — były docent, a obecnie rencista — interesująco opowiadał o swoich podróżach. Inny, starszy towarzysz, jeszcze nie rencista, ale już półetatowy docent, przekomarzał się z nim dowcipnie. Wycierał przy tym nos w chusteczkę z takim hałasem, że co wrażliwsze niewiasty odsuwały się od niego.

Największe jednak ożywienie na przyjęciu nastąpiło w momencie podania na stół aloesu, zwanego stulatkiem.

— Próbujcie, smakujcie — proszono gości. — Jest to wspaniały lek na wrzody, na kolkę, na katar żołądka, jak również na wiele innych dolegliwości gastrycznych.

— A ja myślałem — wtrącił eksdocent i były podróżnik — że to przyjęcie będzie miało bardziej egzotyczny charakter. Sądziłem, że będziemy ostrożnie wyrywać igły z aloesu, a potem będziemy żuli tłuste pędy i połykali z nabożeństwem kawałeczki tej wspaniałej rośliny.

— Panie docencie — przerwał ktoś z obecnych — w ten sposób spożywają aloes członkowie szczepu Miau-Miau, zaproszeni do telewizyjnego Klubu Podróżników. Nasz aloes-stulatek został doskonale uprużony, doprawiony miodem. Naszym jedynym zadaniem jest siorbać powoli sok stulatka.

— Słyszałam niedawno — odezwała się jedna z pań — że dla leczenia wielu innych chorób podaje się na przyjęciach także inne kwiaty. Moi znajomi na przykład częstowali gości gotowanymi różami.

— O tak, tak — wtrąciła inna dama. — Niedawno u przyjaciół poczęstowano nas smażonym rumiankiem. I wyobraźcie sobie — po pierwszych łyżeczkach — przestałam kichać. Jak ręką odjął!

Czufajewowie opowiedzieli o jeszcze bardziej sensacyjnym przyjęciu. Zaproszono ich na party z pudlem. Goście siedzieli w krąg na fotelikach, a pudel stał w środku. Na dany sygnał goście zaczęli wyczesywać pudlowi z boków kłaki wełny. Z tej wełny, proszę państwa, robi się włóczkę, a z włóczki na drutach robimy pas na biodra. Taki pas z pudlej sierści usuwa najboleśniejszy ischias, likwiduje wszelkie dyski i inne nerwobóle.

— Powiadają, że sierść pudla, wepchnięta w noski bucików, przeciwdziała chorobie Buergera. Podkładka z tejże sierści podłożona pod pięty zapobiega pękaniu skóry.

Przed tygodniem cierpiący na podagrę Czufajew zaproszony został na przyjęcie ze żmijowym jadem. Schwytana podczas weekendu żmija kręciła się w mieszkaniu organizatorów party — po wszystkich kątach. Spała podobno, w jednym łóżku z teściową pana domu.

Podczas przyjęcia schwytano żmiję za głowę i wyciśnięto jej z zębów kilka kropli jadu. Czufajew posmarował tym jadem bolące miejsce na nodze. Ból ustąpił błyskawicznie!

Radzę wam, czytelnicy, kiedy coś boli, coś strzyka — nie łaźcie po doktorach i po aptekach! Idźcie do znajomych na smażony rumianek, na psie czy żmijowe party! Pomoże bez recepty.

(Litieraturnaja Gazieta)

Wybrał i przełożył:
H. RUD.

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96 kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44 i 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł., kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumerate przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Nr indeksu 26762.
Zam. 1526. W-11.